



do siego roku  
życzą  
"odgłosy"

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ■ ■ ■ ŁÓDŹ

# ODGŁOSY

ROK XX NR 1 (995)  
2 STYCZNIA 1977 R.  
CENA 3 ZŁ



PIŁKA NOŻNA (6)

ANDRZEJ  
MAKOWIECKI

## KWADRANS ŚPIĄCEJ KRÓLEWNY

Nie trafiłem najlepiej... Obok Sylwii siedział na skórzanej kanapie przystojny facet w okularach i czarnym mohairowym swetrze. Luźny, pogodny, sprawiał wrażenie domownika albo bliskiego sąsiada. Tyłem do mnie, w głębokim fotelu, spoczywała matka Sylwii, trzymając na kolanach talerzyk z szarlotką.

Na mój widok cała trójka zgasła uśmiechy. Sylwia wydała stłumiony jęk:

— To ty, Maksymie?  
— W rzeczy samej — przytaknąłem. I poczułem do siebie wstręt.

Drgnął, uśmiechnięty jak arlekin, zbliżyłem się do matrony. Podala mi wolno zimną, niechętną rękę; zginając kark do pocałunku wchłaniałem intensywną woń perfum.

Potem przywitałem się z Sylwią i z tym człowiekiem.

— Wieżan — powiedział.

— Dragan.

Spojrzał na mnie z uwagą.

— Zaraz... słyszałem gdzieś to nazwi-

sko... — Pan Dragan jest futbolistą — wy-

jaśniła z uśmiechem matrona.

— Ach tak... No jasne... — przytaknął

facet. — Wie pan... bez urazy... nie in-

teresuję się specjalnie piłką. Ooo... cza-

sami partyjka tenisa...

— Piękny sport — mruknąłem.

— Właśnie. Ale co to ja mówilem...

aha!... — zwrócił się do starej. — Więc

ten film nie wywarł na mnie tego wra-

żenia, co książka. Wiesz — spojrzał na

Sylwię, która była wyraźnie speszona —

to nie jest ten styl. Jakoś to pretensjo-

nalnie wyszło. — Pociągnął łyk bez-

barwnego płynu ze szklanki. — Prawdę

mówiąc, nie traktuję filmu jako dzie-

ła sztuki, chyba, że mam do czynienia

z Kurosawą Pasolinim, albo, niech mu

tam! z Viscontim. Zgadza się pań-

stwo?

Kobiety potrząsnęły twierdząco głowami.

— Bo film jest konglomeratem sztuk.

— Oczywiście.

— Pan widział ten obraz?

— Tak?

Sylwia wtraciła nerwowo:

— Naprawdę się czegoś, Maksymie?

— Chętnie.

— Gin z tonikiem?

— Może być.

— Ooo! — zdziwił się przystojniak. —

Myslałem że wycyznowcy nie pija.

— Czasami.

— Gin tagodzi obyczaj. — Odsunął się,

kiedy Sylwia podawała mi szklankę. —

O czym to ja mówilem? Aha, widział

pan...

— Jesteś w hotelu, Maksymie?

— Tak.

— W Bristolu?

— Nie, w Grandzie.

Byłem jej wdzięczny za pomoc. Jed-

nocześnie nie miałem złudzeń, że robi

to wyłącznie z myślą o sobie. Zapaliła

papierosa i powiedziała bez entuzjazmu:

— Czytałeś eseł Bardoliniego?

Dalszy ciąg na str. 6

## ŚWIAT

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

## CENA NAFTY

Jesienią 1975 roku as międzynarodowego terroru — Carlos zaproponował przedstawicielowi Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny — dr Wadi Haddadowi zamach na ministrów państw należących do OPEC. Chodziło mu głównie o porwanie ministra do spraw nafty Arabii Saudyjskiej — Ahmeda Zaki Jamani i ministra Iranu — Jamishida Amuzegara.

W grudniu 1975 roku do siedziby OPEC w Wiedniu wdarła się grupa terrorystów i wzięła 70 zakładników. Wśród nich byli wszyscy ministrowie państw należących do OPEC. Do rokowań z Carlosem przystąpił kanclerz Austrii — Bruno Kreisky. Pośredniczył sekretarz ambasady Iraku — Rojad el Assawi. To właśnie jemu powiedziałem as międzynarodowego terroru:

— Niech pan im powie, że jestem słynnym Carlosem.

W Wiedniu „słynny Carlos” występował jako przedstawiciel „Ramięcia Rewolucji Arabskiej”. Nazywa się

Ilijaz Ramirez Sanchez i pochodzi z Wenezueli. Przez krótki czas próbował studować w Moskwie na Uniwersytecie im. Lenina, gdzie zetknął się z przedstawicielami różnych ugrupowań palestyńskich. Związał się z Ludowym Frontem Wyzwolenia Palestyny i całkowicie poświęcił się terrorowi.

DLACZEGO PRZECIW OPEC?

Dlaczego celem ataku LFWP stali się ministrowie państw należących

Dalszy ciąg na str. 10

## KRAJ

IRENEUSZ DOMIENIK

## ROK PO OTWARCIU

Nim sznur wagonów zdąży zagłębić się w podziemny tunel, pasażerowie już wstają z miejsc, prostują zesztywniałe od parogodzinnej bezruchu kości, zdejmują z półek bagaże. Rozmowy ożywają się. Twarze przybierają wyraz gotowości do jakichś, im tylko znanych działań, a zależnie od tego, czego mogą spodziewać się po swoim przybyciu, ich miny stają się surowe i zdecydowane, na w pół rozmarzone lub wręcz uśmiechnięte radośnie. Tu i ówdzie widać starannie maskowany niepokój, troskę o skuteczność podjętej wyprawy, o czas, co objawia się dyskretnym spojrzeniem na przegub ręki. O to wreszcie, w jaki sposób dostać się jak najszybciej do upatrzonej części miasta.

## ŁÓDZIANIE — 1976

To już nasz dziewiąty plebiscyt pn. „Łodzianie 1976”. Czytelnikom przypominamy, że co roku typujemy dziesięciu kandydatów do zaszczytnego tytułu najpopularniejszego łodzianina roku, biorąc pod uwagę ich wkład pracy w rozwój miasta i kraju, ich zaangażowanie społeczne oraz osiągnięcia istotne dla narodowej gospodarki, nauki i kultury. Zdajemy sobie sprawę, że nasza lista pretendentów nie może być pełna. Sądzimy jednak, że nasz plebiscyt pozwoli Czytelnikom bliżej poznać pracę ludzi szczególnie dla miasta zasłużonych.

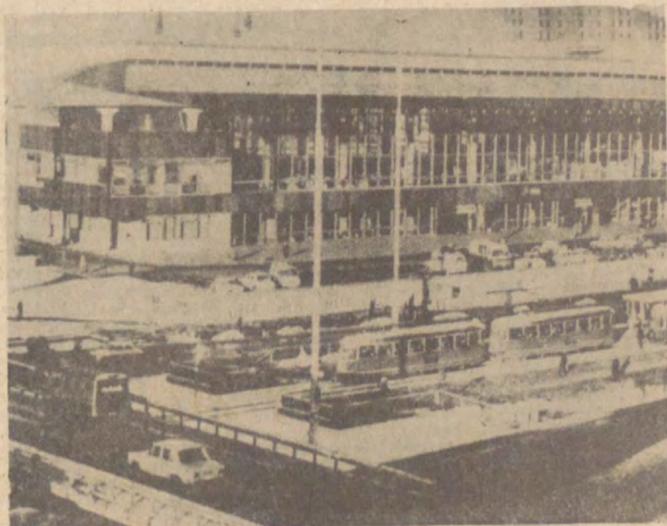
Prezentowane sylwetki kandydatów pomogą naszym Czytelnikom w wyborze. Tak jak we wszystkich poprzednich plebiscytach, każdy z Czytelników typuje trzech pretendentów z ogłoszonej tu listy. O zwycięstwie kandydata decydować będzie ilość oddanych na niego głosów. (Na załączonym kuponie plebiscytowym prosimy zakreślić znak X obok wybranych przez siebie trzech nazwisk kandydatów).

Powodzenie naszego plebiscytu zależne jest od Czytelników, zachęcamy więc wszystkich do wzięcia w nim udziału. Zwycięzcy w plebiscycie „Łodzianie 1976” otrzymają pamiątkowe upominki. Natomiast wśród wszystkich uczestników głosowania rozlosujemy nagrody w bonach towarowych o następującej wartości:

nagroda I — 2500 zł  
nagroda II — 1500 zł  
nagroda III — 1000 zł

oraz pięć wyróżnień książkowych.

Czytaj na str. 4 i 5



Zwiastunem tego, że za chwilę wszystkie obejmie najpierw brunatny, później niebieskawy półmrok, są fundamenty mijanych wzdłuż toru zabudowań, domów mieszkalnych, szop, baraków o nieodgadnionym kształcie i przeznaczeniu, które unoszą się wyżej i wyżej, jak gdyby po przekątnej rozpedzonego ol na pociągu i nieczym barwny diagram z podręcznika geografii, pojawia się geologiczny przekrój

ziemi i betonowe konstrukcje ze stalowymi prętami skierowanymi w górę, ku niebu. Gdzienigdzie przemijają postacie robotników w zabłoconych drelkach z kolorowymi kaskami na głowach. Jest ich niewiele; mniej z każdym tygodniem, z każdym upływającym dniem. Ostateczne wykończenie, kosmetyka terenu, jest może najbardziej mozolna.

Dalszy ciąg na str. 3

## KSIĄŻKA

Jan Amos Komeński (1592—1670), uczonek, myśliciel, reformator szkolnictwa i twórca nowoczesnych zasad pedagogiki, jeden z luminarzy kultury siedemnastowiecznej, przez ponad ćwierćwiecze związany był z Polską.

Po studiach uniwersyteckich w Heidelbergu, gdzie uzyskał tytuł doktora, osiadał w Fulnie na Morawach. Kieruje tam gminą Braci Czeskich Zwycięstw katolickiej ligi w wojnie trzydziestoletniej kończy okras tolerancji religijnej w Czechach. Prześladowany, znalazł schronienie w Polsce. W lutym 1628 r. przybył na czele grupy uchodźców do Leszna i przebywał tam do roku 1656.

Intelektualna atmosfera Leszna oraz mecenat Rafała i Bo-

żenia zjawisk i rzeczy, wprowadził do szkoły problematykę społeczną i polityczną współczesnego świata, wzbogacił słownictwo. Bogaty zestaw ilustracji świadczy o koncepcji wszechstronnej, łączącej teorię z praktyką, metody nauczania.

Książka, napisana ok. 1654 r., wydana po raz pierwszy w Nymberdze w r. 1658, doczekała się szeregu wznowień i przekładów jeszcze w stuleciach następnych. Nas szczególnie interesuje edycja z tekstem polskim, wydana w Brzegu Śląskim przez Krzysztofa Tschorna w 1667 r., której pełny tytuł brzmi: „Orbis sensualium pictus hoc est omnium fundamentalium in mundo rerum et in vita actionum pictura et no-

# KOMENSKI

gusława Leszczyńskich sprzyjały pracy naukowej. Z tego okresu pochodzi znakomita większość dzieł Komeńskiego w tym także traktatów pedagogicznych z „Wielką dydaktyką” na czele. Zwalcząca w nich scholastyczny system szkolnictwa, domaga się wprowadzenia powszechnego i jednolitego dla wszystkich stanów nauczania obejmującego całość wiedzy o świecie. Twórca pansofilii, nauki, która na bazie encyklopedyzmu tworzy najbardziej istotną kwintesencję ówczesnej wiedzy, realizuje swoje koncepcje w systemie dydaktycznym. Program, przemysłowy i sformułowany już w latach trzydziestych, wobec niesprzyjających warunków, nie mógł być zrealizowany w Polsce Komeński, szukając poparcia dla swoich koncepcji, kilkakrotnie wyjeżdża za granicę. W 1650 r., korzystając z zaproszenia księcia Rakoczego, udaje się do Saros Patak na Węgrzech. Pobyt trwa kilka lat. W tym czasie powstają nowe dzieła, z których najważniejszym jest „Orbis sensualium pictus” co można przetłumaczyć na — zmysłowy świat w obrazach. Książka jest swojego rodzaju ilustrowanym słownikiem encyklopedycznym, przeznaczonym do wykorzystania w szkole. Całość materiału ujęta jest w 150 hasel i tyle odpowiadaających im rycin. Pansofilne poglądy autora, znalazły odbicie w ukazaniu całości przyrody i różnorodnych przejawów życia ludzi. Jednocześnie podręcznik miał służyć nauce języków obcych, stąd wielolejęcze opracowanie tekstu. Program pedagogiczny zakładał naukę myślenia i koja-

menclatura, Latino-Gallico-Germanico-Polonica”. Z nieocenionej „Bibliografii polskiej” Karola Estreichera dowiadujemy się, że książka wydana nakładem Kaspra Müllera „bibliopolae Vratislavi”, w formacie tzw. ósemki posiada 324 karty oraz 75 tablic ilustrowanych, szychowanych w miedzi. Wydanie to zaopatrzone jest w dwie dedykacje; nakładcy dla Jerzego Wilhelma księcia legnicko-brzeskiego autora polskiej wersji tekstu. Macieja Dobrackiego, dla synów rajców miasta Wrocławia.

Inicjatywie Łódzkiego Towarzystwa Przyjaciół Książki zawdzięczamy przypomnienie tej, interesującej skądinąd edycji. Wydany, jako dar polskich papirników dla uczestników XIII Kongresu Historyków Papiernictwa (Fabriano 19—23.IX.1976), wytworny druk bibliofilski, nawiązując do edycji brzeskiej z 1667 r., zawiera podobną rycin, obrazującą produkcję papieru, karty tytułowej oraz tekstu z papirniarstwem związanego w języku łacińskim, francuskim, niemieckim i polskim. Przygotowany przez Jadwigę Siniarską-Czaplicką tekst edytorsko opracował Michał Kuna, a na czerpanym papierze, wyprodukowanym w zabytkowej papirni-muzeum w Dusznikach, całość w nakładzie 300 egzemplarzy wydrukowała Graficzna Pracownia Druku Świadczyła ZPAP w Łodzi.

MAREK CZECHOWSKI

Papier w „Orbis sensualium pictus” Jana Amosa Komeńskiego. Łódź 1976, k.nib. 4.

## LITERATURA

# JEDNO PYTANIE

\* CO ZAWDZIĘCZAMY KULTURZE FRANCUSKIEJ?

Odpowiada: STANISŁAW BRUCZ

Na tak postawione pytanie trzeba by odpowiedzieć książką, co najmniej takich rozmiarów jak wydana u nas po wojnie „Historia kultury francuskiej” Georga Duby i Roberta Mandrou, a to przecież w „Odgłosach” niemożliwe. Powiem więc raczej o swych związkach z Francją, gdzie spędziłem przed wojną wiele lat, co pozwoliło mi potem poświęcić się twórczości przekładowej. Miałem zresztą szczęście osobiście poznać wielu wybitnych poetów francuskich i żyłem atmosferą

ich dyskusji. Tłumaczyłem zresztą sporo wierszy, a także esejistykę i prozę, nawet beletrystykę popularną.

W PIW wydałem tłumaczenie „Złotych wieków Francji” Paula Tillarda oraz „Prostych słów” Yvesa Farge'a. Moje przekłady z Dumasa miały po kilka wydań.

Ostatnio poważnie zapadłem na zdrowie. Czuję się niekiedy tak słaby, że nie mam siły, a praca translatorska wymaga ciągłego śledzenia nowości, bacznej lektury zagranicznej prasy literackiej, wreszcie bezpośrednich kontaktów. Sam nie mogę się ruszyć w podróż, a i wizyty przyjaciół są ograniczone. Toteż z poważniejszych prac dokonałem ostatnio prze-

kładu powieści Michela Tourniera „Le roi des aulnes”, której skrót opublikował niedawno miesięcznik „Literatura na Świecie”. Jej akcja toczy się na ziemiach polskich, co poświadcza, że Francuzi odważają się częściowo nasze zainteresowanie ich kulturą i literaturą. A jest to na pewno jedna z największych kultur. Także Paryż nie dał się chyba poznać swej roli artystycznej stolicy świata, gdzie zrodziło się tyle nowatorskich prądów, które wywarły istotny wpływ na całą ludzkość.

\* CZY LATWO DZIŚ ROBIĆ SATYRĘ?

Odpowiada: HORACY SAFRIN

Byłem już autorem kilku zbiorów poezji w języku polskim i niemieckim, nawet autorem sztuki, zanim odważyłem się ogłosić swe pierwsze utwory satyryczne. Było to w końcu lat dwudziestych, publikowałem tzw. „Strofy na czasie”, cykl wierszowanych miniatur o charakterze politycznym. Z powodu jednej z tych satyr nacelnik urzędu skarbowego oskarżył mnie nawet o zniesławienie i musiałem uiszczyć grzywnę w wysokości 20 zł.

Trudność robienia satyry nie polega zresztą na tym, że autor musi się narażać. Satyra, ze względu na swą zwiezłość, celność spostrzeżeń jest po prostu bardzo trudnym rodzajem literackim, wymaga specyficznych uzdolnień, wyczuć humoru sytuacyjnego a jednocześnie często kunsztu poetyckiego. Taka frazka na przykład nie jest prostym opisaniem czy stwierdzeniem faktu. Od frazki oczekuje czytelnik zaskoczenia. A przy tym ta absolutna lapidarność wypowiedzi. We frazce nie może być ani jednego zbędnego słowa. To samo zresztą odnosi się do bajki. Nie potrafię czytać kilometrów bajek, za to ubóstwiam za zwiezłość Krasińskiego. Między innymi za to, że mimo upływu wieków jest wciąż taki komunikatywny, a to także podstawowym wymogiem utworu satyrycznego.

Nie jestem już młody, a z perspektywy czasu człowiek chyba łagodnieje. Toteż chociaż piszę niekiedy frazki, preferuję bajkę, która jest bardziej wyrozumiała dla ludzkiej słabości niż frazka, mniej jawdowita. Przyznam się zresztą, że za przykładem starożymskiego satyryka Juwenala wyznaję zasadę:

Gdy pobrzękują rozstrojone liry,  
Gdy dudni woda w poetyckiej studni,  
Trudno, doprawdy, nie pisać satyry.  
Trudno nie pisać. Ale pisać trudniej.

## INFORMACJE

### FILMY CHAPLINA W MOSKWIE

Na ekrany kin Moskwy wszedł film Chaplina „Król w Nowym Jorku”. Bohaterowie słynnego dzieła po raz pierwszy przemówili z ekranu po rosyjsku. Postać tytułową dubbinguje Innokentij Smoktunowski. W najbliższym czasie odbędzie się w ZSRR premiera innego filmu Chaplina — „Światła rampy”.

### ODKRYCIE STULECIA

W podziemiach banku Barclaya w Londynie w szkatule obciążonej w skórę i nabijanej ozdobnymi gwoździami: znaleziono wiele bezcennych rękopisów, w tym oryginalną wersję „Wędrowek Childe'a Harolda” oraz korespondencje G. G. Byrona, kilka listów Thomasa More'a, wczesne warianty poematów „Hymn do mądrej piękności” i „Moit Blanc” P. B. Shelleya, a także rysunki przedstawiające Napoleona wykonane przez wierne go marynarza, który towarzyszył cesarzowi w czasie wygnania na Wyspie św. Heleny.

To sensacyjne znalezisko zostało jedynym i uznane za „największe odkrycie literackie stulecia”. Cenne rękopisy spoczywały w piwnicach przez 150 lat.

### NA ZAMKU KRÓLEWSKIM SPIESZĄ SIĘ

Na Zamku Królewskim luźnawie trwają prace wykończeniowe. Czas nagli, są to już ostatnie tygodnie przed planowanym zakończeniem pierwszego etapu odbudowy.

W historycznych wnętrzach pracują zespoły fachowców — kamieniarzy, pozłotników, posadzkarzy, stolarzy. Montują boazerie na ścianach, układają drewniane posadzki, kładą marmurowe stopnie i podesty klatek schodowych, osadzają okna.

Po otwarciu części Zamku zwiedzanie będzie rozpoczynało się od dziedzińca Trójkatnego! Bramy Senatorskiej. Kolejno przez klatkę schodową przy sali Balowej, zwiędzający będą schodzili do szatni. Następnie powrócą na parter do sal wystawowych i Klatka Mirowską przejdą na I i II piętro.

### ŁÓDZCY REPORTERZY RADIOWI WŚRÓD NAGRODZONYCH

W konkursie na reportaż zorganizowany przez ZG Zw Zaw. Prac. Przemysłu Włókienniczego, Odzieżowego i Skórzanego oraz Łódzką Rozgłośnie PR dwie II nagrody (I nie przyznano) otrzymali: Krystyna Tamulewicz i Józef Wojcieszczyk za reportaż pt. „Scigany” oraz Wojciech Rodacki za „Trudny okres”. Trzecią nagrodę zdobyli: Włodzimierz Łuszczkiewicz i Krzysztof Turowski za reportaż pt. „Opinia”. Dwa wyróżnienia otrzymali: Henryk Polak za „Rodzinne śpiewanie” i Mirosław Kuźniak za „Włókienniczą operę”.

### ŁOWICKI SKANSEN

Trwają prace w powstającym parku etnograficznym w Maurzycach niedaleko Łowicza. Teren skansenu, obejmujący obszar 16 ha, jest obsadzany drzewami najczęściej spotykanymi we wsiach księżackich. Dotychczas zainwentaryzowano 35 obiektów architektury ludowej, które zostaną przeniesione do skansenu. Są to domy mieszkalne i budynki gospodarskie. Przeniesiono już dwie zabawkowe chałupy, które po renowacji i zakonserwowaniu zostaną złożone wiosną przyszłego roku. Przewiduje się, że również na wiosnę przystąpi się do przenoszenia na teren parku pozostałych budynków.

# GALERIA DESY

Przybył miastu nowy salon sztuki — na piętrze, nad antykwarem DESY. Zainaugurował działalność wystawą malarstwa Konstantego Mackiewicza, znakomitego twórcy, którego obrazy „bronią się” w każdych warunkach. Wbrew pozorom warunki ekspozycyjne w przestronnym lokalu nie są najlepsze; przede wszystkim brak tu dobrego oświetlenia sztucznego, podczas gdy rozwieszona u sufitu pseudostylowe żyrandole przeszkadzają jedynie w oglądaniu obrazów. Galeria Sztuki Współczesnej — tak nazywa się salon — ma jednak poważny atut lokalizacji w samym centrum miasta, co pozwala oczekiwać, że nie zabraknie zwiedzających. Wybór twórczości Mackiewicza (miesiąc przed monograficzną wystawą malarza w Muzeum Historii Miasta Łodzi) dowodzi, że łódzki salon od początku stawia sobie wysokie wymagania. Dyrekcja PP „DESA” i kierująca nią ANNA WESOŁOWSKA spodziewają się, że pomoc środowiska łódzkiego twórców, tradycje artystyczne miasta i obecność jednego z poważniejszych w świecie muzeów sztuki współczesnej będą źródłem inspiracji wielu interesujących wystaw. Salon ma być również miejscem sprzedaży dzieł współczesnej plastyki. Pobliski sklep Związku Polskich Artystów Plastyków oferuje siłą rzeczy — dzieła łódzkich twórców. Może więc desowska galeria będzie, jak w Krakowie czy Warszawie, swego rodzaju „żywym muzeum” plastyki, gdzie możliwy jest bezpośredni kontakt z obrazem, rzeźbą, znanym nazwiskiem artysty spoza Łodzi; może również zagranicznym. Organizowane przez DESE doroczne Targi Sztuki potwierdzają tylko ogromne zapotrzebowanie na wartościową produkcję artystyczną — tyle że w Łodzi nie było możliwości szerokiego wyboru lub choćby... oglądania. Na początek — wypada życzyć nowej galerii wielu sukcesów i wytrwałości.

A.M.

## LISTY

# „PIOSENKA JAKO PROBLEM KULTUROWY”

Cenię sobie „Odgłosy” nie tylko jako łodzianin-patriota; czytu je pilnie i zawsze znajduję coś użytecznego i interesującego. Z takim założeniem zabrałem się do lektury ostatniego (50) numeru z 12 grudnia 1976 roku. A że lubię zaczynać lekturę tygodników od ostatniej strony bez specjalnego trudu natrafiłem na „esej” (?), „rozprawę” (?), „dysertację” (?) zatytułowaną „Piosenka jako problem kulturowy”. Gdy przeczytałem pierwsze zdanie owej „rozprawy” (?) zaczynające się od słów „U boku sztuki słowa...” doszedłem do wniosku, że autor nigdy raczej nie chadzał ze sztuka słowa pod rękę. Reszta tekstu utwierdza w tym bez reszty: „aktualnie (teatr i film — uważa moja) rywalizują one z literaturą na płaszczyźnie informacyjno-artystycznej” (!!), „piosenka choćby ze względu na warstwę tekstową w jakiejś korelacji ze sztuką słowa pozostaje” (!!), piosenka „wywodzi się z murów kościelnych i desek objazdowych teatrzyków” (!!), „zachowuje pieśniątki chanson i groteski” (!!), „współistnienie nie może powstać”, „podstawą wszelkiej eksploatacji piosenki jest jednoczesna emisja melodii i tekstu na etapie wypowiedzi artystycznej”, i tak dalej, i tak dalej.

Zresztą autor jeszcze może nauczyć się pisać. Gorzej z myśleniem. Bowiem „uczona” terminologia, którą autor stosuje w swojej „rozprawie” jest „wiązana sznurkiem” i to podległa gatunku. Przykłady: „warstwa tekstowa”, „interpretacja wykonawcza”, „potencjalność syntetycznego montażu”, „pa-

rametry poszczególnych fragmentów tekstu”. Owa „uczoność” a także odwołania do Arystotelesa, Horacego i Herdera (oby tylko nie mieli okazji do przeczytania omawianej „rozprawy” — groziłby proces o zniesławienie!) stwarzają pozor czegoś rzeczywistego solidnego. Gdyby jednak pominąć nawet kulawy styl i młodzieńczą skłonność do mędrkowania, pozostaje jeszcze „piosenka jako problem kulturowy”. Wystarczy zaglądnąć do podręczników dla pierwszego roku polonistyki, aby natychmiast zorientować się, co jest wart ów problem w ujęciu autora. A jeśli czytelnicy „Odgłosów” chcieliby wiedzieć co to jest semiologia i semantyka (te dwa terminy też „kraszają” omawiany tekst) niechaj raczej zaglądną do „Słownika wyrazów obcych”: to wystarczy aby ostatecznie podważyć zawartą w „piosenkologicznej” „rozprawie” „wiedzę”.

Z wyrazami głębokiego poważania  
GRZEGORZ GRUDNIEWSKI  
(Łódź)

# „KANAPA ALE NIE TA”

W odpowiedzi na notatkę pt. „Kanapa, ale nie ta”, zamieszczoną w nr 42 (984) tygodnika — WPHW — Oddział Handlu Art. Wyposażenia Mieszkań w Łodzi wyjaśnia, że DM „Domus” w II połowie miesiąca września br. na skutek trudności obiektywnych i zbyt dużej (w tym okresie) ilości dostaw, zmuszony był okresowo składować meble na wozorowni. Ta sytuacja umożliwiła nieustalonomu klientowi dokonać przełożenia rachunku z wybranej przez ob. Krzemieńskiego kanapy typu „Duet” na inny egzemplarz, który ob. Krzemieńskiemu nie dostarczono na skutek braku jednej z poduch

(brak w dostawie od producenta). Sprzedawca DM „Domus” uzgodnił więc z naszym sklepem przy ul. Brukowej posiadanie przedmiotowego towaru na stanie i z klientem uzgodniono nabycie kanapy w sklepie przy ul. Brukowej.

My ze swej strony, ta droga — przepraszamy nabywcę za wyniki perturbacje. Pragniemy też wyjaśnić, że nie tworzymy prawa, lecz je stosujemy. Dowody sprzedaży (wzór HW-M2 wydane przez PHW-On-CWD) stosowane w naszych sklepach wprowadzone są centralnie i obowiązują sklepy meblarskie w całej Polsce.

W DM „Domus” prezentujemy wzorce kompletów mebli będących u nas w obrocie. Ponieważ pawilon ten prowadzi sprzedaż wytypowanych kompletów mebli na zasadzie przedpłać, stąd po wyczerpaniu posiadanych przez nas ilości — komplety wzorcowe zapatrywane są w większej informująco powyższym.

mgr inż.  
ALEKSANDER KOSIŃSKI  
zastępca dyrektora do spraw handlowych

# ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, WISŁAW JAŻDYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAZYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMANSKI (sekretarz redakcji).  
Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMANSKI-GLANC.

Dalszy ciąg ze str. 1

Pociąg zwalnia. Nagle tętent kół toczących się po szynach zmienia swój charakter. Czuje się, że jest czymś objęty, czemuś przyporządkowany. W monotonnym stukocie dalekim echem dźwięczy bez mała 12 tysięcy ton stali wielkiego dworca, ponad 2 tysiące ton betonu, 55 tysięcy metrów kubicznych kamienia budowlanego i marmuru, 100 tysięcy metrów kwadratowych okładziny aluminiowej. Brzęczy gdzieś leciutko niesłyszalnie, 16 tysięcy metrów kwadratowych szkła.

Tunel. Perony. Ludzka niecierpliwość, pośpiech. W drzwiach wagonów niepotrzebny tłok, zawadzają walizki. Peron, jeden z czterech. Strzeliste słupy obłożone plukaniem żwirem. Dwanaście par ruchomych schodów. Peron zapelnia się i pustoszeje w mgnieniu oka.

1.

Pamięta się jeszcze datę 5 grudnia 1975 roku, jeszcze nie odeszła w niepamięć, jak tyle innych dat. Nagłówki na pierwszych stronach gazet:

**DWORZEC CENTRALNY  
W WARSZAWIE  
PRZEKAZANO DO UŻYTKU  
1100 DNI WYŚCIGU Z CZASEM**

Chłodno. Jako jednego z ostatnich pasażerów unoszą mnie z peronu ruchome schody. Jako ostatniego z przybyłych tym pociągiem, widzi mnie „oko” umieszczonej pod betonowym stropem kamery telewizyjnej, której przed chwilą jakiś chłopiec w harcercskim mundurku pokazał język.

100 tysięcy pasażerów dziennie. 136 pociągów dalekobieżnych w ciągu jednej doby.

40 milionów pasażerów rocznie w ruchu dalekobieżnym.

Z miasta wchodzi zmarznięci, przemoknięci ludzie. Otrzępują parasole i plaszcze z błyszczących kropli. Tupią, szurają nogami na metalowych wycieraczkach oprawionych w kamień posadzki.

2.

Hostessy, panielki z wydzielonej sali z napisem **INFORMATION**, w kaskach, dziewczęta w informacji peronowej, za bufetami barów, ładami sklepów i kiosków z gazetami — ich oczy zwrócone są do wnętrza, są specjalnymi, czuymi na światło komórkami endodermi dworca. To dla nich ze wszystkich stron: z ulicy Marchlewskiego, Al. Jerozolimskich, ze Złotej i Marszałkowskiej; różnymi poziomami i w różnym natężeniu wśród podziemnych przejść i korytarzy, z dworca Warszawa Śródmieście — zewsząd, płyną **PASAZEROWIE** w labiryncie organicznej cyrkulacji. Aż trudno uświadomić sobie, że i **ONE** też mają swoją „prywatność”, twarze, do których można się jednak inaczej zbliżyć, że poza uniformem tętni życie, które ma swoją uzasadnioną pretensję być autentyczne i jedyne.

Sączy się muzyka, gdzieś z sufitów. Muzyka staje się następnym wymiarem przestrzeni, tej liczącej 471 tysięcy metrów sześciennych kubatury. Anonimowość, którą silnie odczuwam, przemienia się w swoisty narkotyk.

Na imię mi pasażer.

3.

Bar samoobsługowy w głównej hall dworca. Czynny całą dobę z przerwą w nocy od godziny 2 do 5. Dworcowa restauracja kategorii II. Czynna od godziny 6 rano do 22 w nocy. Niewiele znaczące spostrzeżenia. Szesnaście kas biletowych. Nie potrzebuję żadnego biletu, ale stałem przy jednej z nich i zajmuję miejsce w kolejce. Bodażże kasa z numerem dwunastym. Nieważne. Jestem dwudziesty pierwszy. Spoglądam na zegarek. Mijają dwadzieścia dwie minuty do momentu, kiedy podchodzą do okienka kasy mógłbym kupić bilet. Odchodzę bez słowa. Lekka konstatacja dwóch czy trzech osób, które widzą mój manewr.

— Aha, nie wziął pieniędzy.

— Przepił.

— Może...

Oglądam się: milkną.

Z moich obliczeń wynika, że kasy obsługują jednego pasażera około minuty. Zatem szesnaście kas dworca w ciągu jednej godziny jest w stanie wydać bilety dla 960 ludzi. Powiedzmy dla tysiąca. Taka zabawa liczbami ma oczywiście charakter najzupełniej orientacyjny, bo ktoś może kupować trzy bilety, inny jeden. itd.

Po schodach docieram do restauracji. Stąd, z góry, ludzie kręcący się tam i sam po hall i wyciekający przy kasach wyglądają prawie jak przysłowiowe mrówki. Hala wydaje się jakby za duża i przytłaczająca swym monumentalnym ogromem. Widok jest surowy i kojarzy mi się nie wiedzieć czemu z gigantyczną czytelnia.

W restauracji jest dość swojsko i bez szczególnego „wyrazu”. Szatnia płatna jeden złoty, toaleta płatna jeden złoty. Może, trochę jak na drugą kategorię zbyt schudnie. N. bagażach oddanych w szatni do przechowania

wypisują białą kredą numerki płaszczka. Szatniarz ubrany jest w służbowy, brązowy garnitur i ma minę wysoce urzędniczą. Obsługuje z powściągliwą uprzejmością i pedantycznie przestrzega w swoim królestwie porządku. Obok drzwi do toalety dwa duże lustra. Drzwi prowadzące na salę restauracyjną, podobnie jak wszystkie inne drzwi przeznaczone do użytku pasażerów na dworcu, są szklane.

Na sali luźno. Wybieram stolik z widokiem na Marszałkowską i kawałek Jerozolimskich. W dali, osnuty strzępkami brudnej mgły, hotel „Forum” — przypomina jednolity blok kamienny czerwono-brunatnej barwy. Z miasta nie dochodzą tutaj żadne hałasy — może przytłacza je szmer rozmów. Spoglądam na sufit zrobiony z ciemnonorodowych listew. Trudno określić, z jakiego są materiału. Może metal? W dwóch miejscach podwieszono odbiorniki telewizyjne w specjalnych kasetkach. Parami, po dwa, skierowane w przeciwnych kierunkach tak, żeby były widoczne ze wszystkich stron sali.

Między stolikami przesuwają się kelnerzy w czarnych i brązowych uniformach. Wszyscy mają na lewej piersi plakietki z napisem „Wars” i swoim nazwiskiem. Nie są anonimowi, ale i tak giną pod okiem kelnera. Kelner dla gości jest kelnerem i już — powiedział mi kiedyś

elektryczny. Tu czas obnaża swój władczy charakter. Wspomagany przez głos speakera obwieszczonego przyjazdy i odjazdy pociągów, czas jak chce steruje masami ludzi. Więc zegary, wszędzie, gdzie spojrzeć elektryczne zegary, prostokątne, ze znakomicie widocznymi cyframi, które zmieniają się beznamyślnie z ledwie słyszalnym szumem. Godziny, minuty, sekundy... Nie, sekund zegary dworcowe pokazywać nie muszą. Sekundy płyną wąską stróżką w żyłach ludzi, którzy czekają, aż czas zdejmie z nich zawieszenie oczekiwania.

Ktoś kichnął.

Ktoś zapowiedział pociąg ekspresowy do Gdyni.

Ktoś niewidzialny włączył odbiorniki telewizyjne. Film Obraz jest zniekształcony, nie słychać dialogów.

Unoszą się głowy. Ludzie wpatrują się bezmyślnie w pantomimę dziwnie zniekształconych postaci. Mają zajęcie, które na chwilę odciąga ich od zegara. Coś się rusza. Patrzą.

Z lewej, od wejścia do restauracji biorąc, prawie niewidoczny, wstydliwie ukryty „Cocktail — Bar” świecił pustkami, nawet personel się wyniósł.

Biorąc płaszcz z szatni, kładę przepisową złotówkę. Trochę tłoczno i zacisnie. Czuję na twarzy dotyk jakiejś

— Pojadę na Powązk do wójka Staszka, koniecznie..

5.

Chcę kupić papierosy. Przy kiosku z gazetami słowna utarczka. Podchodzę bliżej. Kępka szatynka ostrzyżona na chłopczyce wtyka za szybę tabliczkę z napisem o dość dziwnej treści: „Nie prowadzimy wymiany bilonu do automatów”. Mężczyzna w szarym płaszczu rozkłada bezzadnie ręce:

— Jak tu dzwonić? Już trzy automaty obszedłem. Zżarły mi wszystkie dwa i pięćzłotówki.

Głuchy warok mechanicznej szczotki. Sprzątanie. Dwoje najzupełniej dorosłych ludzi bawi się automatycznymi drzwiami.

Nie wiem kiedy, ale zaczęło robić się ciemno. Dni są coraz krótsze.

6.

— Pamięta pan gdzie zdarzył się wypadek?

— Na schodach od ulicy Chałubińskiego. Padal deszcz i było mokro jak diabli na tych schodach. Wszystko pamiętam do chwili, kiedy zachwiałem się i poczułem potężne uderzenie w głowę.

— No, właściwie nie uderzenie, tylko padający rąbnął pan solidnie głową o stopnie.

— Jest pan zorientowany..

— Przepraszam, ile pan ma lat?

Michał R. patrzy na mnie trochę jakby ze zdziwieniem. Mnie natomiast drażnią szpitalne zapachy i to, że nie wiadomo po co mecząc rannego niepotrzebnymi pytaniami.

— Dwadzieścia pięć. Jeżeli to panu do czego potrzebne — odpowiedział.

— Mieli więc rację.

— Kto?

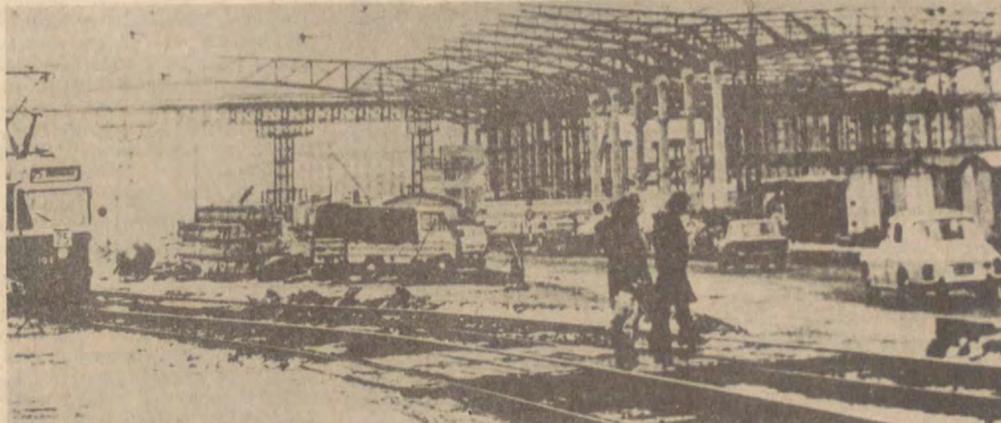
— Dwaj, również jak pan młodzi ludzie, w podziemiu koło apteki. Sprzeciali się głośno. Jeden z nich, taki mały, z ryżą brodką, rozlatany, nerwowy, na miejscu nie mógł ustać, ten właśnie szarpał wyżej za ramię i krzyczał, że młody, że go szkoda, a tamten wyruszył ramionami i wyrwał się. Może mu się śpieszyło na pociąg? Nie wiem.

— O mnie chodziło? — spytał Michał R. głosem tak słabym, że przestraszyłem się nie na żarty.

— Tak — powiedziałem po chwili zastanowienia, czy nie przerwać rozmowy. — Oni też zeszli ze schodów od ulicy Chałubińskiego, oni i przynajmniej ze sto osób, które przechodziły obok pana bez najlżejszego zainteresowania, co się dzieje. Gdyby nie ten ryż, wykrawiliby się pan na śmierć.

ROK

PO OTWARCIU



Fot. Archiwum

stary kelner, z którym chciałem zawrzeć znajomość. Podobnie dzieje się z pasażerami na dworcu. Może dlatego potrafią tyle godzin spędzić w dworcowej restauracji i unikają wygodnej poczekalni.

Przeoglądam kartę:

„Dishes with fixed prices are served to-day”.

Chodzę najpewniej o to, że dania z wypisaną ceną są w danym dniu aktualne. Na dole odręczny dopisek: „Pиво podajemy wyłącznie do konsumpcji”. Wybieram jakieś drugie danie z wypisaną ceną i butelkę „tyskiego” piwa.

Można palić!

W dworcowej restauracji spędzam około dwóch godzin. Właściwie nie się nie dzieje. Zauważam tylko, że piwo sprzedaje się jednak również bez konsumpcji. Sporo piwa. Piwo stało się nieodłącznym atrybutem dworców i kolei. Przy sąsiednich stolikach blache rozmowy. Goście głównie spoza Warszawy, ale tak na oko nie brak też takich, którzy nie wybierają się w żadną podróż. Trochę młodzieży. Jakaś wycieczka ze wsi czy małego miasteczka oprowadzana przez przewodnika. Nad bufetem standardowy zegar

goś z rozmachem zakładanego pałta, rękaw, futrzany koinierz. Przed lustrem, koło toalety, dwoje bardzo młodych ludzi. Niemcy. Nikt nie zwraca na nich uwagi.

Liebst du mich?

Ich liebe dich, es gibt nichts anderes mehr für mich, als dich zu lieben.

4.

Bar i restauracja znajdują się w przeciwnych końcach długiego, ciągnącego się przez całą szerokość hall tarasu z żelazną balustradą. W tym miejscu najchętniej zatrzymuję się na dłuższą chwilę wszelkiego rodzaju wycieczki. Można stąd spokojnie gapić się na małych, zabieganych ludziach. Również spoglądam na dół. To już nie czytelnia, to sala tańca — myślę.

Schodzę na dół.

— Wiesz — dolatuje do mnie z lekka zadumany głos — a gdyby tak tu, w tej hall, postawić na samym środku wielką choinkę?

— Musiałaby być bardzo, bardzo wielka..

— I Mikołaj rozdobył dzieciom kolejki „Piko”.

— Może myśleli, że jestem pijany?..

— Mogli nie dotykać, wezwał pogotowie..

— Nie wie pan, że ludzie mają dosyć swoich spraw na głowie, żeby się jeszcze o czyjąś głowę martwić: cała, czy nie?

— Ależ tam zaraz jest apteka.

— Wiem, ale pan też przecież tam był i widział.

Michał R. opadł jakos głębiej na poduszki. Spod bandaży wystawała trochę zniekształcona, młoda twarz. ręce rozczapierzone na szpitalnej koldrze były blade, z woskowosinym odzieniem.

— Nie wygląda pan na dwadzieścia pięć lat — powiedziałem.

Nie odpowiedział. Przeprosił i wyszedłem. Przerwano mi zwiedzanie podziemnego ronda. Deszcz..

7.

DWORZEC CENTRALNY w Warszawie. Jeden zwykły dzień w noc po otwarciu.

IRENEUSZ DOMIENIK

PRASA POLSKA 1661 - 1864

Inicjatywa opracowania syntezy historii polskiej prasy zrodziła się przed ponad dziesięcioma laty w Pracowni Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego PAN. Płaćkowska ta, założona w 1959 r. z inicjatywy prof. dr Henryka Jabłońskiego, weszła w 1968 r. w skład Instytutu Badań Literackich PAN. Zanim podjęto zamysł syntezy, opublikowała wiele monografi i studiów — zwłaszcza w cennej serii „Materiały i Studia do Historii Prasy i Czasopiśmiennictwa Polskiego” — jeszcze więcej artykułów i przyczynków, dotyczących niejednokrotnie bardzo szczegółowych zagadnień. Wszystko to było konieczne, aby zyskać odpowiednią podstawę informacyjną dla opracowania syntezy; było niezbędne dla wypracowania własnych metod badawczych, dla wykształcenia własnej wysoko wyspecjalizowanej kadry naukowej. Cechą opracowań syntezicznych — nie tylko w dziedzinie historii — jest, że łatwo się je czyta (o ile są dobre), ale trudno... opracować.

Nie zawsze rozumieją tę oczywistą dla każdego profesjonalnego historyka prawdę ci amatorzy historii, którzy z naukową pracą historyczną mają jedynie kontakt... czytelnika, żądającego od historyków, by dali mu do ręki takie bądź inne dzieło, obejmujące całość interesujących go aktualnie spraw. Nie zawsze rozumieją to niektórzy programatorzy nauki, którym zbyt często się zdaje, że wystarczy tylko rzucić pytanie, a nauka historyczna udzieli na nie natychmiastowej odpowiedzi. Nie ukrywam — a opieram to na doświadczeniach niejednej sprawy — że niepokoi mnie oweży ped tworzenia na silę najróżniejszych historycznych „syntez”, bez należytej podbudowy monograficznej. Jakże często się zdarza, że zamiast wartościowego dzieła, otrzymujemy zakalcowaty plód ducha, będący czymś między zbiorem wypisów, a niepełną encyklopedią, żywe świadectwo marnotrawstwa sił i środków. Synteza — to najambitniejszy cel pracy historycznej, wymagający od autorów szczególnie wiele — wspaniałej znajomości szczegółowego tworzywa całości, oraz błyskotliwej, nowoczesnej koncepcji jego zorganizowania. Wymaga od uczonych umiejętności perspektywicznego spojrzenia na badany przedmiot, ukazania go w skali porównawczej, w całości jego struktury i dynamiki. Wszystko to jest bardzo trudne, ale dla powstania naprawdę udanej syntezy, na pewno konieczne. Jeśli zabraknie szerszego oddechu, całościowego spojrzenia, które nie wszystkim jest dane, a zostanie tylko mrówcza pracowitość, wówczas powstaje nie synteza, ale dzieło — nieraz wartościowe — pośrednie między encyklopedią a podręcznikiem. Podręcznik zaś, ani encyklopedia, syntezami nie są; podobnie jak nie jest syntezą bryk z jakiegoś dzieła literackiego.

Wszystko to piszę pod wrażeniem lektury pierwszego tomu opracowanej przez Pracownię Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego zarysu dzieł polskiej prasy, zatytułowanego: „PRASA POLSKA W LATACH 1661—1864”, a opublikowanego przez zespół autorów pod redakcją znanego badacza XVIII w. Jerzego Łojki (Warszawa, PWN, 1970). Jest to z pewnością dzieło ambitne i wartościowe, opracowane przez grono kompetentnych specjalistów, zredagowane z naukową odpowiedzialnością. Stanowi pierwszą część zakrojonej na trzy tomy całości; drugi, poświęcony prasie okresu od upadku powstania styczniowego do odzyskania niepodległości w 1918 r. ukazał się właśnie na półkach księgarskich, na trzeci — który obejmie czasy II Rzeczypospolitej, wojny i okupacji — wypadnie zapewne jeszcze poczekać. Zespół Pracowni Historii Czasopiśmiennictwa ma jeszcze w zamierzeniach opracowanie czwartego tomu, który byłby poświęcony dziejom prasy w Polsce Ludowej. W słowie od Redakcji, umieszczonym na wstępie omawianego tomu zaznaczono, że „w pewnym stopniu zaawansowane są prace nad dziejami prasy w latach 1944—1948; jednakże historia dziennikarstwa i czasopiśmiennictwa PRL w okresie 1949—1970 wymaga jeszcze starannych badań źródłowych”.

Czy pierwszy tom całości, który otrzymaliśmy do ręki, jest w pełni naukową syntezą? Autorzy zdają sobie sprawę z tego, że ich dzieło nie jest wolne od niedostatków: nie zawsze jest dostatecznie jednolite, nie wszędzie zachowano właściwe proporcje w przedstawianiu zagadnień, co jest spowodowane aktualnym stanem badań. Szkoda, że niejednolitość tekstu jest aż tak wyraźna: tylko niektórzy spośród autorów pokusili się o próby ujęć historycznych, w przypadku historii prasy bardzo przeciętne, ważnych, nie wszyscy dostatecznie wnikliwie zastanawiali się nad społecznym funkcjonowaniem prasy, społeczeństwem, oddziaływaniem... Ale to nie wszystko. Niemile uderza w tym wartościowym dziele brak... jakiegokolwiek perspektywy europejskiej. Nie ma w nim najmniejszej próby ukazania przedmiotu w szerszym, europejskim kontekście i to nawet w odniesieniu do epoki zabarów, kiedy ziemie polskie wchodziły w obreby trzech obcych organizmów państwowych, a prasa polska miała niewątpliwie kontakt z prasą pruska, austriacka czy rosyjska. Nawet w odniesieniu do czasów najdawniejszych — jest nim druga połowa XVII stulecia — tak wybitny badacz, jak J. Łojka nie postawił sobie pytania, czy i o ile prasa polska powstaje później niż prasa w innych państwach! Dlaczego takie zwrócenie horyzontu? Nie umiem odpowiedzieć na to pytanie..

Nie tłumaczmy się tym, że istnieje opracowania obecnej prasy i że wystarczy do nich zaglądnąć. Prawda, jest ich sporo, obojętne, niedostępne dla „zwykłego” czytelnika. Ale nawet wtedy, gdyby mógł on zażreć do tych dzieł, nie dowiódł się z nich, jakie były związki obecnej prasy z polską... Bo na to pytanie muszą odpowiedzieć polscy historycy czasopiśmiennictwa i nikt ich w tym nie wyręczy.

ANDRZEJ F. GRABSKI

JANUSZ DUNIN



Przemily uśmiech, którym obdarza wszystkich swoich rozmówców i opadająca na czoło grzywka z lekko siwiejących włosów — tę twarz znają wszyscy stali czytelnicy Biblioteki Uniwersyteckiego Łódzkiego. I nie może być inaczej, bowiem wcześniej czy później muszą oni zetknąć się z kustoszem dyplomowanym, dr Januszem Duninem.

Minie wkrótce dwadzieścia lat od chwili, gdy młody absolwent polonistyki powrócił do naszego miasta, by rozpocząć pracę w bibliotece uniwersyteckiej. W Łodzi bowiem skończył szkołę średnią — popularnego „Kopra”. Od tego okresu datują się początki jego pasji — książek. Zainteresowanie książką może przejawiać się w bardzo różny sposób. Dla doktora Dunina był to przede wszystkim wybór drogi życiowej — wybór trudnej i jeszcze tak często niedocenianej pracy bibliotekarza. Pozostał jej wierny po dziś dzień, tak jak wierności dochował swojemu obecnemu miejscu pracy. W Bibliotece Uniwersyteckiego Łódzkiego kieruje obecnie Oddziałem Gromadzenia i Uzupelniania Zbiorów. To właśnie dzięki niemu możemy czytać wszystkie „białe kruki” dotyczące historii Łodzi i jej mieszkańców. Sobie tylko wiadomymi drogami odnajduje Pan Janusz dzieła, o których wszyscy myśleli już jako o zaginionych bezpowrotnie.

Z pracą w bibliotece wiąże się ściśle prowadzona przez kilka lat praca dydaktyczna: wykłady prowadzone w Studium Kulturalno-Oświatowym i Bibliotekarskim. Pozwalała ona na przekazywanie młodemu pokoleniu bibliotekarzy zdobytej wiedzy i doświadczenia. Zostają one spożytkowane również w formie bardziej „zinstytucjonalizowanej”: doktor Dunin jest członkiem Komisji ds Zbiorów przy Państwowej Radzie Bibliotecznej oraz członkiem kolegium redakcyjnego czasopisma „Studia o Książce”.

Myłoby się jednak ten, kto by chciał zaliczyć Janusza Dunina do grona przysłówowitów „moli książkowych”. Choć uważa się przede wszystkim za bibliotekarza, to jednak jego zainteresowania i pole działalności są znacznie szersze. Jest między innymi zapalonym zbieraczem exlibrisów. Nade wszystko zaś niestrudżonym propagatorem książek poświęconych Łodzi.

Osobnym rozdziałem jest zainteresowanie doktora Dunina XIX i XX-wieczną książką jarmarczną i tzw. „wydawnictwami brukowymi”. Tak bogate i różnorodne zainteresowania zaowocować musiały w wielu publikacjach. Największą popularnością cieszył się niewątpliwie „Papierowy bandyta” — praca poświęcona książce brukowej w Polsce. Janusz Dunin jest autorem około 100 artykułów naukowych, popularno-naukowych i publicystycznych zamieszczanych zarówno w prasie fachowej „Listach Bibliofilskich”, „Studiach Etnograficznych”, jak i tygodnikach społecznych (pamiętny artykuł w „Polityce” poświęcony sytuacji antykwariatów w Polsce). Jest częstym gościem na łamach „Odgłosów”. Od lat zamieszka — wraz z żoną Cecylią — stały „Folieton Bibliograficzny” na łamach „Bibliotekarza”.

Cała działalność Janusza Dunina związana jest z Łodzią. Pięknym prezentem dla miasta w jego 550-lecie była napisana wraz z żoną książka poświęcona łódzkiemu exlibrisowi: „Exlibrisy, książki, ludzie...”. Wydawnictwo przygotowuje do druku „Żywot i sprawy Sotera Rozbickiego”.

• Obraz tej bogatej i wielostronnej działalności nie byłby pełny, gdybyśmy nie wspomnieli o kilkudziesięciu wyróżzonych odczytach, w których Janusz Dunin popularyzował sprawy książki, a w szczególności wydawnictwa łódzkie, na terenie całego kraju.

ANDRZEJ F. GRABSKI

W 1976 roku ukazała się nakładem Państwowych Wydawnictw Naukowych kolejna książka Andrzeja F. Grabskiego — profesora nadzwyczajnego, kierownika Pracowni Dziejów Myśli Społecznej i Politycznej w Instytucie Historii Polskiej Akademii Nauk, publicysty od lat piszącego na łamach „Odgłosów”, a także „Odry” i „Miesięcznika Literackiego”.

Andrzej F. Grabski jest absolwentem Wydziału Filozoficzno-Historycznego Uniwersytetu Łódzkiego. Po ukończeniu studiów historycznych w 1955 roku rozpoczął pracę w Instytucie Historii PAN jako pracownik naukowy. W swojej karierze naukowej przeszedł wszystkie szczeble, rozpoczynając ją jako asystent, a w 1976 roku Rada Państwa PRL nadała mu tytuł profesora nadzwyczajnego.

Pracę doktorską Andrzej F. Grabski obronił w Uniwersytecie Łódzkim w 1962 roku, habilitował się w Instytucie Historii PAN w 1968 roku. U początków kariery naukowej interesowały go czasy średniowiecza. Zajmował się też problematyką polityczno-wojskową tamtego okresu. Z czasem jednak odszedł od tej problematyki, kierując swoje zainteresowania ku sprawom historii świadomości społecznej, a następnie ku problemom historii myśli społecznej i politycznej oraz historiografii polskiej i europejskiej w czasach nowożytnych. Jego zainteresowania historiografią zrodziły się już w czasach studiów, a mógł ją rozwinąć szerzej, pracując pod kierunkiem profesora M. H. Serejskiego.



Pierwszą swoją książkę Andrzej F. Grabski opublikował w 1959 roku, a była nią wydana przez MON „Polska sztuka wojenna w okresie wczesnofeudalnym”. W 1964 roku, też nakładem MON, wyszła książka pt. „Bolesław Chrobry”. W tym samym czasie, ale nakładem PWN ukazała się „Polska w opiniach obcych w X—XIII wieku”. W 1969 również nakładem PWN — „Polska w opiniach Europy Zachodniej w XIV—XV wieku”. W 1972 roku wychodzi w PWN „Orientacja polskiej myśli historycznej”. I w 1976 — „Myśl historyczna Polskiego Oświecenia”, za którą Andrzej F. Grabski otrzymał nagrodę „Miesięcznika Literackiego”.

W 1975 roku A. F. Grabski był delegatem na Międzynarodowy Kongres Nauk Historycznych, który odbył się w San Francisco, gdzie pełnił obowiązki wiceprzewodniczącego sekcji średniowiecza oraz eksperta od zagadnień historiografii.

Mimo licznych prac naukowych i innych obowiązków A. F. Grabski znajduje czas, aby w każdym numerze „Odgłosów” zajmować się w felietonach i recenzjach problemami historii, myśli historycznej i politycznej, a także upowszechnianiem historycznego sposobu myślenia. Ściśle i trwale związany z Łodzią żywo interesuje się i kulturalnym życiem miasta.

TOMASZ KIESEWETTER



W tym roku mija właśnie czterdzieści lat, odkąd Tomasz Kiewewetter o-

puścił mury Warszawskiego Konserwatorium. Gry na fortepianie nauczał się u Margerity Kazuro, znanej klawesynistki i pianistki, dyplom z kompozycji zrobił u Piotra Rytla, uczęszczał także na dyrygenturę do Waleriana Bierdiajewa.

Tomasz Kiewewetter już w roku 1938 trafił po raz pierwszy do Łodzi. Nie przypuszczał wtedy, że Łódź stanie się jego drugim miastem rodzinnym, po Sosnowcu.

Był jeńcem wojennym, wygnańcem, więźniem kaćce.

Komponować zaczął pod koniec okupacji. Jego oratorium „Stabat Mater” wykonane zostało po raz pierwszy w roku 1944 w sanatorium szpitalnym w Rudce. Partie wokalne wykonywały posługaczki.

Po wojnie znalazł się w Łodzi, gdzie wcześniej osiadła jego rodzina, i związał z Państwową Wyższą Szkołą Muzyczną. Są to lata wyjątkowej działalności kompozytorskiej i pedagogicznej. Profesor Kiewewetter napisał 3 symfonie, 2 kwartety smyczkowe, kilka popularnych suit (m. in. „Tańce polskie”, które zyskały sobie sympatię w najszerszych kręgach słuchaczy i były nawet grywane w pociągach przez przygodnych grajków), kilka koncertów, poemat symfoniczny „Przygody Sindbada Żeglarza”, balet „Królewski błazen”, a nawet operetkę „Bal samotnych”. Pisał utwory orkiestrowe i kameralne, pieśni fortepianowe, uprawiał wreszcie muzykę filmową i teatralną. Za najważniejszą w swym dorobku uważa muzykę pisaną dla teatru — blisko 50 kompozycji.

Współpracował z wybitnymi reżyserami m. in. z Leonem Schillerem („Celestyna”, „Igraszki z diabłem”), później związał się z Kazimierzem Dejmkiem („Święto Winkelrida”, „Operetka”). Dla Teatru Nowego w Łodzi pisze Kiewewetter wiele do dziś.

Równoległe przebiegała jego kariera pedagogiczna. W Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Łodzi prowadził przez dłuższy czas klasę dyrygentów. Wychowankami profesora są znani dziś artyści: Gzella, Szymański, Pawelec, Urbański, Przybylski, Basztoń.

Obecnie prowadzi klasę kompozycji, instrumentacji i czytania partytur. I tu może poszczycić się sukcesami. Jego uczniami są obiecujący kompozytorzy: Jerzy Bauer, Kazimierz Bronisław Przybylski, Jolanta Smolska.

Słowem czterdzieści lat bogatej działalności muzycznej. Trzy czwarte tego czasu to łódzkie lata Tomasza Kiewewettera. I już choćby dlatego profesor zasłużył sobie na tytuł łodzianina roku 1976.

GRZEGORZ KRÓLIKIEWICZ

Grzegorz Królikiewicz ukończył wydział prawa Uniwersytetu Łódzkiego, a następnie wydział reżyserii PWSTiF.

Pierwsze kroki jako reżyser stawiał w Wytwórni Filmów Oświatowych w Łodzi. W roku 1969 zrealizował dwa krótkie filmy: „Mężczyźni” i „Sprawa lorda Jima”. W 1970 roku w Wytwórni Filmowej „Czołówka” w Warszawie nakręcił trzy filmy: „Wierność”, „Szefa”, „Pamiętamy Lenina”, a w 1971 w Wytwórni Filmów Dokumentalnych w Warszawie — „Braci” i „Nie płacz”. Film „Nie płacz” zdobył Brązowego Lajkonika w Krakowie w 1972 roku.

Od 1970 roku realizuje widowiska z cyklu „Teatr Faktu” i filmy telewizyjne, m. in. widowisko o Krzysztofie Kolumbie i Giordano Bruno oraz film telewizyjny „Lapa”, czyli paradoks o aktorze”. Za działalność telewizyjną zostaje Królikiewicz odznaczony w 1971 roku „Złotym Ekranem”.

W filmie fabularnym zadebiutował w roku 1973 filmem „Na wylot”.

Królikiewicz swoje credo artystyczne realizuje w wielu formach, np. efektywnie brał udział w organizowaniu na terenie Łodzi Zespołu Filmowego; uprawia publicystykę kulturalną i krytykę artystyczną na łamach



czasopism filmowych: „Ekran” i „Kino”; zajmuje się pracą dydaktyczną w Szkole Filmowej, uczestniczy w spotkaniach telewizyjnych, ale najważniejsza jest jego twórczość artystyczna rozwijająca się dwoma nurtami: filmowym i telewizyjnym. Działalność ta ostatnio rozszerzona jest o doświadczenia teatralne.

Twórczość Królikiewicza ma swój niepowtarzalny styl, cieszą jego poszukiwania nowego odczytania tematów z przeszłości. Królikiewicz śmiało sięga zarówno do życiorysów wybitnych ludzi, takich jak Krzysztof Kolumb czy Giordano Bruno, jak i do ważkich wydarzeń politycznych i społecznych. Przykładem są tutaj spektakle „Teatru Faktu” poświęcone Konstytucji 3-go Maja, Komunie Paryskiej i buntowi chłopskiemu, któremu przewodził Jakub Szela.

Nie boi się też Królikiewicz klasyki; wszyscy z ogromnym zainteresowaniem oglądaliśmy niedawno „Fausta”. Świetnie radzi sobie również z tematyką współczesną, przykładem może tu być widowisko „Toporny” wg Juliana Kawalca, które otrzymało nagrodę jako najlepszy spektakl Teatru Telewizji w roku 1974.

MIECZYSLAW NOWICKI

Z Igrzysk Olimpijskich w Montrealu przywiózł dwa medale. Srebrny, zdobyty wspólnie z Tadeuszem Mytnikiem, Stanisławem Szozdą i Ryszardem Szurkowskim w wyścigu drużynowym na 100 km i brązowy za wyścig indywidualny na dystansie 180 km.

Do sportu i kolarstwa trafił właściwie przypadkowo. W roku 1967 kuzyn zgłosił go do udziału w „Małym Wyścigu Pokoju” zorganizowanym przez „Dziennik Łódzki”. Mieczysław Nowicki przyjechał na ten wyścig ze swego rodzinnego Piątku i wygrał. Na młodzieżkiego kolarza zwrócili wówczas uwagę fachowcy. Przez rok trenował w łódzkim „Społem”, a później przeszedł do „Włókniarza”, gdzie po-



zostaje do tej pory, będąc cały czas pod opieką trenera Lucjana Józefowicza.

Swoją karierę kolarską Mieczysław Nowicki rozpoczął na torze. Był dwukrotnym mistrzem Polski — w roku 1970 i 1972 — na dystansie 4 tys. metrów na dochodzenie. Na Igrzyskach Olimpijskich w Monachium wspólnie z drużyną zajął czwarte miejsce w wyścigu na torze na dystansie 4 tys. metrów. Jeszcze w 1973 roku na mistrzostwach świata w San Sebastian startował jako kolarz torowy. Przez cały czas jednak swej kariery torowca marzył o startach na szosie. Przygotowywał się do tego, trenując jednocześnie kolarstwo torowe i szosowe. W powszechnym odczuciu kibiców, a i zawodników również, kolarstwo szosowe jest wyżej notowane, budzi większe zainteresowanie i zapewnia większą popularność.

Jako szosowiec Mieczysław Nowicki zadebiutował w 1973 roku w Wyścigu Pokoju. Zajął wówczas 10 miejsce, choć jego zadaniem było nieść pomoc innym kolegom z drużyny. Pierwszym udanym sezonem kolarskim dla M. Nowickiego był rok 1975. W mistrzostwach świata w Mettet zdobył wraz z drużyną złoty medal. Już sam wygrał wysoko notowany wyścig dookoła Szkocji. W 1976 roku w Wyścigu Pokoju zajął 8 miejsce, wygrał wyścig dookoła Nadrenii a w Luksemburgu w tzw. wyścigu „open” (dla zawodowców i amatorów) zdobył jednocześnie tytuł najlepszego „górala” i II miejsce w klasyfikacji na najaktywniejszego kolarza. 1976 rok przyniósł mu również dwa olimpijskie medale.

W 1975 roku katowicki „Sport” przyznał mu nagrodę dziennikarzy „Kryształowe koło”. Otrzymał ją za koleżeńską, a zasłużył sobie na to oddając w Wyścigu Pokoju swój rower R. Szurkowskemu, za życzliwość, poważny stosunek do pracy dziennikarskiej oraz za uśmiech, który nigdy nie schodzi mu z twarzy. W roku 1976 po raz drugi otrzymał „Kryształowe koło”. Sport dla M. Nowickiego jest szkołą charakteru. Stawia sobie zawsze wysokie cele, a starając się im sprostać nigdy nie zapomina o kolegach. Nawet w Montreale, jadąc po brązowy medal, oglądał się stale, czy nie ma gdzieś w pobliżu innego Polaka, któremu może trzeba byłoby pomóc.

URSZULA PŁĄZEWSKA



„Po mnie poprawiać nie trzeba” — z tym hasłem Urszula Płazewska wystąpiła na VII Zjeździe PZPR i hasło to zdobyło sobie powszechne uznanie. W różnych przedsiębiorstwach kraju powstały zespoły, które zobowiązywały się do pracy bezbrakowej. Dziś — po V Plenum KC PZPR — kiedy problem jakości produkcji znajduje się w centrum powszechnego zainteresowania, hasło: „Po mnie poprawiać nie trzeba” nabiera nowego, jeszcze silniejszego wyrazu.

Urszula Płazewska niedawno obchodziła 25-lecie swojej pracy zawodowej. Zaczęła ją wcześniej, jako 15-letnia dziewczyna, kiedy to poszła na naukę zawodu do ówczesnych Zakładów Przemysłu Pończoszniczego im. Franka Zubrzyckiego i w tej fabryce — dziś noszącej nazwę „Feniks” — pracując nadal. W „Feniksie” nauczyła się zawodu, tu też zdobyła wyższe kwalifikacje.

fikacje, kiedy fabryka modernizowała się, tu też rozpoczęła swoją działalność polityczną i społeczną.

„Feniks” jest fabryką, w której znaczną większość, bo aż 80 procent załogi, stanowią kobiety. Kobięca załoga ma swoje liczne i różnorodne problemy i działacz polityczny i społeczny musi je dobrze znać. Urszula Płażewska zna je równie dobrze z autopsji, jak i z obserwacji i kontaktów z załogą. Ta znajomość ludzi i ich codziennych spraw pomaga jej w pracy, pozwala bliżej żyć z załogą, reagować na jej potrzeby i przyczyniać się do rozwiązywania codziennych kłopotów. A tych „Feniks” ma немало, jako że fabryka modernizuje się i przenosi do nowych budynków wzniesionych przy ulicy Brzezińskiej.

Pracę społeczną Urszula Płażewska rozpoczęła w ZMP. W 1954 roku została członkiem PZPR. Działalność swoją przerwała na krótki okres, kiedy jej uwagę zajmowało wychowanie dzieci. Skoro tylko dzieci podrosły, powróciła do czynnego życia społecznego i politycznego. W pracy partyjnej pełniła różne funkcje. Była członkiem egzekutywy POP, członkiem Komitetu Zakładowego i egzekutywy Komitetu Zakładowego PZPR w „Feniksie”. Była i jest członkiem Komitetu Łódzkiego PZPR oraz członkiem Egzekutywy KL PZPR. Na VII Zjeździe PZPR została wybrana członkiem Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

Najwięcej satysfakcji sprawia Urszuli Płażewskiej praca wśród kobiet. W pracy tej odnajduje swoje codzienne troski, stara się zrozumieć kłopoty i zmartwienia innych kobiet i przyjść im z pomocą. Każda załatwiona sprawa, rozwiązane trudności, sukces brygady, oddziały czy całej fabryki daje jej wielkie zadowolenie, gdyż wie, że w tym wysiłku była i częścią jej działalności.

**HENRYK PŁOCIENNIK**



43-letni grafik i malarz należy do najbardziej popularnych łódzkich artystów. Wielokrotnie nagradzany i wyróżniany (blisko 18 nagród, ponad 20 wyróżnień w konkursach na grafikę), pokazywany na reprezentatywnych krajowych i zagranicznych wystawach (23 wystawy indywidualne — w tym 7 za granicą, udział w ponad 150 wystawach — w tym około 50 za granicą). Tę imponującą statystykę tłumaczy po części fakt, że od początku lat 60-tych Henryk Płociennik utrzymuje się w ścisłej czołówce twórców cenionych, chętnie oglądanych i kupowanych. Tajemnica sukcesu artysty nie jest trudna do odgadnięcia: zawsze uprawiał sztukę komunikatywną, utrzymaną w konwencji własnego, rozpoznawalnego na pierwszy rzut oka stylu. Tylko nieliczni pamiętają, że pomógł go ukształtować jeden z największych powojennych grafików, nieżyjący już przyjaciel Płociennika — Józef Gliński. Także niemal od początku w twórczości artysty przewijały się kontynuowane do dziś motywy: człowiek a (pary idealizowanych, samotnych kochanków), przyrody, kosmosu rozjarzonych słońc, gwiazd i komet. Każda z grafik — zwłaszcza głośny cykl „Miodowy miesiąc” — budowana była z symbolicznych skojarzeń dotyczących spraw podstawo-

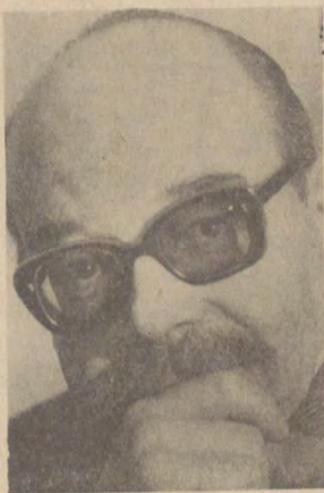
wych, bliskich wszystkim ludziom. Wielokrotnie krytycy doszukiwali się w nich egzemplifikacji arkadyjskiego mitu krajiny wiecznej szczęśliwości. Od kilku lat artystę zajmuje także malarstwo. Ze zwykłą sobie techniczną precyzją wywołuje motywy charakterystyczne dla znanych już wcześniej cyklów graficznych. Często jednak w obrazach rezygnuje ze sztafażu — symbolicznej pary — i w sposób właściwy surrealizm wprowadza geometryczne motywy, jakby materialne ślady tajemniczych sił poruszających kosmos. Ważną rolę odgrywa w nich kolor; nasycony światłem, niekiedy silnie kontrastowy. Nigdy jednak grafiki czy obrazy Płociennika nie przekraczają bliskiej człowiekowi skali wyobrażeń — może dlatego każda nowa ekspozycja staje się kolejnym sukcesem.

Na co dzień — Henryk Płociennik jest niezastąpionym partnerem długich rozmów o sztuce (zawsze do nich gotowy), pogodnym i skromnym. Lubi dobre wino i stare książki. Przyjaciele wiedzą, że poza sztuką ma jeszcze inną prawdziwą pasję — słuchanie i kolekcjonowanie płyt z jazzem lub balladą. Setki wielobarwnych okładek znakomitych nagrań są jego prawdziwą dumą... nie mniejszą chyba niż artystyczne sukcesy. Nie protestuje, gdy znajomi doszukują się w mocno brzmiałych kolorystycznych akordach jego obrazów skojarzeń muzycznych. Wreszcie — nade wszystko ceni sobie rodzinne miasto Łódź i swoją pracę w na poddaszu jednej z kamienic przy Piotrkowskiej.

**JERZY PRZYBYLSKI**

Wszystko zaczęło się od Wrocławia. Potem był Gdańsk i współpraca z Lidią Zamkow, która powierza młodemu wówczas aktorowi rolę Wojewody w „Mazepie” J. Słowackiego. Interpretacja tej pierwszej dużej roli spotyka się z dobrym przyjęciem i otwiera nowe możliwości przed aktorem. I oto Jerzy Przybylski już w Nowej Hucie u K. Skuszanki i J. Krasowskiego gra Baracha w „Księżniczce Turandot” C. Gozziego, Pułkownika w „Jakubowski i pułkownik” F. Werfla oraz Prospera w „Burzy” W. Szekspira.

Już wówczas kształtuje się osobowość twórcy aktora o charakterystycznym, refleksyjnym gatunku. Potwierdzają to dalsze kreacje, które Jerzy Przybylski stworzył w krakowskim Teatrze Starym kierowanym przez W. Krzemińskiego. Z licznych ról tego okresu (1959—1963) z największym uznaniem spotkały się takie wielostronne i opozycyjne aktorskie jak: Zawisza Czarny w dramacie J. Słowackiego, Pastor w „Candydzie” G. B. Shawa, Major Transen w „Skandalu w Helbergu” J. Broszkiewicza, Newton w „Fizykach” F. Dürrenmatta.



Z tym, tak znamienym dorobkiem, aktor pojawia się w Łodzi, zdobywając sobie od razu sympatię teatromanów rolą Malatesty w sztuce H. Montherlanta zagraną w teatrze im. Stefana Jaracza. Również na tej scenie Jerzy Przybylski stworzył znakomitą kreację jako George w sztuce E. Albee’ego „Kto się boi Virginii Woolf”.

Do wydarzeń należą dwie role Jerzego Przybylskiego zagrane w Teatrze Powszechnym. Są to: Kapitan w „Tańcu śmierci” A. Strindberga i Lear w „Królu Learze” W. Szekspira.

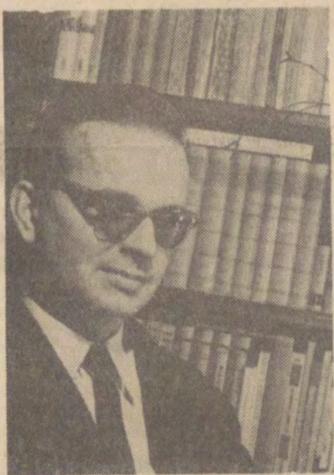
Na specjalne podkreślenie zasługują kreacje Jerzego Przybylskiego w Teatrze im. Jaracza. Przede wszystkim są to: Messer Montiquo „Przepis ze starej kroniki” J. Broszkiewicza, Kossecki w „Popiele i diamentach” J. Andrzejewskiego, Eugeniusz w „Tangu” S. Mrożka, Harry w dramacie D. Storeya „Dom”, Doktor w „Litości Boga” J. Cau.

Rozległość stworzonych przez Jerzego Przybylskiego ról świadczy o bogactwie możliwościach twórczych tego aktora, o jego kreatywnej wrażliwości intelektualnej.

W ciągu trzydziestu lat pracy na scenie stworzył Jerzy Przybylski pięćdziesiąt ról, które stały się w przeważającej liczbie wydarzeniami o ogromnym znaczeniu dla teatru polskiego.

**IGOR SIKIRYCKI**

Nie ma chyba młodego czytelnika, który nie znalazł przygód rycerza Chwalipięty, czy opowieści o koniku Garbusku. Podobnie trudno sobie wyobrazić miłośnika arcydzieł klasyki światowej, który pominąłby w swych lekturach stare eposy: gruzińskiego „Witezia w tygrysięj skórze” i armeńskiego „Dawida z Sasunu”. W obydwu sytuacjach, oddalonych od siebie w życiu jednego człowieka przestrzeni, na plan pierwszy wysuwa się barwny świat wydarzeń, bohaterów i mi-



tów. Twórcy bądź współtwórcy naszych przeżyć — autorzy i tłumacze — na ogół pozostają w cieniu, poza uwagę i pamięć odbiorcy. A przecież bez ich pracy świat ten by dla nas nie istniał lub odgradzony był barierą obcego języka.

Godzi się te prawdy przypomnieć, aby uświadomić sobie rangę i pożytek twórczości literackiej i przekładowej Igora Sikiryckiego, właśnie autora „Chwalipięty”, tłumacza „Garbuska” Jerszowa, „Witezia” i „Dawida”. Poeta, prozaik, satyryk, autor antologii, scenariuszy i adaptacji radiowych, filmowych i teatralnych (ur. 31 VIII 1920 r. w Brześciu n. Bugiem, podczas wojny partyzant AK, łódzianin od 1945 r), zgromadził w ciągu minionego trzydziestolecia dorobek pisarski, w którym każdy — bez względu na wiek — odnajdzie dla siebie coś wartościowego. A więc tomiki wierszy („Wolanie drzew”, „Nocny połów”, „W stronę Kolchidy”), zbiory humoresek („Igraszki i fraszki”, „Ostrożnie świeżo napisane”), powieści („Siedmiu nieobecnych”, „Pietrek z Puszczy Piskiej”), tomy przekładów A. Nikołajewa i M. Tanka, edycje wierszy M. Kajki, antologie „Księga przyjaciół” i „Poezja i proza Azerbejdżanu” (wspólnie z T. Chrościelewskim); na wyliczenie zaś wszystkich utworów poetyckich dla naszych milusińskich przystawionej niedźwiedziej skóry by nie starczyło.

Twórczość Sikiryckiego wysoko jest ceniona, czego dowodem nagrody: Ministra Kultury i Sztuki ZSRR w 1969

roku za przykłady poezji radzieckiej, miasta Łodzi w 1973 roku za całokształt pracy pisarskiej, Prezesa Rady Ministrów w 1976 roku za twórczość dla dzieci i młodzieży. Dodajmy, że Igor Sikirycki jest również działaczem społecznym, zaangażowanym w ruch ochrony przyrody, w walkę o czystość rzek i jezior, o zachowanie naturalnego krajobrazu. Mówi o tych sprawach zawsze z niepospolitą pasją, uważając że troska o przyrodę i rozwój kultury są nierozłącznym obowiązkiem współczesnych pokoleń.

**TERESA SKOCZYLAS**



Jest łódzianką co się zowie, z dziada pradziada. A i społecznikostwo zdaje się być w tej rodzinie dziedziczne. Już ojciec pani Teresy, który zginął w roku 1939, Stefan Zakrzewski, był znanym działaczem harcerskim. To na jego grobie organizujący się wówczas „Promieniści” złożyli sobie przyrzeczenie walki z okupantem. Matka pani Teresy działała do dziś jako zbieraczka folkloru łódzkiego, bo jest zakochana w swym mieście.

Mężem pani Teresy jest także łódzianin, popularny aktor Włodzisław Skoczylas. Córka Małgorzata wdała się chyba w ojca, została aktorką. Pracują w tym samym Teatrze im. Stefa-

na Jaracza, niekiedy występują na scenie razem, jak choćby w „Ślubach panieńskich” Fredry.

Teresa Skoczylas nie uprawia czynnie sztuki, ale ma dla niej zrozumienie, a nawet coś więcej niż sympatię. Pewnie to dlatego wybrała sobie nie najlepiej przecież płatny zawód popularyzatora kultury, w którym pracuje już od 27 lat. Najdłużej, bo 13 lat w Łódzkim Domu Kultury, gdzie opiekowała się amatorami. Dobra szkoła życia, może nawet nie gorsza od tego gimnazjum przy ulicy Spornej, które Tadeusz Chrościelewski opisał w swej powieści „Szkoła dwóch dziewcząt”. Była jego uczennicą.

Od kilunastu miesięcy Teresa Skoczylas kieruje zakładowym klubem „Eltus” w Fabryce Transformatorów i Aparatury Trakcyjnej na Teofilowie. Cóż, położony daleko od centrum klub nie miał najlepszej opinii. Kierownicy zmieniali się często, działalność kulala, personel był szczupły i przypadkowy. Taką to placówkę po latach pracy w Łódzkim Domu Kultury przejęła w samodzielne władanie pani Teresa Skoczylas.

Dziś o klubie „Eltus” głośno jest w Łodzi, a nawet w Polsce. Dzwonią gazety, radiowcy, telewizja.

Oto bilans działalności klubowej w ciągu jednego tylko roku: zorganizowanie, po raz pierwszy w środowisku produkcyjnym, aukcji obrazów; doskonale pracujący Dyskusyjny Klub Filmowy; stały cykl spotkań autorskich i wystaw grafiki pod nazwą „Galeria Słowa i Znaku”; ekspozycje ze zbiorów Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego w Łodzi prezentowane załodze fabryki: „Sztuka Indian peruwiańskich”, „Ceramika i ozdoby huculskie”, „Sztuka ludowa czarnej Afryki”, „Sztuka Polski Środkowej”.

A obok tego duma „Eltus”: plener rzeźby przestrzennej, który będzie powtarzany corocznie. Dziś Fabryka Transformatorów jest zakładem wyróżniającym się w ogólnopolskiej akcji „Sojusz świata pracy z kulturą i sztuką”.

Oto ile może i potrafi jedna słaba kobieta, która dobrała sobie społeczny aktyw i potrafiła zarazić go swym zapalem. A tą kobietą jest właśnie pani Teresa Skoczylas.

**KUPON**

O wynikach plebiscytu i nagrodach za udział w konkursie poinformujemy naszych Czytelników w jednym z numerów marcowych.

Janusz Dunin	.....
Andrzej F. Grabski	.....
Tomasz Kisewetter	.....
Grzegorz Królikiewicz	.....
Mieczysław Nowicki	.....
Urszula Płażewska	.....
Henryk Płociennik	.....
Jerzy Przybylski	.....
Igor Sikirycki	.....
Teresa Skoczylas	.....
Imię i nazwisko	.....
Adres	.....
Zawód	.....

Wypełnione kupony plebiscytowe prosimy nadsyłać na adres naszej redakcji do 1 lutego 1977 roku w kopertach z dopiskiem „Łodzianie 1976”.

Dalszy ciąg ze str. 1

— Tak, czytałem. I mówiąc otwarcie: nie zgadzam się z jego teorią.  
— Dlaczego?  
— Po prostu... wydaje mi się naciągana. Niech on sobie będzie doktorem, niech pisze to swoje rozprawki o Grekach, ale na miłość boską! metody starożytnie nie da się zastosować do współczesnego teatru. Powiem brutalnie: gdyby Ajschylos, Eurypides, ba! Menander i Arystofanes żyli w dzisiejszych czasach, nie mieliby racji bytu. Chociaż, z drugiej strony, trzeba percepcyjnie stwierdzić, że w sztuce na przestrzeni wieków odbywa się raczej postępowy proces niż jakosiś cię. Ty rozumiesz... przeprasza! rozumieć! rozumieć! — nowe arcydzieła nie eliminują starych, nie są od nich ani lepsze ani gorsze, dla wszystkich jest miejsce w wielkiej skarbnicy kultury. Nawiasem mówiąc — widział pan Johna Osborne'a?  
— Wie pan, ja...  
— Mam na myśli LOOK BACK IN ANGER?  
— Aha.  
— On to napisał w pięćdziesiątym szóstym, i teraz, po dwudziestu latach, nie można wprost oglądać. Nudny głoś z tego się zrobił, odkąd młodych gniewnych zastąpił długowłosa, da pan wiary?  
— Skoro pan tak mówi...  
— Gość zachichotał. Potem zaległa cisza. Sylwia dziubiła lizycką szarlotkę, jej matka wpatrywała się we mnie rozszereżonymi oczami.  
— Wszedłem rękę w kieszeń. Wyjąłem. Wszedłem powtórnie. Przypomniałem sobie o chusteczce. A może nie wypada smarować przy damach. Wyjąłem gołą rękę i spłótnę ją z drugą na kolanach. Było mi źle. Więc znowu sprząłem w kieszeniach, udając, że czegoś szukam. W górnej kieszonce wyczułem pod palcami kwadratowe etui i zacząłem modlić się, żeby facet już poszedł. Przez moment wydawało mi się, że rzeczywiście zamierza wyjść — zerknął dwukrotnie na zegarek i westchnął, ale tak jakob wesoło westchnął, wymieniając ze starszą kobietą porozumiewawcze grymasy.  
— Nagle odezwała się Sylwia:  
— Może włączyć telewizję?  
— Nie trudź się — zaoponował przystojniak.  
— Żaden trud — szepnęła dziewczyna.  
— A co jest? — zapytała matka, unosząc łuk brwi nad piwnym, posępnie lśniącem okiem.  
— Dziennik.  
— Włacz, jeśli pan Dragan nie ma nic przeciwko temu...  
— Powiedziała to kąśliwie i powiniem milczeć. Powiniem, cholera, nauczyć się milczeć, albo robić jakieś stosowne gesty. Zamiast tego usiłowałem swój skwapliwy bełkot:  
— Ależ oczywiście, bardzo proszę... chętnie pop...  
— To ładnie, że pan się zgadza — uciął facet.  
— Ha, ha! — padło z ust starej.  
— Oeh, dajcie spokój! — warknęła Sylwia.  
Wstając dotknęła ręką ramienia mężczyzny, a on otarł się o nią policzkiem. Wezwała go i wróciła na kanapę, siadając jeszcze bliżej tych obcych, chudych, przykrytych złożonych nóg tak, że dotykali się prawie kolanami. Była piękna — wysoka, postawna, jasnowłosa, o wydatnym biuście i nie mniej wydatnych biodrach, które tylko raz otworzyły się dla mnie po całonocnej zabawie w hotelu. Należało zapamiętać, wykaraczować wspomnienie! Studentka czwartego roku anglistyki. No, no... Jak bym nie miał swoich kelnerek, ekspedientek i żon podeszłych wiekiem działycały...  
— Trzeba znać swoje możliwości. Wyjść! I nigdy nie wracać! Ale telewizor rozgrzał się już, leciał blok sportowy. Spiker nawijał fałszem, kamera pokazywała rozlepienie na domach, słupach i parkanach zwalstyn meczu. Potem prezbiterka: transparent na cześć nowego mistrza. Chorągwie i flagi. — Mam nadzieję — pyłował spiker — że wynik jutrzejszego pojedynku pozwoli naszym sztarciarom zająć miejsce w wietrze. Tak, drodzy państwo! Po siedmiu chudych latach powracamy na tron! — Później znowu prezbiterka: tryskający entuzjazmem reporter zwracał się do najróżniejszych ludzi z prośbą o horoskop. Młodzi i starzy, kobiety i mężczyźni, dyrektorzy i robotnicy — wszyscy przedpowiadali zwycięstwo Fortuny. Ten z mikrofonem również nie zdradzał wielkiego niepokoju: mrużył oko jakby chciał szepnąć: — Zalatwione, mój kochani! Ja wam to mówię, zalatwione.  
— Sport jest morfiną narodów — powiedział gość. — Narody i miasta żyją od meczu do meczu, zapominając o swoich istotnych problemach.  
— Starsi spojrzeli na niego z niekłamnym podziwem.  
— Trafne określenie — przytaknęła.  
— Chyba tak — zgodził się skromnie mężczyzna. — I smutne. Więcej dzisiaj kibiców piłkarskich niż...  
— Maksymilian Dragan, lewoskrzydłowy Naprzodu, przybył dziś wieczorem do stolicy i zatrzymał się w hotelu Grand — łokował spiker.  
— Ooo! — wyrwało się Sylwii.  
— Kamera pokazała moje zdjęcie w dużym powiększeniu.  
— Gościu jakby trochę odleciał. Starsza pani wyciągnęła szycję i zatrępotala rękami.  
— Dragan gra w Naprzodzie dopiero od dwóch lat, kupiony przez ten klub za półtora miliona...  
— Pan też coś miał za ten transfer? — zapytał facet.  
— Owszem. Trzysta tysięcy.  
— Błah! — Jęknęła ze zgrozą stara.  
— Telewizor bucał!  
— Indagowany przez naszego sprawozdawcę Maksymilian Dragan oświadczył z właściwą sobie nonszalancją, że Fortuna przegra z Naprzodem, a on sam zdobyłby przynajmniej dwie bramki. — Tu spiker wzbuchnął serdecznym śmiechem. — Potem dokończył: — Ano zobaczycie, proszę państwa!  
— Powiedzieliście tak? — spytała Sylwia.  
— Niezupełnie — odparłem, gdyż nie chciałem wdawać się w szczegół.  
— Ale... masz zamiar strzelać?  
— He ja wiem... Im gorzej zagram, tym lepiej zaplaca.

— Nie rozumie? Przekupstwo?  
— Mała premia.  
— He?  
— Pięć, sześć tysięcy.  
— Czy Sylwii zrobiły się duże i bardzo poważne.  
— Warto chyba trochę popudłować za tę cenę. — Zmusiła się do uśmiechu.  
— No, pójdę już — powiedział facet, wstając raptownie. Mną przypominał człowieka, który został śmiertelnie obrażony.  
— Pa! — pocałował Sylwii w rękę. Ukłonił się matce i wyszedł.  
— Usiądź przy mnie — zaproponowała Sylwia.  
— Za oknem wstrząsająco detonował samochód.  
— Stara parsknęła wesoło.  
— No, bawcie się dobrze — powiedziała i wydeptała małeńkimi kroczkami z pokoju.  
— Dopiero teraz zająłem wygrane miejsce na kanapie. Nie lubię takich miejsc. Jeszcze przed minutą skłonny byłbym przemilczeć cacuszko, ale kiedy położyła mi głowę na piersiach i poczułem zapach jej włosów, odruchowo sięgnąłem do kieszonki.  
— To dla ciebie — powiedziałem.  
— Jezus!  
— Proszę.  
— Nie mogę!  
— Weź!  
— O rety! — otworzyła aksamitne etui i westchnęła przeciągle. — Jesteś okropny, Maks! Okropny! — Zarzuciła mi ręce na szyję. — To musiało być

wy, słabe punkty, miejsca dotknięte kontuzją. Dla przykladu — charakterystyka bramkarza Fortuny: niski, świetny na przedpolu, nie lubiący górnych piłek, lewa ręka w gipsie przed ręką, w rzutach karnych wali się z reguły w prawy róg. Wszystkich czterech obrońców podkreśliłem czerwonym ołówkiem. Uwaga — Teofil Góraj! Ten, co pokryje mnie na skrzydle. Baranek w życiu prywatnym, na boisku — bandyta! W zwarciu nieraz woli trafić w gnat niż w piłkę.  
Zostawiłem klucz w portierni i dla zaliczenia czasu pojechałem na stadion.  
Był już otwarty; czekał na te swoje sta tysięcy — cichy, uroczy, przyozdobiony flagami, które lekki wiatr tarmosił na słupach albo wydymał jak pranie. Ustawione tyłem do słońca trybuny lśniły jeszcze od rosy. Wypielęgnowana, soczysta, przystrzyżona w równo kwadraty murawa ciągnęła jak magnes. Boże, cudowny jest świat! Życie mi się chciało! Grać mi się chciało! Gaz czułem w nogach, jakbym poślknął kilo szpanu, co jest normalną reakcją po przerwie. Przerwy są dobre, konieczne! Człowiek zaczyna tęsknić za piłką, myśleć, kombinować, rozważać różne warianty. Kiedyś, pięć lat temu, miałem po takiej przymusowej kwantowaniu swój pierwszy wielki wlot.  
— Leżałem wówczas w szpitalu z wybitą lektoką, dwie operacje, a jakże! lewa no-

spadałem na piłkę jak sęp i nim ktokolwiek zdolał się połapać...  
W porządku. Zbadałem nawierzchnię pod obojętą brankami. Wymagownie wyrównałem grudy na lyszach wyspekach. Było sucho, więc pomyślałem, że trzeba wkręcić skórzane korki. Zapaliłem papierosa i po trzech pociągnięciach wdeptałem go w trawę. Zjąłem spodnie i zrobiłem sobie małeńką rozgrzewkę na bieżni. Kiedy ubierałem się, podeszło dwóch godnie wyglądających panów i ten wyższy, siwiutki, o posturze pastora, powiedział z ciepłą ironią:  
— Patrzcie, patrzcie, co za sumienność. Maks Dragan, jeśli się nie mylę... Zgadłem?  
— Tak.  
— Pan naprawdę się szykuje?  
— A jak pan sądzi?  
— Bo ja wiem...  
— Wigo powiem panu... Będę musiał wyciąć wam numer. Moja mała, prywatna zemsta...  
— Za co?  
— Za to, że macie takich drańskich dziennikarzy. Zupelnie nie znają się na żartach. Zrobili ze mnie potwora w telewizji, w radio, w gazetach...  
— Pan jest ostatnio bardzo wrażliwy.  
— Czemu nie.  
— Zażalęm się w złą godzinę. Oni też. Ouprowadzili mnie do bramy. Byli niezwykle sympatyczni i na odchodne podalem im rękę.  
— Pięć po drugiej wszedłem do hotelowej restauracji. W tej mniejszej, kwadratowej salce chłopaki sadowili się akurat do stołów, a dwaj kelnerzy w białych smokingach rozosili zupę. Jest reguła, żeby obiad spożywać najpóźniej trzy godziny przed meczem i żeby nie był on zbyt ciężki. Cygaro przestrzegaj tej reguły: nie pytając nikogo o zdanie, zamawiał dla wszystkich to samo — jednego dnia krupnik i gotowaną cielęcinę, innego rosół i kurczęta, albo — jak teraz — czerwony barszcz z uszkami, po którym nieuchronnie musiały nastąpić zrazy lub bitki. Poprzedni coach był bardziej tolerancyjny i to nie tylko w zakresie menu. Piłkarz też człowiek — ma nieraz prawo tuż przed zjeściem, poszaleć, wypić, przygruchać sobie padienkę, później położyć się spać, dużej poleżeć w łóżku. Jeśli tylko potrafi zachować umiar, w ostatecznym rachunku wyjdzie mu to na dobre. Nawet najlepiej wyretynowany organizm potrzebuje od czasu do czasu tych małych, grzesznych przyjemności...  
Siedziałem przy stole z Babinowem, Węzłem i Jaskółką. Kiedyśmy wepalili, co było do wepnięcia i kelnerzy wystawiali z herbatą, Cygaro rzucił niechętnie:  
— Panowie, ostatni papieros! Kto ma palić, niech pali.  
— Palacze sięgnęli na komendę do kieszeni. Było ich wraz z mną 6-ciu. Reszta miała nam za złe. Ten i ów krztusił się, dmuchał, opędał reklamą a my wypuszczaliśmy przez usta i nos czarne kłęby dymu, tak, żeby ich jeszcze bardziej rozżalili. Jak ostatni, to ostatni — ośmił się zachlanie do końca, póki nie zaczął skwierczeć filtr. Od tej pory, jeśli ktoś musiał jeszcze zapalić, robił to po kryjomu.  
— Sam nie wiem, czemu zakłóciłem nagle przyjemny nasrój trawienia. W każdym razie odezwałem się głono:  
— No i co, panowie? Rozwalimy mistrza?  
— Ponieważ odpowiedział mi głuche, nie pozabawione napięciem milczenie, postanowiłem wyregulować celownik.  
— Hej, Robert! — zwróciłem się konkretnie do Babinowa. — Trzaśnięmy ich?  
— Chłopak zrobił głupawą minę. Jak to junior — bał się powiedzieć: nie, bał się powiedzieć: tak. Nie wiedział, co jest gorsze.  
— Zaatakowałem węc Krauzego:  
— Strzelimy frajerów?  
— Krauze popatrzył na mnie ze zdziwieniem, a później przeniósł pytający wzrok na coacha. Muszę przyznać, że nie zrozumiałem tej reakcji.  
— Odwal się — powiedział wreszcie. Zabrzmiało to jednak: przestań strugać wariatka.  
— Nie chcesz ze mną pograć?  
— Odwal się.  
— Ciszka, psia krew! — uciął coach, rozglądając cygaro o talerz.  
— Pogadać nie wolno? — zapytałem.  
— Paru gości odwróciło się do nas od stołków. Napotkałem zimne, wrogie oczy potężnie zbudowanego człowieka, który siedział samotnie nad kawą. Gdzieś z boku błysnął flesz, bo lokal mimo pełnego dnia tonął w łagodnym półmroku. Kelner, który robił porządki w swoim rewirze, nby to niechący potrzącił mnie biodrem.  
— Okay — powiedziałem — odsuwając krzesło. — Przejdę się trochę.  
— Gdzie? — burknął Cygaro.  
— Po mieście.  
— Byłem pewien, że zaprotęstuje, ale rzucił tylko:  
— O czwartej przed autokarem.  
— Tak jest.

ANDRZEJ MAKOWIECKI  
KWADRANS  
ŚPIĄCEJ KRÓLEWNY

drogie, kochany! — Rozciągnęła delikatnie w palcach złoty łańcuszek z kameą, na której był czarny, misternie rytowany skarabeusz. — Egipski?  
— Tak.  
— Cudowny! Fantastyczny! Och, poczekaj! Pokażę mamie!  
— Chciałem ją zatrzymać, ale wypadła z pokoju piszcząc jak mała dziewczynka.  
W chwilę później wróciła.  
— Musisz przyjść jutro na obiad.  
— Nie mogę.  
— Czemu? — Przewróciła oczami. — Koniecznie musisz przyjść!  
— Powiniemem zjeść z chłopakami w hotelu. Jest taki zwyczaj, że w wyjazdach jadamy wspólnie.  
— Głupi zwyczaj.  
— Możliwie, ale tak jest.  
— Więc przyjdź po obiedzie. Napijemy się kawy i pojedz z tobą na mecz. Mama też pojedzie.  
— Wolalibyśmy nie.  
— Coś ty! Polubisz ją na pewno. Wiesz — wzięła w palce łańcuszek — bardzo jej się spodobałaś.  
— Poważnie mówisz?  
— Tak.  
Znowu złapała mnie za szyję. To ona była w ataku, nie ja. Próbowaliśmy odwrócić usta, ale znalazła je i zamknęła swoimi słodkimi, lepikami od ciasta wargami. Broniełem się trochę. Później poczułem jej wprawna, zwinna rękę z rozperku i drażniący, przemielający za perfumy zapach ciała, które było gorące, ciężkie i uległe? Wzawa? — pomyślałem. — Czym jest wzawa, Przewróciłem ją naznak, wyluskałem dwie różowe piersi spod stanika i poszukałem wilgotki.  
Wracałem szczęśliwy, jakim strzelił swoją najpiękniejszą bramkę. Dopiero w samochodzie uprzytomniłem sobie, że mogła przydać nam matka. Rechotałem na całe gardło. Jeśli zechce, pójdę z nią do ołtarza — pomyślałem i od razu stanął mi przed oczami Jaskółka...  
Był w szczytu słońca, dwukrotnie wystąpił u boku Cruyffa i Pelego w reprezentacji świata, miał najnowszy model Mercedesa i więcej forsy niż rozumu, żył jak król i do szaleństwa kochał swoją małeńką córeczkę, a mimo to... Któregoś dnia, gdy wrócił z treningu, jego piękna, wykształcona żona, spikerka w telewizji, wystawiła mu na schody walizkę i nim jeszcze zatrzasnęła drzwi, wygadała przez łańcuch: — Pan już tu nie mieszka!

ga podjęta w kolanie, prawa na wyciągu, w bandażach, sztywna i gruba jak armatnie lufko. Spać nie mogłem, czytać nie mogłem, to myślałem, i wymyśliłem trzy wspaniałe rzeczy:  
1. Jak wyjdę ze szpitala, zostanę małym. Wszystkie będy robić lewą nogą — strzełał, centrował, kiwał, stawiał — na lewej zaczęła wspierać ciężar ciała w tramwajach, lewą zaczęła wstawać z łóżka i odkopywać brudne deski w kiblach, tylko lewa otrzymała przywilej grania na treningach w bucie, prawa zostanie bosa, bezbrona, co najwyżej w skarpetce, zapamiętaj, że w ogóle ją mam. W ten sposób zwalcze z czasem kompleks lewej nogi, która dotąd posługiwała się od święta, i psychiczny uraz prawej, z której usunęto lektokę; zostanie prawdziwie uniwersalnym napastnikiem, w przeciwnym razie do większości skrzydłowych, co to na lewej stronie boiska z uporem zawiąją prawa konieczną niepotrzebnie wstrzymując akcje.  
2. Jeżeli kiedyś poświecę się trenerce, nauczę moją drużynę całkiem innego czekowania cornerów i wierzmi mi przyniesie to nadzwyczajne rezultaty...  
3. W końcu będy się szlamowaty. Wtedy strona lewa noga z lewej prawa, tak, aby łodkronca piłka leciała bananem do bramki.  
Niby to logiczne, słuszne, zdarza się przecież, że banan jakimś cudem trafi w siatkę, jednakże w dziewięćdziesiąciu dziewięciu procentach bywa on łupem bramkarzy i obrońców. To prosto bramkarzy i obrońcy stoja do nadlatującej bomby twarzą i czekają, podczas gdy strona atakująca musi ją gonić, i nawet jeśli któraś przyłoży głowę, strzał nie ma odpowiedniej mocy. Trzeba więc sztywrot na wyrot, owszem! fałszem, bananem, ale lewą nogą z lewej strony i prawa z prawej, wówczas piłka, zataczając tuki, znacznie się raptem oddala od bramki w kierunku środka boiska i teraz obrońcy będą musieli ją gonić a napastnikom wystarczy nadstawić czoło. Wielokrotnie próbowałem podsunąć ten pomysł trenerom, ale narodził się wielki szlamowaty. Wobec tego sportowy bardziej wierzy w skakankę.  
3. O ile tylko znajdzie zrozumienie w klubie i reprezentacji, wytanuje niespotykany dotychczas, wredny a skuteczny model napastnika, który potrafi usnąć i wykończyć każdą defensywę. Oj, zaplaczcie obrońcy, zawiąj bramkarze! Niech no tylko wróc na boisko!  
Powiecie od razu — zrealizowałem te szatańskie plany. Zdobyłem dzięki temu całą furę nieprawdopodobnych bramek i przydomek Śpiącej Królowej. Jeden ze słowiankich dziennikarzy napisał, że walcze jak Konrad Wallenrod. Nie wiem, kim był ten Konrad, zapasnikiem czy rugbistą, wiem natomiast, że udało mi się ograć w pojedynkę Brazylię, Niemcy, Bułgarię, Argentynę, Włochy i kilkanaście drużyn klubowych z różnych stron świata.  
Z czasem, kiedy w kraju i za granicą poznali już wszystkie moje triki, musialem przestać się na zwykły, tradycyjny styl. Ale wspomnienie pozostało...  
Wychodziłem na płytę i zamiast walczyć, tkwiem na uboczu jak glaz, albo bezcelnie kucalem w rogu, strojąc idiotyczne miny. Publiczność ryczała, ja nie! Nie przyjmowałem najprostszycy podań, nie wdawałem się w żadne starcia. Byłem jak uczeń, który po raz pierwszy w życiu wszedł na boisko i nie ma mowy, żeby cokolwiek potrafił. Adresowane do mnie piłki przekazywałem beztrako przeciwnikowi, to nogą, to, z głupia frant, ręką, to znów siadałem na nich niby dziecko na nocniku, aż mi je ktoś wykopnął spod tyłka. Siedziowie dostawali białej gorączki. Lżyli mnie, popychali, straszili eksmisją. Za co? Przecież nie lamłem przepisów. Byłem grzeszny, układny, kłaniałem się wokół z należytym szacunkiem, choć z trybun obrzucało mnie plugawymi wyzwiskami, a także zgnyłymi łajkami i petykami. Wstał byk i krzyknął: Do żłoba, ośle! Naprawdę syknął mi kiedyś w twarz Backenbauer — wstyd mi, że muszę grać przeciwko takiemu kutasowi. Powiedziałem: Sorry, Franz! — W minutę później wyleczyłem go z tego wstydli. I to dwukrotnie. Odwrócony tyłem do bramki, udawałem naiwniaka. Obrońcy nie plynawali mnie, chociaż wiedzieli, że powinni pilnować... Trzy — cztery razy w trakcie meczu, gdy sytuacja była najdogodniejsza,

spadałem na piłkę jak sęp i nim ktokolwiek zdolał się połapać...  
W porządku. Zbadałem nawierzchnię pod obojętą brankami. Wymagownie wyrównałem grudy na lyszach wyspekach. Było sucho, więc pomyślałem, że trzeba wkręcić skórzane korki. Zapaliłem papierosa i po trzech pociągnięciach wdeptałem go w trawę. Zjąłem spodnie i zrobiłem sobie małeńką rozgrzewkę na bieżni. Kiedy ubierałem się, podeszło dwóch godnie wyglądających panów i ten wyższy, siwiutki, o posturze pastora, powiedział z ciepłą ironią:  
— Patrzcie, patrzcie, co za sumienność. Maks Dragan, jeśli się nie mylę... Zgadłem?  
— Tak.  
— Pan naprawdę się szykuje?  
— A jak pan sądzi?  
— Bo ja wiem...  
— Wigo powiem panu... Będę musiał wyciąć wam numer. Moja mała, prywatna zemsta...  
— Za co?  
— Za to, że macie takich drańskich dziennikarzy. Zupelnie nie znają się na żartach. Zrobili ze mnie potwora w telewizji, w radio, w gazetach...  
— Pan jest ostatnio bardzo wrażliwy.  
— Czemu nie.  
— Zażalęm się w złą godzinę. Oni też. Ouprowadzili mnie do bramy. Byli niezwykle sympatyczni i na odchodne podalem im rękę.  
— Pięć po drugiej wszedłem do hotelowej restauracji. W tej mniejszej, kwadratowej salce chłopaki sadowili się akurat do stołów, a dwaj kelnerzy w białych smokingach rozosili zupę. Jest reguła, żeby obiad spożywać najpóźniej trzy godziny przed meczem i żeby nie był on zbyt ciężki. Cygaro przestrzegaj tej reguły: nie pytając nikogo o zdanie, zamawiał dla wszystkich to samo — jednego dnia krupnik i gotowaną cielęcinę, innego rosół i kurczęta, albo — jak teraz — czerwony barszcz z uszkami, po którym nieuchronnie musiały nastąpić zrazy lub bitki. Poprzedni coach był bardziej tolerancyjny i to nie tylko w zakresie menu. Piłkarz też człowiek — ma nieraz prawo tuż przed zjeściem, poszaleć, wypić, przygruchać sobie padienkę, później położyć się spać, dużej poleżeć w łóżku. Jeśli tylko potrafi zachować umiar, w ostatecznym rachunku wyjdzie mu to na dobre. Nawet najlepiej wyretynowany organizm potrzebuje od czasu do czasu tych małych, grzesznych przyjemności...  
Siedziałem przy stole z Babinowem, Węzłem i Jaskółką. Kiedyśmy wepalili, co było do wepnięcia i kelnerzy wystawiali z herbatą, Cygaro rzucił niechętnie:  
— Panowie, ostatni papieros! Kto ma palić, niech pali.  
— Palacze sięgnęli na komendę do kieszeni. Było ich wraz z mną 6-ciu. Reszta miała nam za złe. Ten i ów krztusił się, dmuchał, opędał reklamą a my wypuszczaliśmy przez usta i nos czarne kłęby dymu, tak, żeby ich jeszcze bardziej rozżalili. Jak ostatni, to ostatni — ośmił się zachlanie do końca, póki nie zaczął skwierczeć filtr. Od tej pory, jeśli ktoś musiał jeszcze zapalić, robił to po kryjomu.  
— Sam nie wiem, czemu zakłóciłem nagle przyjemny nasrój trawienia. W każdym razie odezwałem się głono:  
— No i co, panowie? Rozwalimy mistrza?  
— Ponieważ odpowiedział mi głuche, nie pozabawione napięciem milczenie, postanowiłem wyregulować celownik.  
— Hej, Robert! — zwróciłem się konkretnie do Babinowa. — Trzaśnięmy ich?  
— Chłopak zrobił głupawą minę. Jak to junior — bał się powiedzieć: nie, bał się powiedzieć: tak. Nie wiedział, co jest gorsze.  
— Zaatakowałem węc Krauzego:  
— Strzelimy frajerów?  
— Krauze popatrzył na mnie ze zdziwieniem, a później przeniósł pytający wzrok na coacha. Muszę przyznać, że nie zrozumiałem tej reakcji.  
— Odwal się — powiedział wreszcie. Zabrzmiało to jednak: przestań strugać wariatka.  
— Nie chcesz ze mną pograć?  
— Odwal się.  
— Ciszka, psia krew! — uciął coach, rozglądając cygaro o talerz.  
— Pogadać nie wolno? — zapytałem.  
— Paru gości odwróciło się do nas od stołków. Napotkałem zimne, wrogie oczy potężnie zbudowanego człowieka, który siedział samotnie nad kawą. Gdzieś z boku błysnął flesz, bo lokal mimo pełnego dnia tonął w łagodnym półmroku. Kelner, który robił porządki w swoim rewirze, nby to niechący potrzącił mnie biodrem.  
— Okay — powiedziałem — odsuwając krzesło. — Przejdę się trochę.  
— Gdzie? — burknął Cygaro.  
— Po mieście.  
— Byłem pewien, że zaprotęstuje, ale rzucił tylko:  
— O czwartej przed autokarem.  
— Tak jest.

REMIS ZE WSKAZANIEM  
NA ZWYCIĘZCĘ

Obudziłem się w południe, a za oknem na niebie bez chmur stało słońce. Radość dosłownie wymiotła mnie z łóżka. Zamówiłem do pokoju śniadanie i gazety, krótka gimnastyka, golenie, kąpiel, pedicure, później jeszcze wypumeksowałem stopy i natarłem je specjalnym balsamem, kelner akurat wkolebał się z tacą ślepiac na mnie jak na ciotkę Zielhńską, dałem mu piątąla więcej, autograft? — proszę bardzo, trzy jajka po wiedeńsku, pół bułki z masłem, filizanka herbaty, pałac przegłądałem prasę. — BUNCZUCZNE OŚWIADCZENIE MAKSYMILIANA DRAGANA — NIE BEDZIE ŚWIĘTA W WASZYM MIEŚCIE! — Chryste Panie, czego te szakale nie wymyślą!  
Wyciągnąłem zeszyt spod poduszki i przeczytałem to, co poprzedniego dnia zanotowałem w naszym archiwum. Każdy szanujący się Klub ma swój bank informacji: ile drużyn w lidze, tyle schowków z aktualnymi materiałami w bibliotece. Istna kartoteka przepiępców — wzrost, wiek, waga, naro-

spadałem na piłkę jak sęp i nim ktokolwiek zdolał się połapać...  
W porządku. Zbadałem nawierzchnię pod obojętą brankami. Wymagownie wyrównałem grudy na lyszach wyspekach. Było sucho, więc pomyślałem, że trzeba wkręcić skórzane korki. Zapaliłem papierosa i po trzech pociągnięciach wdeptałem go w trawę. Zjąłem spodnie i zrobiłem sobie małeńką rozgrzewkę na bieżni. Kiedy ubierałem się, podeszło dwóch godnie wyglądających panów i ten wyższy, siwiutki, o posturze pastora, powiedział z ciepłą ironią:  
— Patrzcie, patrzcie, co za sumienność. Maks Dragan, jeśli się nie mylę... Zgadłem?  
— Tak.  
— Pan naprawdę się szykuje?  
— A jak pan sądzi?  
— Bo ja wiem...  
— Wigo powiem panu... Będę musiał wyciąć wam numer. Moja mała, prywatna zemsta...  
— Za co?  
— Za to, że macie takich drańskich dziennikarzy. Zupelnie nie znają się na żartach. Zrobili ze mnie potwora w telewizji, w radio, w gazetach...  
— Pan jest ostatnio bardzo wrażliwy.  
— Czemu nie.  
— Zażalęm się w złą godzinę. Oni też. Ouprowadzili mnie do bramy. Byli niezwykle sympatyczni i na odchodne podalem im rękę.  
— Pięć po drugiej wszedłem do hotelowej restauracji. W tej mniejszej, kwadratowej salce chłopaki sadowili się akurat do stołów, a dwaj kelnerzy w białych smokingach rozosili zupę. Jest reguła, żeby obiad spożywać najpóźniej trzy godziny przed meczem i żeby nie był on zbyt ciężki. Cygaro przestrzegaj tej reguły: nie pytając nikogo o zdanie, zamawiał dla wszystkich to samo — jednego dnia krupnik i gotowaną cielęcinę, innego rosół i kurczęta, albo — jak teraz — czerwony barszcz z uszkami, po którym nieuchronnie musiały nastąpić zrazy lub bitki. Poprzedni coach był bardziej tolerancyjny i to nie tylko w zakresie menu. Piłkarz też człowiek — ma nieraz prawo tuż przed zjeściem, poszaleć, wypić, przygruchać sobie padienkę, później położyć się spać, dużej poleżeć w łóżku. Jeśli tylko potrafi zachować umiar, w ostatecznym rachunku wyjdzie mu to na dobre. Nawet najlepiej wyretynowany organizm potrzebuje od czasu do czasu tych małych, grzesznych przyjemności...  
Siedziałem przy stole z Babinowem, Węzłem i Jaskółką. Kiedyśmy wepalili, co było do wepnięcia i kelnerzy wystawiali z herbatą, Cygaro rzucił niechętnie:  
— Panowie, ostatni papieros! Kto ma palić, niech pali.  
— Palacze sięgnęli na komendę do kieszeni. Było ich wraz z mną 6-ciu. Reszta miała nam za złe. Ten i ów krztusił się, dmuchał, opędał reklamą a my wypuszczaliśmy przez usta i nos czarne kłęby dymu, tak, żeby ich jeszcze bardziej rozżalili. Jak ostatni, to ostatni — ośmił się zachlanie do końca, póki nie zaczął skwierczeć filtr. Od tej pory, jeśli ktoś musiał jeszcze zapalić, robił to po kryjomu.  
— Sam nie wiem, czemu zakłóciłem nagle przyjemny nasrój trawienia. W każdym razie odezwałem się głono:  
— No i co, panowie? Rozwalimy mistrza?  
— Ponieważ odpowiedział mi głuche, nie pozabawione napięciem milczenie, postanowiłem wyregulować celownik.  
— Hej, Robert! — zwróciłem się konkretnie do Babinowa. — Trzaśnięmy ich?  
— Chłopak zrobił głupawą minę. Jak to junior — bał się powiedzieć: nie, bał się powiedzieć: tak. Nie wiedział, co jest gorsze.  
— Zaatakowałem węc Krauzego:  
— Strzelimy frajerów?  
— Krauze popatrzył na mnie ze zdziwieniem, a później przeniósł pytający wzrok na coacha. Muszę przyznać, że nie zrozumiałem tej reakcji.  
— Odwal się — powiedział wreszcie. Zabrzmiało to jednak: przestań strugać wariatka.  
— Nie chcesz ze mną pograć?  
— Odwal się.  
— Ciszka, psia krew! — uciął coach, rozglądając cygaro o talerz.  
— Pogadać nie wolno? — zapytałem.  
— Paru gości odwróciło się do nas od stołków. Napotkałem zimne, wrogie oczy potężnie zbudowanego człowieka, który siedział samotnie nad kawą. Gdzieś z boku błysnął flesz, bo lokal mimo pełnego dnia tonął w łagodnym półmroku. Kelner, który robił porządki w swoim rewirze, nby to niechący potrzącił mnie biodrem.  
— Okay — powiedziałem — odsuwając krzesło. — Przejdę się trochę.  
— Gdzie? — burknął Cygaro.  
— Po mieście.  
— Byłem pewien, że zaprotęstuje, ale rzucił tylko:  
— O czwartej przed autokarem.  
— Tak jest.

Stało się już dobrym zwyczajem „Odgłosów”, że zwykłe na święta prezentujemy Czytelnikom dyskusję na temat piłki nożnej. Wypowiadali się już na ten temat na naszych łamach trenerzy, działacze, piłkarze, dziennikarze. W tym roku zaprosiliśmy do redakcji trenerów dwu łódzkich drużyn, które w tym sezonie nie zawiodły swoich kibiców. Trenera Łódzkiego Klubu Sportowego — LESZKA JEZIERSKIEGO i trenera RTS Widzew — PAWŁA KOWALSKIEGO. Zaprosiliśmy ich na rozmowę nie tylko o poczynaniach zespołów, którymi się opiekują, ale również o sprawach reprezentacji, sposobów gry zespołów zagranicznych.

— Miniony rok nie był najpomyślniejszym dla polskiej piłki nożnej, chociaż pod koniec sytuacja się zmieniła na korzyść i można — jak to niektórzy podkreślają — patrzeć z umiarkowanym optymizmem w przyszłość. W tym roku czeka nas jednak decydujące spotkanie z zespołem duńskim, który rozstrzygnie o dalszych losach polskiej drużyny w Mistrzostwach Świata. Dlatego proponuję zacząć naszą rozmowę od pytania o styl gry innych drużyn. Na przykład: skąd wzięły się sukcesy drużyny CSRS w Mistrzostwach Europy?

L. JEZIERSKI: Cześć nie wymyślił nic nowego. Wyciągnęli tylko właściwe wnioski z Mistrzostw Świata. I w Mistrzostwach Europy i w innych spotkaniach dowodzą, że tylko gra całym zespołem i na całym boisku może dziś przynieść dobre rezultaty.

P. KOWALSKI: — Trzeba przy tym pamiętać o bardzo ważnej rzeczy. O tym, że Czechosłowacja to kraj z ogromnymi tradycjami piłkarskimi. Mieli wprawdzie pewien regres, ale szybko się z tym uporali. Ich szkoleniowcy zrozumieli na czym polega nowoczesna piłka nożna. I nie mieli kłopotów z realizacją zasad takiej piłki, bo ich zawodnicy od dawna pokazywali, że są dobrze przygotowanymi technicznie.

L. JEZIERSKI: — Oni po prostu dalej kontynuują to, co na Mistrzostwach Świata pokazali Holendrzy. Grają w nowoczesną piłkę nożną, tak jak to robią w RFN czy Holandii. Jest to gra całym zespołem przez pełne 90 minut. Ale osiągnąć to można tylko przy bardzo dobrej przygotowaniu technicznie zawodników.

Przecież ich taktyka jest bardzo prosta. Ścisłe krycie na całym boisku, nie pozwolili grać przeciwnikowi, a mogą sobie na to pozwolić, bo są do brzy technicznie.

— Na szczęście zespół czeski nam nie grozi. Nasi piłkarze spotkają się natomiast z Duńczykami. A to też nie jest łatwy do pokonania zespół.

L. JEZIERSKI: — Według mnie stać nas na pokonanie Duńczyków, ale jest to przeciwnik bardzo wymagający. Nie będzie to łatwe.

P. KOWALSKI: — Przede wszystkim dlatego, że jest to zespół składający się z wielu wybitnych indywidualności piłkarskich.

— Ale w tym można też upatrywać szansę dla nas.

L. JEZIERSKI: — Dlatego, że nie są zgrani, bo na co dzień grają w klubach zawodowych całej Europy. Ale to może być atutem tak długo, jak długo nie spotkają się przed meczem z Polską i nie zgrają się. A to jest bardzo możliwe. Więc nie liczyłbym znow tak bardzo na żadne „okoliczności łagodzące”.

— Mam nadzieję, że nikt nie będzie liczył. Ale jeżeli Duńczycy, którzy potrafią zmontować zupełnie dobrą reprezentację, to dlaczego nie potrafią tego zrobić Anglicy, którzy — jak się powszechnie utrzymuje — mają bardzo dobrą ligę?

P. KOWALSKI: — Dla mnie w tych opiniach jest bardzo dużo przesady. Anglicy są konserwatystami. Grają nadal według starego schematu. Trudno tam coś wprowadzić nowego. To raz. Dziś według mnie Anglicy są dużo słabsi niż wtedy, kiedy Polacy ich wyeliminowali z Mistrzostw Świata. To dwa. Z angielskimi drużynami ligowymi wygrywają już kluby z kontynentu. To trzy. Więc chyba z tym poglądem, że Anglia ma taką znakomitą ligę coś jest nie tak.

# WIOSNA PIŁKARSKA NIE BĘDZIE ŁATWA



Fot. W. Parys

L. JEZERSKI: — To chyba bierze się stąd, że u nas telewizja pokazuje często bardzo ładne bramki, jakie strzelają angielscy piłkarze.

— Pokazuje. Są to wprawdzie mi-gawki, ale widać tam, jak rozwija się akcja. Nie są to bramki przypadkowe.

L. JEZERSKI: — Ależ to jest po prostu zasługa kamerzysty. Jestem całkowicie przekonany, że gdyby na nasze mecze ligowe dać dobrych kamerzystów, to bramki naszych piłkarzy mogłyby konkurować z pięknymi brankami strzelonymi przez tak zwanych Anglików.

— Co wcale by nie świadczyło, że mamy znów taką znakomitą ligę.

L. JEZERSKI: — To inna sprawa. Ale wracając do Anglików, to w moim przekonaniu ich selekcjoner nie może trafić na właściwych zawodników. Co mecz, to zmiany. Nie może albo nie potrafi znaleźć takich indywidualności piłkarskich, które potrafiłyby narzucić pewien styl całemu zespołowi, zawodników którzy mogliby temu zespołowi nadawać odpowiedni ton.

W ogóle obecnie w piłce nożnej jest taka sytuacja, że nadal procentują doświadczenia z Mistrzostw Świata. Sytuacja zrobiła się taka trudna, że prawie niemożliwym stało się wprowadzenie czegoś nowego. Wszyscy się do tego szykują, przygotowują się, chcieliby zaskoczyć czymś przeciwnika, ale ten przeciwnik robi to samo.

Jesienią na przykład próbowali grać „po angielsku” piłkarze GKS Tychy. Ich taktyka była prosta. Tak jak w angielskiej lidze, wrzucił piłkę na przedpole i tam ją szybko uśmieją. Poza tym wyrobili sobie umiejętności grania głową. Uważali, że to może ich podratować w punktacji, że zaskoczą przeciwników. I co? I nie, bo tak grać potrafi każdy. A poza tym przecież nie o to chodzi, żeby złapać piłkę i na siłę wrzucić ją na przedpole, ale aby tak grać, jak to wynika z aktualnej sytuacji na boisku.

— Ale w sezonie 1975—1976 wcale nie byli tacy źli. Co się z nimi stało?

P. KOWALSKI: — Złożyło się na to kilka czynników. Myślę o ich awansie w poprzednim sezonie, który był przecież sezonem słabszym, bo były to przygotowania do Olimpiady. W takim sezonie łatwiej było o punkty. I znaleźli się na wysokim miejscu w tabeli. Ale skutki tego odczuwa cała liga. Ich przegrana w europejskiej imprezie piłkarskiej rzutuje na całą polską ligę. A przecież nie będzie mógł sobie poradzić z zagranicznym zespołem taki zespół, który plasuje się na końcu tabeli.

— Proponuję jeszcze na chwile powrócić na zagraniczne boiska. Chciałabym zwrócić uwagę na piłkarzy ZSRR.

L. JEZERSKI: — Dla mnie nie jest to sposób budowy reprezentacji. Dynamo Kijów jako drużyna klubowa osiąga dobre rezultaty, ale kiedy spotyka się z mocarzami europejskiego futbolu nie wychodzi poza prze-

ciętność. W ZSRR próbowano różnych sposobów. Wybrali taki. Sięgnęli do Kijowa najlepszych piłkarzy, uważając, że to da dobre rezultaty. Ale — w moim przekonaniu — jeden nawet bardzo dobry zespół, nie daje jeszcze obrazu całego piłkarstwa danego kraju.

— A nasz sposób budowania reprezentacji?

L. JEZERSKI: — Myślę, że nie powinniśmy martwić się o przyszłość. Jak pokazuje praktyka mamy sporo młodych piłkarzy, którzy potrafią kontynuować dobrą tradycję z Mistrzostw Świata. Nasi piłkarze nie są słabsi od innych ani pod względem taktyki, ani pod względem technicznym. Cała sztuka tylko w tym, aby tak skompletować zespół, aby ci najlepsi, najbardziej przydatni w nim się znaleźli.

— Mamy sporo młodych, zdolnych piłkarzy. To prawda. Można z nich skompletować reprezentację. To też prawda. Ale wielu sprawodawców sportowych ma zastrzeżenia do poziomu gry w lidze. I chyba słusznie. A z drugiej strony, kiedy nasze zespoły ligowe spotykają się z zagranicznymi zespołami, to jednak przegrywają. Dlaczego? Gdzie tkwi tego przyczyna?

P. KOWALSKI: — Dla mnie istotny jest fakt, że nasze ligowe drużyny mają kontakty z drużynami zagranicznymi, że dochodzi do konfrontacji. Nie tylko wynik jest istotny. Takie kontakty, możliwość konfrontacji będzie procentować w przyszłości. I o tym nie wolno zapominać.

L. JEZERSKI: — Posłużę się przykładem z innej dyscypliny. Nasi koszykarze odpadli z międzynarodowej czołówki, postanowiono więc zrezygnować z wszelkich międzynarodowych kontaktów, bo i po co? — rozmawiano. Ale rozmawiano błędnie. I teraz na przykład nie wiem, czy nasza koszykarka przedko się podnieśli z upadku i wróci do dawnego poziomu.

P. KOWALSKI: — Jeśli nie ma kontaktów szeroko rozumianych, konfrontacji z innymi stylami gry, to nie ma postępu, niczego nowego nie można się nauczyć.

L. JEZERSKI: — Całe szczęście, że w piłce nożnej organizuje się międzynarodowe imprezy i to zapewnia taki właśnie kontakt.

— Ale ja nawet jestem w stanie zrozumieć zniecierpliwienie kibiców. Są zawiedzeni. Ani Górnik, ani Ruch, ani Legia nie są w stanie spełnić takiej roli co dawniej. Nie liczą się tak jak dawniej w piłce nożnej. Ich następcy — mielecka Stal, GKS Tychy, wrocławski Śląsk też nie pasują do dawnych wzorców. Stąd zaniepokojenie. Stąd poczucie słabości. Ale czy tak jest rzeczywiście?

— Przyznam się, że sama mam wątpliwości, czy z tego ciągłego ruchu, ciągłych przemieszczeń, powstanie coś trwałego? Trwa przecież teraz nieustanna huśtawka w ligowej tabeli. Raz drużyna pnie się w górę, później szybko spada na dół tabeli. A bez pewnej stabilizacji, bez wyrównania poziomu trudno o równą, jednolitą grę.

L. JEZERSKI: — W Górniku i w

Ruchu popełniono — moim zdaniem — podobne błędy. Zbyt długo pozwolono grać niektórym zawodnikom. Wzięło się to chyba stąd, że importowani trenerzy dbali tylko o to, aby wywiązać się z kontraktu. Nie myśleli o przyszłości tych zespołów. I teraz ponoszą one skutki takiej polityki.

P. KOWALSKI: — Warto pamiętać, że w zagranicznych klubach grają zawodowcy z całego świata. To w końcu też nie jest odbicie poziomu piłkarstwa danego kraju. Na taką konfrontację trzeba też trochę inaczej patrzeć. Przynajmniej bez kompleksu niższości.

— W końcu Wisła tak bardzo źle się nie spisala. Ale wróćmy może do spraw naszej reprezentacji. Czy przypadkiem nie występuje u nas sprzeczność interesów między reprezentacją a klubami?

L. JEZERSKI: — To nie jest nowy problem.

P. KOWALSKI: — Ze względu na przygotowanie do Mistrzostw Świata mamy bardzo trudny kalendarz rundy wiosennej. Zaczyna się ona w lutym, ale nie wiadomo jaką będziemy mieli zimę. Może być i tak, że przyjdzie grać na lodowisku. Po 7 spotkaniach przerwa i później znów 8 spotkań. W gruncie rzeczy runda ta rozegra się w marcu i maju. A to dla klubów nie jest korzystne.

L. JEZERSKI: — Nawet choćby ze względów finansowych. Kto przyjdzie na mecz zimą? A my grać musimy.

A poza tym sprawa zawodników. W LKS dwóch, trzech zawodników może znaleźć się w zasięgu zainteresowania selekcjonera reprezentacji. Przeszło połowę wiosennej rundy spędziliby oni poza klubem. Wtedy ja nie mogę brać odpowiedzialności za ich przygotowanie do gry w zespole klubowym.

— Czy należy to rozumieć tak, że odpowiada pan jakoś szkolenia w klubach?

L. JEZERSKI: — Mogę brać odpowiedzialność tylko za to, co robię. Zresztą nie mówię tego bez uzasadnienia. Uważam na przykład, że Stanisław Terlecki gra teraz w drużynie gorzej niż przedtem, kiedy nie był w reprezentacji. Po prostu nie było go na treningach w klubie i już są widoczne tego skutki.

— Do tej pory mówiło się, że to raczej reprezentacja nie może liczyć na szkolenie w klubach.

L. JEZERSKI: — Wszystko zostało podporządkowane meczowi z Danią. A to może kompletnie rozłożyć ligę. Nie wiem, czy to wzięto pod uwagę. Reprezentacja ma jechać na 2 tygodnie do Hiszpanii i na 3 tygodnie do Argentyny. Kluby zostaną znacznie osłabione i to z najlepszych zawodników.

— Widać w klubach są krótkie ławki rezerwowych — jak to się popularnie mówi. Ale czy nie ma sposobu na pogodzenie interesów klubów i reprezentacji?

L. JEZERSKI: — Kazimierz Górski jakoś to godził.

— Ale też skończyło się to nie najlepiej.

P. KOWALSKI: — Tu jest inna istotna sprawa. Skrócony został do minimum okres przygotowania do wiosennego sezonu. I to może mieć bardzo fatalne skutki. Nie tylko dla klubów. Dla reprezentacji również.

L. JEZERSKI: — Zawodnicy są zmęczeni jesiennym sezonem. Trzeba im dać trochę wypoczynku. A tu już wiadomo, że 20 lutego będą rozgrywać Pucharze Polski. Nasz zespół musi się i do tego przygotować.

P. KOWALSKI: — Ja nie mam tego kłopotu, ale mam inny. Zachorował mi Zbigniew Boniek. Jest to poważne osłabienie zespołu. Obejmując drużynę Widzewa założyłem sobie, że nie dokonam żadnych gwałtownych zmian. Skoro zespół przy Leszku Jezierskim i później grał dobrze w takim samym składzie, to nie należy go zmieniać. Przynajmniej nie teraz.

— Ale oto zmieniła się sytuacja. Zachorował Zbigniew Boniek. Nawet kiedy wróci po chorobie, to przez jakiś czas będzie to zupełnie inny zawodnik. Muszę się z tym liczyć. Muszę dostosować się do nowej sytuacji. Mieliśmy na wiosnę ambitne plany. Nie możemy się jednak zająć. Nie możemy bronić się tylko spadkiem na niższe pozycje w tabeli. Musimy nasze plany zrealizować w inny sposób.

L. JEZERSKI: — Wiosna nie będzie łatwa. Wystarczy, że jakaś drużyna będzie miała 18 sprawnych zawodników, którzy przez cały czas pozostaną pod opieką jednego trenera i ta drużyna może tak zamieszać w lidze, że się nie polapiemy.

— Kiedy K. Górski przygotowywał zespół do Olimpiady, był to też specyficzny sezon. Czy jest jakiś inny sposób rozwiązania tego problemu?

L. JEZERSKI: — Szereg zadań szkoleniowych moglibyśmy przeprowadzić w klubach. Mamy w LKS nowoczesną maszynę do sprawdzania cech motorycznych zawodnika. Dlaczego nie możemy tego zrobić u siebie? Przecież wiele testów można

przeprowadzić w klubach, a wyniki przelać Jackowi Gmochowi.

— Widać Jacek Gmoch nie do wszystkich trenerów ma zaufanie.

P. KOWALSKI: — Jak znam Leszka, to wiem, że robiłby tak samo, bo on tylko sobie samemu najlepiej wierzy.

— W końcu chodzi o Mistrzostwa Świata. Nasza reprezentacja broni przecież pozycji trzeciej drużyny świata. A to znów nie bagatela. W moim przekonaniu Jackowi Gmochowi trzeba dać czas na zrealizowanie jego planów i dopiero na podstawie wyników osądzić jego metody. Ale tak a'propos, to LKS znajduje się w bardzo podobnej sytuacji. Po pierwsze — jak się mówi — trener LKS mierzy wysoko. I bardzo dobrze. Po drugie — LKS musi bronić pozycji lidera. A to nie jest łatwe. Zawsze łatwiej atakować niż się bronić i dlatego Widzew mimo pewnych trudności jest chyba w dużo korzystniejszej sytuacji. Po trzecie wręczcie LKS ma nowego trenera, który osiągnął piękny wynik, ale wielu kibiców zastanawia się, czy nie był to tylko nagły skok, zryw i na jak długo drużynie LKS starczy sił?

L. JEZERSKI: — Przyznam, że sam mam trochę wątpliwości z powodu tego wysokiego wznoszenia. Ale nie ze względu na stan drużyny. O drużynie zaraz powiem. Jeśli mam jakieś niepokoję, to dlatego, że kiedy nawet po całym sezonie uplasujemy się na trzeciej premiowanej pozycji, to zaraz się zacznie mówić, że to mało.

— Zapominając z jakiej pozycji drużyna startowała.

L. JEZERSKI: — Właśnie. Ale nie tylko o to chodzi. Na wiosnę inni będą z nami już grać bez tego lekceważenia, z jakim spotykaliśmy się jeszcze teraz. Będzie więc dużo trudniej, ale nie obawiamy się tego. Zespół bowiem w swojej większości jest młody i stać go jeszcze na wiele. Nie narzekam poza tym na „krótką ławkę”. Chcemy jeszcze ściągnąć do nas Janusza Barana z kadry młodzieżowej Polski, który gra w Stalowej Woli.

— W pracy z drużyną nie kierują się sentymentami. Mówię jasno: grajcie, którzy są najlepsi.

— Co się dzieje z Janem Tomaszewskim?

L. JEZERSKI: — Jan Tomaszewski według mnie jest nadal najlepszym bramkarzem. Również Mirosław Bulzacki wrócił do dobrej formy i dobrze spełnia swoją rolę w zespole.

Każdemu zespołowi, aby dobrze wypełniał swoje zadanie potrzebny jest jakiś bodziec. Myśmy zmienili zasady premiowania. I to było potrzebne. Ale teraz stawiamy inny cel. Zespół powinien mieć możliwość zagranicznej konfrontacji. A więc któryś z pucharów. I jestem pewny, że chłopcy zrobią wszystko, aby ten cel osiągnąć.

— A czy zespół stać na taką konfrontację?

L. JEZERSKI: — Według mnie tak. Zresztą życie pokaże czy mam rację.

P. KOWALSKI: — Pamiętajmy tylko o warunkach, w jakich startujemy do wiosennej rundy. Obłodozone boisko, trochę przypadki i z planami może być kruczo. Ale konfrontacja z zagranicznym zespołem — jak już mówiliśmy — zawsze jest potrzebna.

— Ostatnio tak się składa, że wielu łódzkich piłkarzy występuje w reprezentacji, a i pozycja obu pierwszoligowych drużyn jest dobra. Poza tym Orzeł sprawił miłą niespodziankę w Pucharze Polski. Czy nie nadszedł czas, aby trochę szerzej widzieć piłkę nożną w Łodzi i nie ograniczać się tylko do dwu drużyn?

P. KOWALSKI: — Potwierdziło się przede wszystkim to, że Łódź stać na dwie pierwszoligowe drużyny.

— To już historia.

L. JEZERSKI: — Nadszedł czas, aby głośno było o trzecim klubie.

— A który klub by Pan widział?

L. JEZERSKI: — Chyba Start. Myślę, że zarówno z LKS, jak Widzewa mogliby przejść do Startu piłkarze, którzy się u nas nie sprawdziłi. W poprzednich latach popełniano u nas błędy pozwalając niektórym piłkarzom odchodzić z Łodzi.

P. KOWALSKI: — Start chcąc piąć się w górę będzie szukał raczej zawodników sprawdzonych. Według mnie rezerwę powinien przygotować Orzeł.

L. JEZERSKI: — W Orle na razie panuje taka idea, aby 11 żołnierzy grać w piłkę nożną.

P. KOWALSKI: — Którzy później idą do Zawiszy, tam się nie sprawdzają i giną.

— A w ogóle to warto byłoby pomyśleć o pomocy innym klubom, aby po „latach tłustych” w łódzkiej piłce nożnej nie przyszły „lata chude”. Warto pomyśleć o rezerwach.

Rozmawiała:  
BOGDA MADEJ

EWA NURCZYŃSKA

## GDY FILM...

Dzielać się w ubiegłym tygodniu refleksjami na temat nowych możliwości rozwoju kultury filmowej, jakie stworzyła telewizja, zapowiedziałam powrót do tego tematu. Kilka uwag chciałabym dziś poświęcić potrzebom i formom prezentacji klasyki filmowej, zarówno na dużym jak i małym ekranie.

Jak wielkim cieszy się ona zainteresowaniem świadczą nie tylko popularność różnych telewizyjnych form jej przedstawiania. Tzw. opinia publiczna od lat domagała się otwarcia w Łodzi filii Kina Filmoteki Polskiej „Iluzjon”. Od roku kino to działa pod auspicjami Łódzkiego Domu Kultury i przyciąga widzów publiczność. Dział filmowy ŁDK nie pozostał jednak na tej formie udostępniania filmów archiwalnych wszystkim zainteresowanym. W bieżącym roku akademickim i szkolnym powołano do życia „Studium Historii Filmu”. W jego ramach porusza się już tylko klasykę filmową, a dzieła, które wyznaczają drogę rozwoju sztuki kina, stanowią tzw. „złota lista”. Studium to skupia przede wszystkim młodzież akademicka i szkolna i stanowi bezpieczną, choć ograniczoną, pomoc dla uniwersyteckich i szkolnych form edukacji filmowej.

W tym miejscu pora przejść do spraw podstawowych dla kultury filmowej i jej oblicza. Wiedza o filmie, jak wiemy, wkracza w prógi uniwersyteckie, nie śmiało i powoli znajduje również swe miejsce w szkołach i przewidywana jest w programach szkół 10-letniej w znacznym wymiarze niż dotąd. Największym problemem organizacji edukacji filmowej jest dziś właśnie sprawa dostępności filmów archiwalnych. W programach uniwersyteckich studiów, a zwłaszcza dwóch ich kierunków — kulturoznawstwa i polonistyki zajęcia z filmoznawstwa stanowią bądź ciekawą bądź niezbędny element. Trudno sobie dziś wyobrazić, że program tych zajęć mógłby być oparty o, cenne z punktu widzenia tak zwanych szerokich potrzeb, okazjonalne projekcje telewizyjne czy działalność „Iluzjonu” lub Dyskusyjnych Klubów Filmowych. Edukacja określana programem kształcenia ma bowiem swe zupełnie inne wymogi. Stworzenie dla celów dydaktyki uniwersyteckiej i szkolnej specjalnej filmoteki wydaje się więc dziś już konieczne. Oczywiście pula filmów niezbędnych w studiach uniwersyteckich byłaby niepomniejszając większa od liczby filmów niezbędnych w szkole.

Stworzenie takiej, bądź takich dwóch filmotek lamie wszystkie dotychczasowe obyczaje, wymaga oczywiście określonych środków finansowych, a także dopowiedzeń związanych z prawem autorskim. Zmieniają się czasy, zmieniają się obyczaje, toteż film, do czasu aż nie przedmiotem zainteresowań w ramach powszechnej edukacji, musi przelamać dotychczasowe formy rozpowszechniania. Oba nasze edukacyjne ministerstwa, podejmując decyzję o włączeniu filmu w proces dydaktyczny, muszą zwrócić również uwagę na rzecz zabezpieczenia możliwości właściwych ich realizacji. Nie ma zajęć z literatury bez istnienia bibliotek, nie może być zajęć filmowych bez istnienia filmoteki. Pociągamy się dziś wszyscy, że epoka magnetowidów w kaset rozwiązała w dużym stopniu te problemy. Rozwiązanie to, jak wiemy, wymaga jednak jeszcze nie tylko czasu, ale i sensownego przewidywania i programowania. Uniwersytety stoją już dziś przed ogromnymi trudnościami, co będzie, gdy „ruszy” dziesięćdziesiątka? W organizacji dydaktycznego zaplecza trzeba już myśleć również o stworzeniu filmoteki dla potrzeb szkół.

Jest też sprawą dość oczywistą, że wykorzystanie telewizji w omawianych procesach dydaktycznych winno zyskać realizację kształt programowy i dydaktyczny. Być może w pierwszych etapach wprowadzenia elementów wiedzy o filmie, a w nich podstawowego kursu historii filmu, do szkół, właśnie telewizja rozwiąże ów problem dostępności. Warto o tym myśleć już dziś. Ambitnie i odważnie propozycje dyskusowanego sądzę programu szkół 10-letniej wymagała przygotowań wstępnych na ogromną skalę. W interesującym nas tu wycinku należy podjąć również określone działania.

Wiadomo nam na przykład, że Wytwórnia Filmów Oświatowych złożyła w Ministerstwie Oświaty i Wychowania propozycję listy filmów dydaktycznych z zakresu wiedzy o filmie. Być może ona stać się bezcenną pomocą w roku nauki, trzeba już dziś przystąpić do ich realizacji. Zarówno uniwersytecki jak i szkoły czekają również na antologię filmowe, ta, tak popularna dla sztuki literackiej, forma może również znakomicie służyć w edukacji filmowej.

Wspominałam w ubiegłym tygodniu o francuskim serialu telewizyjnym pt. „Dzieje filmu francuskiego”. Czy polska telewizja, realizująca tak wiele filmów dla swych własnych potrzeb, nie mogłaby w swych planach przewidzieć podobnej serii? To, co zaproponowali Francuzi, może budzić dyskusję, to pewne. Jeden niezwykły walor tej serii poostaje jednak bezsporny. Wystąpił w tym filmie, komentując zarówno dzieje filmu w ogóle jak i własne filmy, ludzie, którzy tworzyli klasykę tej sztuki, a wśród nich René Clair i Abel Gance. Niepowtarzalna to szansa, ale szansa na miarę epoki audiowizualnej kultury. Chociaż polska sztuka filmowa nie ma klasyków tej miary, ma w swym powojennym okresie twórców i dzieła, które za lat kilkadziesiąt czy tylko kilkanaście będą miały wartość zapewne nie tylko dla narodowej kultury. Może warto już dziś zrealizować film o dziejach polskiego kina, wykorzystując udział tych, którzy je tworzą. Może warto poświęcić go np. twórczości Andrzeja Wajdy i Jemu samemu pozwoliłoby to wyrazić skomplementować. Film dziś, zbyt rzadko sam, sobie władczywni spoglądami a sobie mówi. Składam tę propozycję jedynie przykładowo, jako jedną z możliwości bogacenia i poszerzania form edukacji i kultury filmowej, o których w obliczu potrzeb, o jakich była tu mowa, trzeba myśleć już bardzo serwo.

E

Autokar od dobrych dwóch godzin przemierzał równym klusem płaskowyż Kastylii. Wzgórza, wzgórza, ziemia kamienista o czerwonorzawym kolorze. Domy płaskie otoczone białym murem. Dachy śródziemnomorskie z ceglanych lusek. Tu państwo widzą piniowe zagajniki, chrypią przy mikrofonie głos przewodnika, tam wspinają się zboczami oliwne gaje. Tu bliżej, stoki wzgórza pokrywają niskopienne winorośle. Te stożkowate drzewa o wysmukłej koronie to cyprysy, tam dalej widać drzewa figowe laury i mirty. Plantacje trzciny cukrowej i bawełny także drzewa korkowe zobaczymy za Kadyksem, na wzgórzach Costa del Sol...

To już koniec października a wciąż ciepło.

Gorące światło spada na stoki wzgórz. Kładzie się na mroczne cyprysy. Gdzie bieleje murek cementarza, cyprysy stoją gęstą ścianą. Całe aleje tych drzew. Są tu symbolem żaloby. Napawają smętkiem tym bardziej bolesnym i niespodziewanym, że wokoło żarzą się pałace smugi słońca. Czerni cyprysów napomina o sprawach ostatecznych. A rozpalona, buchająca ciepłem ziemia zdaje się wołać — zrzuć smutek, korzystaj z życia.

— Corridy nie będzie — odezwał się głos przewodnika.

Beatka, która siedziała dotychczas cicho jak trusia, poderwała się.

— Jak to? Być w Hiszpani i corridy nie widzieć? Ludzie, ratujcie.

— W połowie października sezon się kończy — dodał beznamiętnie przewodnik — Może jakaś mała corrida trafi się w Kordobie, raczej wątpliwe.

W Toledo Beatka popadła w długie zamyślenie. Wodziła wzrokiem po ceglano-kamiennym grodzie. Zdawała się być nieobecna duchem. Toledo przypomina Sienę, jeszcze bardziej może Asz. Dużo jest wszakże posępniejsza. Wznosi się na skalistym wzgórz. Jest okolonie Rio-Tajo, rwącym w dół i wezbranym Tagiem, którego strome brzegi spina kamienny most rzymski. Jest wielka surowość w zabudowie tego miasta. Toledo jest gołe. Jest bez zieleni. Jest rozrzucone tarasowato. Z panoramy miasta zleje klasztorną asz. I dobrze się stało, że nie gdzie indziej tylko w toledzańskim kościele Santo Tome wisiał „Pogrzeb hrabiego Orgazy”. To płótno El Greca, najbardziej chyba hiszpańskiego ze wszystkich hiszpańskich malarzy. Obraz ujarzma. Chwyta za serce. Jest wielką artystyczną wizją przemijania i śmiertelności.

— Po co te kraty? — zdziwiła się Beatka, wskazując na okna w skąpanym w kwiatkach patio, pamiętającym wyprawę krzyżową. Patio było wyłożone całe ceramiczną mozaiką. Pośrodku cicho szumiła fontanna.

— Po to, żeby uchronić toledańskie dziewczęta przed natarczywością mężczyzn — Odpowiedział przewodnik, który miał sępi profil i hidalgo.

Beatka wzruszyła ramionami.

— Było też czego bronić.

Turyści wdarli się rozkrzyżowaną ciżbą do środka dawnej synagogi w stylu mudejar, dziś Santa Maria la Blanca. I zamarli bez ruchu. Przycichli. Ni słowa ni szeptu nawet. A nie było wewnątrz tej prastarej świątyni prócz nieskazitelnie czystej goliżny białych ścian, pustego ołtarza, nagiego suntu i rzędów grubych przysadzistych kolumn. Żadnych nigdzie złocen. Żadnych ornamentów. Jaka niepojeta prostota. Jednak każdy odczuł, że miejsce jest niezwykle. Każdy wyczuł, że ma przed sobą dzieło sztuki najwyższego lotu. Stąd to skupienie. I to długie, przeciągające się milczenie. Przypomniałem sobie, że takie samo wrażenie wywołuje na turystach wnętrza rzymskiego Panteonu. Autentyczne dzieło sztuki przemawia spontanicznie i żywiołowo. Budzi podziw i wzruszenie.

Autokar głucho mrużąc szedł rozkołysany przez Sierra Morena. Beatka nie odzywała się słowem. Siedziała sztywna i napsuzona.

Niebo zaszło chmurami, spadł deszcz i pokrył góry puszystą mgłą. Po kwie-

tniowej wiośnie, która wybuchła tu nagle, następuje długie i bezchmurne lato. Potem jest właśnie jesień, kiedy to góry stoją w mgłach. Hiszpania to kraj gór, skal i czerwonej, kamienistej ziemi. Wszędzie są góry. Nigdzie nie jest do gór daleko. Gdzieś tam zawsze mający jakiś górski łańcuch na horyzoncie. Raptem uświadomiłem sobie, że obok Szwajcarii, to najbardziej górzysty kraj Europy. Górskie łańcuchy przecinają półwysep iberyjski wzdłuż i wszerz. Rozcinają kraj na prowincje. Rozdzielają państwo na różne narodowości. I dziś jeszcze jednym z hiszpańskich wyróżników jest dążenie prowincji do separacji.

Spadła noc i wtedy okazało się, że wokoło rozciągają się bezludne pustkowia. Mrocznej scenarii Sierra Morena

— Po kolacji zapraszam na drinka.

Nazajutrz, już w Sewilli, Beatka pokazała się przy obiedzie z twarzą zmiętą i zszarzałą. Z braku snu miała podrażnione oczy. Wzdłuż brzegów Quadaikviriur chodziła jak zaczadzona. Nie jestem pewien, czy zwróciła uwagę na średniowieczną dzielnicę Santa Cruz, na ogromny sewilski al-kazar i przyniatającą swym majestatem katedrę. Czy Beatce utkwiło coś z niepowtarzalnej panoramy Sewilli? Wiele jest pięknych miast w Andaluzji. Najpiękniejszym ze wszystkich, w całości utkanym z budowli o niezwykłej architektonicznej urodzie jest Sewilla. To jedno wielkie na różowo ukwiecone korso, przybrane na alejach królewskimi palmami. Sewilla, to perła hiszpańskiej kultury, hiszpań-

— Doprawdy, wielkie nieszczęście spadło na człowieka, który to wszystko utracił. Boabdil powinien był walczyć do końca. Dlaczego nie walczył?

Czemu muzułmanie poddali chrześcijanom twierdzę, która była właściwie nie do zdobycia? Moralista odpowie — Przed wiekami wylądowało na tej ziemi zahartowane i męskie plemię saharijskich wojowników. Z biegiem lat, pod wpływem wielkiej obfitości bogactw wszelkich, wysmagał pustynnym wiatrem twarze zwycięzców zwiózł. Ich nogi straciły sprężystość. Tuk z kości im powyciekał. Ci ludzie pogubili męskość w ogrodach rozkoszy. Z wojowników przekształcili się w sybarytów. Zniechęceni. Miecze im z rąk powypadały. Zmiedli ich ascetyczni, okuci w żelazo rycerze Izabelli Katolickiej. Położyli kres kulturze, która była jedną z najbardziej subtelnych i wysublimowanych na starym kontynencie. I tak to pewnego dnia zamiast chichotu rozbalwionych dziewcząt zabrzmiał na wyłożonym dziedzińcu Lwów w Alhambrze chrapliwy odgłos żołnierskiej komendy. Więc moralista odpowie: — Brak hamulec, rozwiązłość i wyuzdanie. Triumf zmysłów i fizyczny rozkład. Sultani Grenady chodzili na uginających się nogach. Stali się słabi i niezdyscyplinowani. Energią z nich uciekała. Tak upadł Babilon, tak upadł Rzym, tak padły twierdze Grenady.

— Jego spytaj, on będzie wiedział — zawołała Beatka, spoglądając na sultańskie łożo kilkumetrowej szerokości, przytulone do ściany z złotych arabesek. Beatka wskazywała ręką na kraclasto odzianego przewodnika wycieczki „American Express”.

Spytałem zatem.

— Jak on to robił?

I tym pytaniem wielką wywołałem uciechę w gronie młodych Amerykanek odświętzonej i pachnącej jakby co dopiero opuściły łazienkę. Amerykanki to już zawsze i wszędzie wyróżniają się ową mydlano-kosmetyczną czystością.

Przewodnik wyszczerzył wszystkie zęby.

— Jak on to robił? Zwyczajnie robił...

— No dobrze, ale trzymał 350 kobiet w haremie. Jak on to robił?

Przewodnik przywołał powagę na twarzy.

— No, dziewczęta, przystępcie tu bliżej — krzyknął — popatrzcie tylko, sultan siedział tam, na piętrze, za balustradą i stamtąd przyglądał się kąpiącym się w basenie dziewczętom. Tej, którą wybrał, rzucił jabłko. I tak codziennie. O piękne Hiszpaneczki, trzymane krótko przez eunuchów, porzućcie wszelką nadzieję, zdane jesteście na łaskę sultana.

— Ale jak on to robił, jak robił? — upierały się teraz chórem młode i wszelkiej pruderii wyzbyte młode Amerykanki. — Przecież nie nosił chyba protezy.

Przewodnik mruknął na mnie porozumiewawczo. Już takie są nasze amerykańskie dziewczyny, mają już to sfiksowanie, że muszą wszystko wiedzieć ze szczegółami. Ale nie przypuszczałem, że młode Polki są takie same. Wskazał na wiszące nad Grenadą ośnieżone szczyty Sierra Nevada.

— Naturalnie, bez sposobów się nie obyło, naturalnie, sultan Grenady popijał wywar z roślin palo-palo. To mu dawało doskonałą kondycję. Te rośliny można gdzieś odgrzebać na tamtych wysokogórskich łąkach. Ale sultanom Grenady nie tylko takie rzeczy były w głowie. Oni zajmowali się filozofią, muzyką, żyli w otoczeniu uczonych i poetów.

W drodze z Grenady do Madrytu diabeł mnie podkusił.

— Manuel wcale nie był tereadorem — powiedziałem do Beatki.

— Co? — dziewczyna na moment zmartwiła — Co ty mówisz?? Nie był tereadorem? Guzik prawda, wymyślił, żeby mi dokuczyć.

— Spytaj kierowcę, potwierdzi, co mówię.

Kierowca autokaru zaryczał ze śmiechu.

— Manuel to kłamca. On każdej blondyce opowiada, że jest matadorem. Bierze ją na ten haczyk i wyciąga. Z Hiszpankami takie sztuczki nie przejdą, Hiszpanki są na to mądre.

Widać było jak Beatka zaciska zęby.

— To nieprawda, nieprawda, słyszcie, Manuel podarował mi zdjęcie. Jest ubrany w bogato haftowany złoty-czarny kostium i ma szpadę w ręku.

— Takie zdjęcia można sobie u nas zrobić u każdego fotografa — zaśmiał się kierowca.

— Tak, a te plakaty z corridy, z jego nazwiskiem, które mi Manuel pokazywał?

— Takie plakaty można sobie u nas zamówić na ulicznym straganie. Są gotowe, tylko nazwisko się dodrukowuje. Kosztuje to niecałe dwa dolary.

Kierowca przypatrywał się bacznie Beatce i przestał się śmiać. Dodał ze złością gazu.

— Nienawidzę Hiszpanów — wybuchnęła Beatka — To kłamcy.

Patrzyła na mnie zimno.

— Ty też jesteś dobry numer. Co za drań. Czy nie rozumiesz, że kobiecie nie wolno odbierać złudzeń?

JAN BĄBIŃSKI

# BEATKA W ANDALUZJI

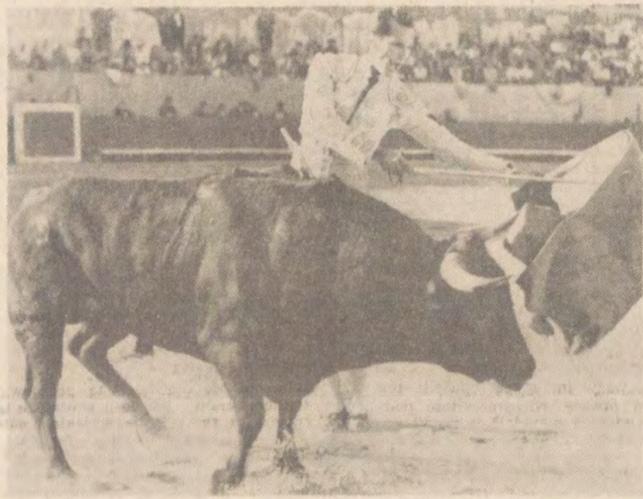


Foto: Archiwum

nie rozświetlały nawet gwiazdy. Wciąż mżyło.

Maitre d'hotel w Kordobie wywołał Beatkę z dużej przecież turystycznej grupy jednym rzutem oka. Zatrzymał przez moment wzrok na jej pszenicznych włosach, na bujnej sylwetce upiętej w obcisłe dżinsy. I znów popatrzał na blond-włosy opadające falami na ramiona Beatki. Wielu mężczyzn na widok takich włosów dretwieje. A potem robi różne głupstwa. Szef hotelu podskoczył i przedstawił się.

— Manuel, matador z Sewilli i Kadyksu.

Beatka skamieniała z wrażenia.

— Co proszę? Pan jest tereadorem?

— Do usług, mademoiselle — Manuel skłonił się i zaczął wyjaśniać łamaną francuszczyzną, że ta szrama na czole, to od rogu torero. To był tak go urządził. W tym momencie Manuel uskokzył, robiąc ruch ręką, jakby chciał wbić szpadę bykowi tuż za karkiem. Zgrabnie Manuel zatańczył. Z pełną wdzięku nonszalancją. Beatka nie odrywała od Hiszpana wzroku.

Rany boskie, nareszcie coś się zaczyna dzieć w tym kraju. Matador, tereadore, stu procentowy mężczyzna, czyżby to miała być rzeczywistość? A Manuel niziutki, drobniutki, w ogóle niezbyt imponujący postawy. Miał wykrzywione nogi. Ze swoją wąską i mądrym twarzą wyglądał na fryzjerszycę cierpiącego na nadkwasotę żołądka, lub na dżokeja, który na gwałt usiłuje zrzucić wagę. Taki mikrus, który wyrósł chyba na samej kuryndy i rzadkiej oliwce. Prawdopodobnie już dawno stuknęła mu czterdziestka. Manuel miał jednak czarną czupryną i ogniste oko. To oko wystarczyło. Beatka wyraźnie hipnotyzowała. A Beatka poddawała się tej hipnozie bez oporu. Beatka z trudem oddychała. Oczy miała wyobraźni widziała jak z ciemnej zagrody wylatuje czarna byk w jasną błask areny. Szarżuje z nisko pochylonym łbem. A Manuel nic. Manuel stoi niewzruszony jak antyczny posąg. Dopiero w ostatniej chwili robi niedbały ruch czerwona muleta. Byk przelatuje, stadion ryczy, ole, ole...

Beatka jest cała w pąsach. Widzi już niemal, jak jej łódzkie koleżanki zlenieniają z zazdrości. Manuel wpatruje się w blond-włosy Beatki i powiada,

skiego kunsztu i hiszpańskiej umiejętności tworzenia rzeczy o nieprzemijających wartościach.

Beatka obudziła się z zamyślenia dopiero w Grenadzie. Spoglądała z wież Alhambry w dół na jasne wesołe domki dawnej dzielnicy arabskiej. Spoglądała na falujące w słońcu pinie, wiązy i cyprysy. I z westchnieniem przenosiła wzrok na poszarpane okryte wiecznym śniegiem, piętrzące się do wysokości niemal 3500 metrów groźne szczyty Sierra Nevada. Wyższe od Pirenejów. Najwyższe na Półwyspie Iberyjskim. Spojrzała na wiszące jakby w powietrzu ogrody Generalife i... zamarla.

Raj na ziemi?

Tak, jeśli by gdzie raju szukać, należało, to tutaj w Alhambrze. Nie będę opisywał twierdzy, która była też pałacem i całym prócz tego miasteczkiem. Inni zrobili to lepiej. Jakże wyrafinowane w swym wschodnim przepychu są te sale i dziedzińce. Jaką orientálną zmysłowością przepojone są patia i pozłacane klątki w prywatnych komnatach sultana Grenady. Całe ściany w stiukach. Całe sufity ze złota i masy perłowej. Całe podłogi w bącznych mozaikach, przy których błędna nawet te bizantyjskie, w imperatorskiej Rawennie. Gdzie spojrzeć, wszędzie błyska złoto, iskrzy się srebro i mieni antyczny brąz. A tuż obok słychać cichy szmer fontann i szepczące słodkie tajemnicze strumyczki, które spływają po bącznych kolorowych ceramicznych płytkach. Wielka przeszłość tych najwyższych zwłotów arabskiego ducha nigdzie bardziej nie jest obecna niż tutaj w Alhambrze. Więc wspomnę jeszcze, że jeśli gdzieś dotknięto samego dna ludzkich rozkoszy, jeśli gdzie uczyniono najpełniejszy użytek z tego krótkiego przecięcia aktu biologicznego jakim jest życie, to stało się to w Alhambrze.

Do tego właśnie okna, przy którym stoi teraz Beatka, przywołała Aisha swego syna Boabdila ostatniego sultana Grenady i wyrzekła:

— Popatrz na ogrody, na góry, na miasto, na cudowną krainę i pomysł tylko co oddajesz. Pamiętaj, że wszyscy twoi przodkowie umarli jako sultani.

Przy tymże oknie stanął też w zamyśleniu Karol V, w którego władaniach nie zachodziło słońce i nie działo:

SF

Tom jest naszym przyjacielem już od kilku lat. Pracuje jako naczelny redaktor pisma dla nastolatków, wychodzącego pod zwariowanym tytułem „HELP!”. Kiedyś był muzykiem i to podobno całkiem niezłym. Ale tak naprawdę jest urodzonym dziennikarzem. Kiedy ukazuje się kolejny numer jego pisma, Tom zawsze bardzo długo go analizuje. Czyta go w łóżku, w toalecie, w samochodzie — właściwie nigdy się z nim nie rozstaje, póki nie wyjdzie następny.

W Helsinkach wychodzą dwa magazyny młodzieżowe tego typu. Oczywiście konkurencyjne. Wchodzą z nami do różnych sklepów, gdzie przed wejściem wyłożone są pisma. Tom zakrywa zawsze codziennymi gazetami pismo jego konkurencji. To jego mały prywatny, wkład w pogonienie przeciwnika — jak nam oświadczył. Ale nigdy nie dowiedzieliśmy się czy robił to poważnie, czy był to po prostu kolejny jego figiel.

Tom jest jednym z najmłodszych redaktorów naczelnych w Finlandii, ma dopiero dwadzieścia pięć lat. Jeszcze dwa lata temu, kiedy przyjechał do Polski robić wywiad z Czesławem Nieminem był zwykłym korespondentem. Niewiele od tamtego czasu się zmienił, pozostał kompletnym wariatem, takim jakim znam go wcześniej.

Kiedy dostał już swój gabinet naczelnego, od razu pierwszego dnia wprowadził dość istotną zmianę. Odtąd przed wejściem do gabinetu zainstalowany był automat dla petentów. Chcąc dostać się do środka, naciskało się guzik biały. Jeżeli zapalało się zielone światło, można było spokojnie wejść. Jeżeli żółte, trzeba było chwilę poczekać. Jeżeli zaś czerwone, oznaczało to, że szef jest zajęty i trzeba przyjść kiedy indziej. Tom natychmiast kazał ten automat wyrzucić, a na jego miejsce powiesił plakat z napisem: „POMOŻ MI, JESTEM SAM!”.

Cała redakcja składa się z ludzi bardzo młodych. Grafik ma dwadzieścia trzy lata, a najstarszą osobą jest sekretarka, która liczy sobie lat dwadzieścia osiem. W ogóle wygląda to jak gdyby studenci bawili się w gazetkę ścienną, z tą tylko różnicą, że co jakiś czas w drzwiach staje goniec z serwisem zdjęć z Paryża, Londynu, Nowego Jorku, i efektem ich pracy jest 36 stronowy kolorowy magazyn. Jeden z najpopularniejszych w Finlandii. Przyjaciele Toma, także dziennikarze, pracujący w innych pismach mówili z nieukrywaną zazdrością, że jest to grupa przyjaciół a nie normalna redakcja.

„HELP!” Jest poświęcone sprawom sportu, filmu, ale przede wszystkim muzyce, która na łamach pisma dominuje. Bez zbytej skromności można stwierdzić, że Tom zna oświadczenie wszystkich muzyków w Helsinkach. Pojutrze obiecał nas poznać ze znanym w Polsce z sopóckich festiwalu Jukką Kuoppamäki.

## 5 MINUT DZIENNE

Zastanawiałem się nieraz czy Tom był szczęśliwy. Zapytałem go kiedyś:

— Powiedz mi, Tom czy w tym szaleńczym, codziennym zabieganiu nie czujesz się trochę samotny?

— Tak — odparł — mniej więcej przez pięć minut dziennie. No wife, no children, no problem!

Tak mówił, ale żył inaczej. Gdy wchodził rano do redakcji otwierał zawsze małą szufladę swojego biurka i faszerował się pigułkami. Na uspokojenie, na wzmocnienie, na cholera wie co...

ALICJA SARNAT  
MAREK MILLER

# NASZ PRZYJACIEL TOM



Fot. Archiwum

Znal tą morderczą w swoim zawodzie statystykę, przeciętna wieku życia dziennikarza 47 lat. Zawsze powtarzał: zostało nam jeszcze dwadzieścia dwa lata. Trzeba żyć szybko pamiętając o tym. Jego kace po dużych piąstwach były chorobliwe. Bardzo bolało go serce. Kaszał, ksztuł się, nie mógł wtedy prowadzić samochodu, pisać, rozmawiać. Uciekał wtedy od ludzi. Przypalałem go kiedyś w takim osamotnieniu, nie widział, że na niego patrzę. Miał w ręku gitarę i głośno śpiewał, a właściwie krzyczał uderzając palcami w struny. Było w tym coś z szaleństwa. Wyglądał strasznie.

## W KAWIARNI

Dzisiejszy wieczór spędzimy w ulubionej kawiarni Toma, gdzie kiedyś jeszcze jako trubadur występował przed publicznością. Zawsze w poniedziałki i piątki grają tu młodzi ludzie na gitarach i śpiewają piosenki z publicznością, którą stanowią przede wszystkim studenci i marynarze. Dziś jest wieczór ludowych piosenek fińskich i rosyjskich romansów. Występuje przyjaciel Toma, Petri.

Kawiarenka jest śliczna. Małeńkie stoliki przykryte kracastymi obrusami. Pałają się na nich świece. Na stołach królują Gin Long Drink, ulubiony napój fińskiej młodzieży. Coś w rodzaju naszej oranżady, z tą tylko różnicą, że zawiera 20 procent alkoholu. Kiedy usiedliśmy już wygodnie w fotelach Petri śpiewał drugą piosenkę tego wieczoru. Nie rozumiałem jej słów i zapytałem Toma o co chodzi, bo publiczność zachowywała się dość dziwnie. A mianowicie co jakiś czas kilka osób wstawało i wychylało pełen kufel, przy okrzykach i brawach całej sali. Okazało się, że jest to coś w rodzaju „Pije Kuba do Jakuba...”. Piosenka posiadała 12 zwrotek. Tytuł nie jest miśnięty. Pod koniec każdej wszyscy urodzeni w danym miesiącu wstawali i pili do dna. Aha, była jeszcze zwrotka trzynasta, o tych wszystkich, którzy urodzili się przypadkowo — piją wtedy wszyscy, przy ogólnej radości i ku zadowoleniu właścicieli lokalu.

Rzecz ciekawa nie widzieliśmy nigdzie ludzi pijanych, nie ma też nigdzie burd, ani głośniejszych wrzasków. Petri jest znakomitym aktorem i doskonale potrafi bawić zebranych. Śpiewając prowadzi coś w rodzaju konwersacji, o coś pyta, zagaduje, publiczność mu odpowiada. Kiedy dowiedział się, że jesteśmy Polakami przygotował nam niespodziankę. Zaśpiewał „Dziś do ciebie przyjdź nie mogę...”, oczywiście po fińsku. Po czym powiedział nam, że jest to jedyna polska pio-

senka jaką zna. Ponieważ słowa były dla niego bardzo trudne więc napisał własne. Pożalowałem wtedy, że nie znam fińskiego.

## BYŁO TO DZIWNE SPOTKANIE

Bardzo dziwne spotkanie. Jukka Kuoppamäki. Najbardziej popularny w Finlandii piosenkarz. Ma małe własne studio nagrań i agencję reklamową. Nagrywa tu swoje piosenki, pisze sam teksty i muzykę. Jeździ z koncertami po kraju, ma nagrania w radio i TV. W Polsce na festiwalu w Sopocie otrzymał kilka wyróżnień. Nie tak dawno był mocno zaangażowany w działalność polityczną. Kandydował do parlamentu z ramienia najbardziej konserwatywnej partii w Finlandii. Jego agencja mieści się w niewielkim pomieszczeniu na jednej z bocznych ulic w Helsinkach. W piwnicy tego domu Jukka urządził sobie pomieszczenie, w którym przyjmuje gości. Przekraczamy jego próg i nagle znajdujemy się w stylowym saloniku. Całą podłogę przykrywa olbrzymia posusta skóra. Ściany zawieszono kartami, wiszą na nich dyplomy, piaszkorzeźba Buddy, lustro w złotych ramach, dwie gitary. W rogu stoi czarne pianino z dwoma mięsistymi świecznikami. Obok stolik i fotel dla gości. Wszędzie pełno nut. Półmrok. Pałają się tylko dwie małe lampki. Czeka chwilę na Jukkę. Ma nagrania w radio, zaraz powinien być. Pijemy kawę, jemy „fińskie poduszki”, o których pisałem już wcześniej.

Na korytarzu tupot nóg. Wechodzi Jukka a za nim wpada gromada dzieciaków z podwórka.

— Teraz nie — mówi do nich Jukka. — Mam gości. Przyjdźcie po południu. — Zamyka drzwi, spoza których dobiegają nas ciągłe wołania: — Jukka! Jukka!...

Siada przed nami:

— Halo! I am Jukka.

— We are very glad... Czy to co mówisz dziennikarzom jest zawsze prawdą?

— Zawsze. Jest to moja pierwsza zasada. Jeżeli nie chcę czegoś powiedzieć, to po prostu mówię, że nie powiem.

— Co byś zrobił gdyby zabroniono ci śpiewać?

— Śpiewałbym dla przyjaciół. Najlepiej pracuje mi się gdy jestem wśród ludzi. Wtedy najczęściej przychodzi do mnie muzyka. I zapisuję na tym co mam pod ręką, na serwetkach, na mankietach koszuli. Kiedy śpiewam chcę przekazać ludziom mój nastrój. Chcę dać im spokój i zamyślenie. Naj-

bardziej lubię śpiewać piosenki wesołe, ale sam nie potrafię pisać takich piosenek.

— Co dla ciebie znaczy szczęście?

— Być szczęśliwym, to mieć sukcesy w pracy. To mieć ludzi, którzy mnie słuchają. Czasem jestem pewny, że chce mnie słuchać mnóstwo ludzi, a czasem wydaje mi się, że nikt mnie nie lubi i nikt nie chce moich piosenek. To niedobrze zamykać się i żyć samemu.

— Co dla ciebie znaczy być zmęczonym?

— Są dwa rodzaje zmęczenia. Wczoraj miałem koncert w środkowej Finlandii. Spałem tylko trzy godziny. Dziś nagranie w radio. Jestem bardzo zmęczony. Ale ważniejsze jest zmęczenie, kiedy oddam wszystko ludziom, kiedy czuję się pusty. Wtedy idę do lasu. Chcę być sam.

Jukka wziął gitarę i zaczął śpiewać. Siedzieliśmy oszołomieni tą dziwną rozmową, tym wnętrzem, jego strojem i tym że w pewnym momencie powiedział, że był Indianinem w swoim poprzednim wcieleniu. Nie wiedziałem czy kpi z nas, czy źle go zrozumiałem. Jukka śpiewał jeszcze kilka piosenek, potem podarował nam swoje płyty z dedykacją i wyszliśmy.

## DOM

W tym domu nie mogliśmy wytrzymać dłużej niż jeden dzień. Nagle trzy osoby niezależnie od siebie przeżyły to samo. A wszystko zawdzięczaliśmy fotografii stojącej na kominku. Przedstawiała młodego człowieka z dużą czarną brodą w marynarskim mundurze.

Jechaliśmy dwie godziny na zachód od Helsinek. Minęliśmy Tampere i potem jeszcze 40 min, autostrada, aż wóz skręcił w leśną drogę. W szybie przepływały farmy bliźniaczo do siebie podobne. Pomalowane na brąz lub żółć z bielą wokół okien i drzwi. Jeziora, lasy, jeziora, lasy, i ogon kurzu opadający powoli na przydrożne chwasty. Aż w końcu zatrzymaliśmy się u kresu.

Duży stary dom przypominający nasze dworki. Z boku pawilon z pokojami dla gości. Cały dziedziniec zarosnięty chwastami i perzem. W środku fontanna bez wody, pokryta mchem ze stojącą mosiężną statua rybaka. Otwieramy drzwi — wszystko w środku pokryte kurzem, meble, biblioteka, naczyńna kuchenne. Nikt tu nie był od wielu miesięcy. Miało się wrażenie, jak gdyby wszystkich domowników na raz zaskoczyła śmierć, a żywi wyprawili się w stypę opuścili ten dom na zawsze. Niesamowite podkreślał wspaniały widok w powietrzu zapach starzyzny i ludzi, którzy tu kiedyś mieszkali. Każda ludzka siedziba wytwarza swoisty zapach, ale tu przecież od kilku miesięcy niktogo nie było. Duża ilość fotografii na ścianach powiększała złudzenie, że oto obcujemy z duchami zmarłych domowników. My ciągle jeszcze wesoło szukamy wody, zrywamy po drodze owoce ze dziczego agrestu, kartujemy filmowe magazyny z lat trzydziestych. Pełny luz — mamy tu przecież zostać kilka dni. Po kolacji siadamy przed kominkiem.

Rodzili się tu i marli przez kilka pokoleń. Jeden z nich zerwał tradycję. Zostawił ziemię, gospodarzkę — ciągnął go świat. Uciekł na morze! W ciągu kilku lat dorobił się własnego kutra. Został szyprem. Nałapyl lata tuście. Wtedy właśnie dobudowano pawilon, zrobiono fontannę i postawiono w niej mosiężną statua. Ale dobra passa nie trwała długo. Założył rodzinę, przyszył choroby — z pracy na morzu trzeba było zrezygnować. Wykonywał potem wiele zawodów. Był agentem ubezpieczeniowym, kierownikiem biura reklamowego. Dziś ma małeńki warsztat ze sprzętem geodezyjnym. Robił różne rzeczy, ale za każdym razem była to tylko ucieczka. Człowiekiem interesu nigdy nie został. W międzyczasie postarzał się i opowiadał — powrócił na morze był już niemożliwy. Ten dom w którym byliśmy miał być jego pomnikiem, bazą, gdzie nabiera się siły i gromadzi trofea, a pozostał wyrzutem sumienia, do którego z wielu powodów niechętnie się wraca.

Tom źle spał tej nocy. My też obudziliśmy się w nie najlepszych nastrojach. Z ulgą wrzuciliśmy rzeczy do samochodu i jechaliśmy dalej.

## POWRÓT

Statek odpływa o godzinie 23. Mielimy ostatnie kilka godzin dla siebie. Tom zaproponował przejażdżkę samochodem. Było już ciemno. Deszcz monotonnie bebnął o szyby wozu. W środku było ciepło i dobra muzyka. Powoli mijaliśmy ulice, place, ludzi, jak gdyby wyświetlano film, który już kiedyś oglądaliśmy. Portowe światła nikały w gęstniejącej mgłę. Słychać było basy syren dochodzące ze statków. Nasze Helsinki — rodzinne miasto Toma. Jeden z jego przyjaciół miał licencję pilota — był członkiem klubu sportowego. Na wiosnę postanowił przylecieć do Polski samolotem. Wleź w to, że któregoś dnia usiądziemy na trawie w Lublinku i będziemy patrzeć w niebo poszukując sylwetki ptaka, który zwróci nam na kilka dni przyjaciół.



ELIZABETH TAYLOR nie ma nic wspólnego z tymi wspaniałymi, długonogi, wysportowanymi, odzianymi w dzinsy dziewczynkami, które dyktują styl dzisiejszej modzie filmowej. Nie należy też do typu kobiet niezależnych, emancypowanych, „interesujących”, trawionych przez uniwersalne problemy i tzw. ludzkie ambicje.

Elizabeth Taylor uwielbia kosztowne futra i unikalne klejnoty, ubiera się w wyszukane, specjalnie dla niej wymyślone i sztywne stroje. Jest egocentryczna, kapryśna i niestała. Zachowuje się jak rozkapryszona dziecko. Jeśli odbiora jej ulubioną zabawkę: rzecz, człowieka, zwierzątko, jeżeli nie spełnia natychmiast jej życzenia — wpada w szaleńcza, historyczną furję. Jeździ otoczona całym

O'Brien — tym uroczym brzdącem ekranu nie udało się zrobić kariery dorosłych gwiazd. Mając 18 lat Elizabeth zdobyła ogromne powodzenie w filmie „OJCIEC NARZECZONEJ” u boku znakomitego aktora, Spencera Tracy. Wtedy to przylgnęło do niej miano „amerykańskiej narzeczonej” albo „narzeczonej Ameryki”. W tymże roku, jakby potwierdzając swój bajeczny los, poślubiła bajeckie bogactwo NICKY HILTONA, juniora, dziedzica sławetnej hotelowej fortuny. Uroczystości ślubne miały charakter spektakularny i przyciły swym blaskiem niejedną gwiazdę. Hilton okazał się jednak równie nieciekawym, jak bogaty, nado, jak głosili wtajemniczeni — skąpy. Elizabeth szybko zmieniła rolę żony milionera i przeniosła swe zainteresowania na poważnego, dystyngowanego aktora angielskiego, MICHAELA WILDINGA, który w przeciwieństwie do Hiltona, mówił nienaganna angielszczyzną i w prezencie ślubnym ofiarował małżonce Wielki Słownik Oxfordzki.

Związek z Wildingiem trwał pięć lat. Gwiazda nasza dzieliła swój czas między powinności aktorki i matki dwojga dzieci. Wystąpiła wtedy w całej serii filmów rodzinnych, ciągle u boku Spencera Tracy, a w roku 1956 podziwiano ją w „OLBRZYMIĘ” u boku bożyszcza młodego pokolenia, Jamesa Deana. Elizabeth przyjaźniła się zresztą serdecznie z owym młodzieńczym buntownikiem. Nikt jednak z ówczesnych nie zastanowił się nad tym, że byli właściwie rówieśnikami — tak ogromna przepaść

MARIA GERBERÓWNA

# SIEDMIU MĘŻÓW PANI LIZY

dworem, gotowym do usług na każde jej skinienie. Ma więc osobistą pokojówkę, fryzjera, krawca itd. Jeśli akurat los tak zrządzi, iż znajdzie się w jakimś dalekim kraju, którego kuchnia nie bardzo odpowiada jej podniebieniu — każe sobie codziennie sprowadzać specjalnym samolotem posiłki z Londynu. Nawet węgierscy mistrzowie sztuki kulinarnej nie wydali się dostatecznie godni zaufania, skoro tort — obrzęmy na jej 40-te urodziny — a bawiła wówczas w Budapeszcie — sprowadzono umyślnym samolotem z Londynu. No i oczywiście, Elizabeth Taylor uwielbia romansy, uwielbia kochać i być kochaną.

Jej sposób bycia, sercowo-małażeńskie skandale bawią serdecznie, irytują drugich. Młodemu pokoleniu wydaje się zdecydowanie dziwaczna. Stąd zresztą znaczny spadek jej popularności na międzynarodowym rynku. Ekstrawagancje aktualnych gwiazd są zupełnie w innym stylu. I całkiem innego rodzaju skandale — ekscytują dziś opinię publiczną. Liz z uporem łączy kaprysy księżnej pani z zamierzającą przesłodzić z hałasliwą i nie zawsze w najlepszym tonie utrzymaną reklamą komercyjną gwiazdy filmowej. W przeciwieństwie do słynnych gwiazd minionego czasu: Greta Garbo, Marlene Dietrich, Marilyn Monroe nie ucieleśnia wielkich mitów. Nie kryje metafizycznych niepokojów i tajemnic, nie ma w sobie nic z kobiety fatalnej, wampa lub sex-bomb. Jest raczej uosobieniem mocno już anachronicznego „babstwa”, historycznego i rozpieszczanego przez los, „babstwa” w tradycyjnym tego słowa rozumieniu.

Urodzona przed 44 laty, w listopadzie 1932 roku w Londynie, Liz jest właściwie nie tyle dzieckiem swoich rodziców, ile dawnego Hollywood z całą jego świetnością, blaskami i złudzeniami. Los nie poskapł jej zresztą przykładowej niemal kariery znanej nam z tytułu hollywoodzkiej filmowej, a tak niesychnięcia rzadko spełniającej się w życiu. Podczas wojny rodzice małej Elizabeth przenoszą się do słonecznej i spokojnej Kalifornii.

W 1942 roku dziesięcioletnia dziewczynka otrzymuje pierwszą główną rolę w filmie dla dzieci „POWRÓT LASSIE”. Ogromny sukces tego filmu czyni z małej aktorki dziecięcą gwiazdą, następczynią niezapomnianej Shirley Temple. Dalszy krok ku sławie: „WIELKA NAGRODA” (rok 1944). Mając 16 lat, Elizabeth jest już prawdziwą gwiazdą, jej wartość ocenia się na milion dolarów. Wychowuje się i dojrzewa w sztucznym środowisku, wśród filmowych dekoracji, aktorskich póż i gestów, wśród fałszywej iluzji. Ta niemożliwa edukacja psychiczna i uczuciowa musiała nieuchronnie założyć na całym jej życiu. Nigdy właściwie nie doświadczyła zwykłych, dziecięcych doznań, nie poznała powszednich trosk i radości, nie widziała autentycznych, nie pokrytych szminką ludzkich twarzy. Wzrastala wśród wymyślonych postaci, konfliktów i dramatów. Jakżeż więc mogła zgodzić się na zwykły los, jaki przypada w udziale milionom innych istot.

Przebrnęła szczęśliwie przez śliski i niebezpieczny dla cudownych dzieci próg dojrzałości. Ani Jackie Cooganowi, ani Shirley Temple, ani Margaret

doświadczeń życiowych, mentalności, postawy i sposobu życia dzieliła oboje. Przyjaźniła się także ze znakomitym aktorem, jedną z niepokojących postaci Hollywood — Montgomerym Cliftem. Należała do osób najbardziej mu oddanych. Okazała mu wiele serca i pomocy w chwilach dla niego trudnych, po wypadku samochodowym, który go zespęcił. Wystąpiłi razem w interesującym filmie „NAGLE OSTATNIEGO LATA”. Dwa lata wcześniej, w roku 1957, Elizabeth odniosła poważny sukces w nowej dla siebie roli, w filmie „KOTKA NA PŁONĄCYM DACHU”. Od tego momentu przestała grawać panienki z bardzo dobrych domów, śliczne i nieznosne, a zaczęła specjalizować się w rolach kobiet znierwicowanych, historycznych.

W roku 1957 poślubiła trzeciego obluźniacza — jedną z najbardziej burzliwych i malowniczych indywidualności hollywoodzkiego świata — producenta MIKE TODDA. Przedstawiony Elizabeth na jakimś przyjęciu przez popularną aktorkę Shirley Mae Lane, Todd zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. Był — jak mówiono — skrojony na jej miarę, bo wyobraził sobie życie na kształt i podobieństwo filmu, i to widowiskowego, bernego, pełnego fantastycznych pomysłów i zadziwiających nieprawdopodobieństw. To on przecież zaprojektował kapitalną wersję „80 DNI DOOKOŁA ŚWIATA”. Z jego inwencji i inicjatywy zrodził się film o formacie 70 mm, przystający lepiej do formuły wielkiego spektaklu. Był biznesmenem, menedżerem, pionierem i romantykiem w jednej i to nader przystojnie osobie. Porwał i zafascynował sobą kapryśną gwiazdę. Obyspywał ją prezentami, uwodził w dalekie podróże. Nie było dlań rzeczy niemożliwych i fantazji nie do spełnienia. Urodziła mu trzecie swe dziecko córeczkę Liz. Niestety, Mike Todd zginął w katastrofie lotniczej. Jego śmierć załamała młodą kobietę, leczyla się nawet w klinikach psychiatrycznych. W tym okresie także wzmożyły się rozmaite dolegliwości, na które zawsze cierpiała, związane z jakimś wadami kręgosłupa. Nie odznaczając się w zasadzie rasową figurą (trochę przykrótkie nogi, przykrótki stą, skłonność do otępienia) przez długie lata nosiła nawet leczniczy gorset.

W roku 1959 — a nie upłynął jeszcze nawet rok od śmierci uwielbianego męża — wybuchł potężny skandal. Elizabeth nieszczęśliwie wzorowała amerykańki niemal symbolu amerykańskiej rodziny: piosenkarza EDDIE FISCHERA i słodkiej Debbie Reynolds, która w dodatku była najserdeczniejszą Liz przyjaciółką. Opinia publiczna nie tai swego oburzenia: nie dość, że piękna wdowa pocieszyła się zbyt szybko, jak na ogólnie przyjęte zwyczaje, to jeszcze podeptała najświętsze wartości. Piękna wdowa znajduje się zatem niemal na indeksie, ale też przestaje być wdową, a zostaje panią Fischerową. To małżeństwo trwało dość długo, bo pięć lat, ale w czasie tego trwania nie działo się nic godnego uwagi.

Dalszy ciąg na str. 10

7 MĘŻÓW  
PANI LIZY

Dalszy ciąg ze str. 9

Elisabeth w roku 1960 zdobyła pierwszego „Oscara” za rolę w filmie „BURTERFIELD”, wychowywała dzieci, trochę niedomagając i nadal, zwłaszcza po śmierci Marylin Monroe, dzieliła tytuł niekoronowanej królowej Hollywood i amerykańskiej piękności.

W uznaniu jej zasług, w roku 1964, otrzymała rolę sławnej Kleopatry w filmie, który zrujnował wytwórnię „Fox”, poderwał prestiż co najmniej dwóch reżyserów i w ogóle spowodował mnóstwo katastrof i zamieszania. Od kompletnej klęski finansowej (o artystycznej lepiej nie mówimy) uratował „KLEOPATRĘ” skandal, który stał się początkiem nowego rozdziału w historii pięknej Elisabeth. Otóż na planie filmu przedstawiono jej aktora, świetnego zresztą, który grał rolę Marka Antoniusza. Nazywał się RICHARD BURTON i był znakomitym wykonawcą repertuaru szekspirowskiego. Miał żonę i dwoje dzieci. Spojrzał bez cienia podziwu na amerykańską piękność i orzekł: — pan jest zbyt tłusty. I tak się zaczęła ich szalona, burzliwa miłość.

Atmosfera skandalu towarzyszyła realizacji filmu. Liz albo chorowała, albo przepadała za Burtonem. Po premierze „KLEOPATRY” pisano złośliwie, że Elisabeth Taylor wypadaby na ekranie znacznie korzystniej, gdyby mniej czasu poświęcała miłości. Dzieje małżeństwa Liz z Richardem zapomniały przez długie lata szpały europejskich i amerykańskich czasopism. Kupował jej najwspanialsze klejnoty i urządził najdziksze awantury. Była o niego wszędzie zażenowana i kiedy kreślił jakiś film bez niej, a co gorsza partnerując młodym, atrakcyjnym aktorom, jeździła za nim jak cień i nie spuszczała z oka. Burze, które ich dzieliły i łączyły zarazem, wybuchy na skutek zderzenia się dwóch silnych indywidualności i dwóch natur w pewnym sensie skrajnych — bardzo kobiecej i bardzo męskiej.

Powszechnie uważano, że zrealizowany w 1966 roku film „KTO SIĘ BOI WIRGINII WOOLF?” który przyniósł Liz drugiego „Oscara”, jest dla obidwój aktorów rodzajem psychodramy, że grają tam przede wszystkim siebie i swoje życie. Gdy utrzymo ich w filmowej adaptacji „POSKROMIENIA ZŁOSNICZY”, mówiono, że to żywa ilustracja pojęcia małżeńskiego słynnej pary. Burton nie zdołał jednak, jak się zdaje, ostatecznie poskromić swojej złośliwości, ale uczynił z niej świetną aktorkę. Na przekór tradycji Hollywood Liz zrzuciła sztywną „maseczkę konwencjonalnej piękności, odsłaniając swoje wszystkie słabości: podwójny podródek, braki figury itd. Nie zlekciała się konsekwencji tego, iż publiczność zobaczy ją postarzałą, rozczochraną, z rozmazanym makijażem. Nie zlekciała się i wygrała. Stworzyła pyszny portret Amerykanki z middle class, bezwzględnie i słabej, maskującej swą bezbronożność wobec świata zaborczością i agresywnością, atakującej i w gruncie rzeczy przegranej, żyjącej właściwie bez sensu i znaczącego celu, wśród frustracji i kompleksów. Umiała obnażyć i uwidocznić charakterystyczne dla tej warstwy rozbieżności między pozorami a faktycznym stanem rzeczy. Stworzyła kilka pamiętnych kreacji: w „BOOMIE” i „TAJEMNEJ CEREMONII”, w „REFLEKSACH W ZŁOTEJ ŻRNIWIE”, w „HAITI, WYSPA PRZEKLETA”, w „NOCNYCH WIDMACH” itd. Reżyserzy i producenci zaczęli ją cenić nie tylko za urodę, ale i za talent.

Po dramatycznych perypetiach jej małżeństwa z Burtonem rozpadło się. Burton pił od dawna, z biegiem czasu stał się nałogowym alkohikiem. Obiecując wszelkie poprawy i para tych niezwykłych kochanków, jakby żywym wyjętych z jakiegoś hollywoodzkiego filmu w stylu retro, ponownie wzięła ślub. Ale tym razem na krótko, zaledwie na kilka miesięcy. W międzyczasie Liz została babcią, najpiękniejszą i najbardziej czarowną w świecie.

Kilka tygodni temu zaczęła się z JOHNEM WARNEREM, podając do wiadomości publicznej zamiar wstąpienia w ślubny z koleją związek małżeński. John Warner ma lat 43, jest przystojny, bardzo męski, bardzo wysportowany i para się... dyplomacją. Był sekretarzem stanu w Departamencie Marynarki i przewodniczył komisji obchodów 200-lecia USA. Liz poznała go w lipcu br. na przyjęciu wydanym w Waszyngtonie z okazji pobytu królowej angielskiej. Po podróży i długim pobycie w Europie wróciła wraz z całym swym dworem do Ameryki. Szybko orzekła, że Hollywood jest już tylko małym miasteczkiem, w którym można umrzeć z nudów i nie spotkać nikogo, kto wart byłby rozmowy. Postanowiła tedy podbić Waszyngton i zostać pierwszą damą polityki. Nawizała kontakty z wybitnymi osobistościami życia politycznego, m. in. z samym Klintonem, uprawiając w żywym niepokój jego małżonkę. Przed wyborami, dzieliła sprawiedliwie swe sympatie między republikanów i demokratów. Po wyborach stanowiąc przechyliła się na stronę tych drugich, przeciwstawiając do konsekwentnie politycznych typu Jane Fonda. Liz docenia dyktando i sztukę politycznych salonów i smak dworskiej intrazy. Czy jest w tym jakiś znak czasu, iż gwiazdy ekranu zaczynają czynnie zajmować się polityką?

MARIA GERBERÓWNA

Dalszy ciąg ze str. 1

do OPEC, a właściwie dwaj ministrowie państw potentatów naftowych: Arabii Saudyjskiej i Iranu? Była to demonstracja wobec państw arabskich, które według LFWP zdradziły sprawę palestyńską i gotowe byłyby do rokowań z Izraelem, gdyby zwrócił on ziemie arabskie. Było to więc ostrzeżenie.

Iran nie należy jednakże do państw arabskich, ale w OPEC odgrywał i odgrywa poważną rolę. W stosunku do konfliktu arabsko-izraelskiego solidaryzuje się z uchwałami przyjętymi przez ONZ, popiera żądanie zwrotu ziem arabskich zagarniętych przez Izrael i z państwem żydowskim nie utrzymuje żadnych oficjalnych kontaktów. Poza kontaktami handlowymi.

W terrorystycznym ataku na siedzibę OPEC w Wiedniu nie tyle chodziło o subtelne rozróżnienie stanowisk poszczególnych członków wobec sprawy Palestyny, co w ogóle zwrócenie uwagi na ten problem i na niektóre palestyńskie ugrupowania. A OPEC nadawał się do tego znakomicie, jako że przedsięwzięcia tej organizacji od dłuższego już czasu interesują opinię publiczną na całym świecie.

ORGANIZATION OF THE PETROLEUM EXPORTING COUNTRIES, w skrócie OPEC, a w tłumaczeniu Organizacja Państw Eksportujących Ropę Naftową, powstała we wrześniu 1960 roku. Stało się to w Bagdadzie, a do OPEC przystąpiły wówczas: Arabia Saudyjska, Irak, Iran, Kuwejt i Wenezuela. Inicjatorem współpracy eksporterów w obronie wspólnych interesów była właśnie Wenezuela.

W 1961 roku do OPEC przystąpił Katar.

W 1962 roku do OPEC przystąpiły Indonezja i Libia.

W 1967 — Abu Zabi.

W 1969 — Algieria.

W 1971 — Nigeria.

W 1973 do OPEC przystąpił Ekwador, a Gabon stał się członkiem stowarzyszenia.

W 1974 roku z prośbą o przyjęcie w poczet członków stowarzyszenia wystąpiły Trynidad i Tobago.

Tak wygląda historia ilościowego rozwoju OPEC. Ma bowiem ta organizacja też swój rozwój jakościowy. Dziś OPEC mówi się, że jest to najsprawniej działający koncern, a wielu polityków ciągle czeka chwila, kiedy organizacja ta rozpadnie się pod wpływem nasilających się wewnętrznych sprzeczności. Ostatnie decyzje OPEC, z połowy grudnia 1976 roku, znów pobudziły te nadzieje.

NIE TAK DALEKA PRZESZŁOŚĆ

Nie jest winą krajów arabskich, ani też Iranu, że pod płaskimi pustyniami kryją się u nich ogromne pokłady ropy naftowej. Nie jest też ich winą, że w momencie, kiedy przemysłowa część świata zaczęła się interesować naftą, ludność Bliskiego i Środkowego Wschodu żyła na skraju nędzy. Cywilizacyjne zacofanie społeczeństw z terenów ropoносnych pozwoliło przez długie lata ciągnąć wyżej rozwiniętym krajom ogromne zyski.

Na przykład Iran.

Pod koniec XIX wieku zjawiał się w Teheranie młody Anglik — inżynier William Knox d'Arcy. Przyjechał do Persji szukać ropy. Uzyskał przychylność panującego wówczas szacha Mozaffara ad-Din i wędrował konno po bezdrożach ówczesnej Persji. Szacha nie interesowały hipotezy o podziemne bogactwa, gdyż nie potrafiłby z nich korzystać. Interesowały go jedynie pieniądze, jakie mógłby ewentualnie za te bogactwa otrzymać. Jednakże poszukiwania inżyniera Williama Knox d'Arcy nie przynosiły rezultatów. Skończyły się pieniądze i pozostał tylko upór i wiara, że w końcu znajdzie on naftę. Nafta trysnęła w 1911 roku w okolicy Maszdeh-e Solajman. Ale 5 lat wcześniej inżynier William Knox d'Arcy otrzymał od szacha Mozaffara ad-Din firman, który dawał angielskiemu inżynierowi 60-letnią nieograniczoną swobodę poszukiwań geologicznych. Szach dostał za ten firman 20 tys. funtów szterlingów, a inż. William Knox d'Arcy tytuł nominalnego dyrektora Anglo-Perskiej Kompanii Naftowej oraz 203.087 funtów szterlingów, 19 szylingów, 6 penów.

Kiedy okazało się, że uparty angielski inżynier dopiął swego i odkrył w Persji naftę, wtedy zaczęto mu proponować odstąpienie firmanu zezwalającego na 60-letnie poszukiwania geologiczne. Firman ten bowiem przynależał inżynierowi Williamowi Knox d'Arcy oraz „wszystkim jego współnikom i potomkom, przysięgłym i spadkobiercom pełne prawa i nieograniczona swoboda kopania, drażenia i górnictwa przebiegająca głębokości ziemi perskiej, w następstwie czego wszystkie produkty podziemne, żądane przez niego (W. Knox d'Arcy — przyp. L.W.), pozostaną jego nienaruszalną własnością”. Ale inż. William Knox d'Arcy kategorycznie odmawiał.

Był on jednakże bardzo religijnym człowiekiem. W czasie podróży morskiej do Nowego Jorku poznał pewnego duchownego. Zwierzył mu się, że różni ludzie chcą odebrać mu firman szacha perskiego. Ów duchowny namówił go, aby firman przekazał kościołowi. William Knox d'Arcy dał się nabrać, duchownego udawał bowiem znany agent Intelligence Service — Sydney Reilly. Zamiast do kościoła firman trafił do sejfów rządu Wielkiej Brytanii, a Persja pod angielskie wpływy.

Pierwszy szczyt naftowy w Persji, bo nazwę Iran przyjęto dopiero w 1935 roku, ruszył w 1909 roku, a pieniądze z tego tytułu Persja otrzymała dopiero w 1919 roku. I w dodatku nie były to wcale duże pieniądze.

Jeśli w 1945 roku Anglicy mieli 75 proc. udziałów w przemyśle naftowym Iranu, to USA — 17 proc. W 1960 roku stosunek udziału był już zupełnie inny: Anglicy mieli 35 proc.,

Ale między Iranem a Arabią Saudyjską jest pewna istotna różnica. Arabia Saudyjska po prostu nie bardzo wie co zrobić z posiadaniem pieniędzy. Lokuje je najchętniej w krajach Europy zachodniej i w USA.

W wywiadzie udzielonym przedstawicielowi amerykańskiego tygodnika „Newsweek” król Arabii Saudyjskiej — Chalid ibn Abdul Aziz powiedział:

„Gdyby cena ropy dotyczyła tylko nas, mogę zapewnić, że opowiadalibyśmy się za zamrożeniem cen do końca przyszłego roku”.

Ale do OPEC należą też państwa którym pieniądze za naftę potrzebne są na realizację programów uprzemysłowienia. Wśród nich jest Iran, który był za umiarkowaną podwyżką, uznając jej bezwzględnie konieczność. Natomiast Irak i Libia stały na stanowisku bardzo wysokiej podwyżki, bo aż 26-procentowej.

Zwyciężyli umiarkowani. Od 1 stycznia 1977 roku baryłka ropy naftowej

CENA NAFTY

a USA — 55 proc. W miejsce Anglo-Irańskiej Kompanii Naftowej powstała międzynarodowe konsorcjum, w którym obok Wielkiej Brytanii i USA wpływy dostali też Holendrzy i Francuzi.

TRUDNY POCZĄTEK

Koncerny naftowe ciągnęły ogromne zyski z arabskiej i irańskiej ropy. Wystarczy powiedzieć, że po nacjonalizacji ropy irańskiej rząd irański otrzymał jednorazowo taką część zysków, że przewyższała ona sumę, jaką otrzymał przez 40 poprzednich lat. Koncerny eksploatujące naftę płaciły bowiem stałą sumę od baryłki ropy naftowej (baryłka — 159 litrów), niezależnie od zysków, jakie z tego miały. Dopiero w 1949 roku Wenezuela wprowadziła, a właściwie wymusiła, zasadę 50 proc. Koncerny eksploatujące wenezuelską naftę mogły brać tylko połowę zysku, połowa musiała przyspać państwu, do którego nafta należała.

Do 1960 roku jednakże poszczególne państwa posiadające naftę działały w pojedynkę. Od chwili powstania OPEC zaczęły działać razem. Był to jednak trudny początek. Nikt jeszcze poważnie nie traktował tej organizacji, a i ona sama nie była świadoma swojej sily. Wiedziano tylko jedno: założycielska piątka ma podobne problemy, musi stosować podobne metody walki o swoje interesy. Działając wspólnie, osiągnęły więcej. Nie wolno już powtarzać błędów z przeszłości.

W 1970 roku uszkodzony został rurociąg Tapline, którym dostarcza się ropę naftową z Arabii Saudyjskiej do portu Banias nad Morzem Śródziemnym. W Europie zaczęło brakować ropy. Wtedy Libia, która mogłaby pokryć braki w dostawach ropy naftowej, zamiast zwiększyć produkcję, zaczęła ją ograniczać i okazało się, że kontrahenci miękli. Okazało się, że wystarczyłoby poparcie OPEC, a koncerny spełniły libijskie żądania. Ograniczając wydobycie ropy, można wpływać na politykę krajów uprzemysłowionych. Rok 1970 także możliwości pokazał, a w 1973 roku państwa arabskie z nich skorzystały, nakładając embargo na dostawy ropy naftowej do państw, które popierały wojenne poczynania Izraela. OPEC poczuła swoją siłę i zaczęła koncernom naftowym dyktować swoje warunki.

10 PROCENT

15 grudnia 1976 roku zebrał się w mieście Doha w Katarze, w dokładnie strzeżonym luksusowym hotelu „Gulf” ministrowie 13 państw należących do OPEC i postanowili, że od 1 stycznia 1977 roku cena baryłki ropy naftowej będzie droższa o 10 procent, a od połowy roku 1977 zwiększy się automatycznie o dalsze 5 procent. Tylko Arabia Saudyjska i Zjednoczone Emiraty Arabskie podnoszą cenę baryłki ropy naftowej o 5 procent.

W 1971 roku baryłka ropy naftowej kosztowała 1,35 dolara, w 1973 roku — 2,26 dolara, w 1974 roku — 9 dolarów, w 1975 roku — 10,08 dolara. W 1971 roku dochód Arabii Saudyjskiej wynosił 2.149 milionów dolarów, w 1975 — 25.676 milionów dolarów. W tym samym czasie dochód Iranu wzrósł z 1.944 milionów dolarów do 18.500 milionów dolarów

w jej koszcie już 12,70 dolara, a od 1 lipca 1977 roku — 13,30. Natomiast nafta z Arabii Saudyjskiej kosztować będzie od 1 stycznia 1977 roku — 12,08 dolara. Wielu zagranicznych komentatorów widzi w takim rozwiązaniu źródło konfliktów, widzi przejaw wewnętrznych sprzeczności i zalekać przyszłego rozpadu OPEC.

Irański minister Jamshid Amuzegar, komentując decyzję OPEC stwierdził, że Iran odnosi się krytycznie do tych członków OPEC, którzy nie rozumieją potrzeb finansowych innych, ale wyraził też pogląd, że OPEC „nadal jest silna, jak była przedtem”.

Takie stanowisko uwarunkowane jest tym, że w konstrukcji irańskiego planu gospodarczego na lata 1977—1978 udział przemysłu naftowego wyraża się aż 48,7 procent. A poza tym nie trzeba zapominać o inflacji, która sprawia, że faktycznie wpływy z przemysłu naftowego są niższe niż się spodziewano. W wywiadzie dla tygodnika „Der Spiegel” szach Iranu — Mohammad Reza Pahlavi powiedział:

„...utraciłmy z pewnością 40 procent naszej sily nabywając, ponieważ inflacja w niektórych krajach europejskich rozpaczyliwie poszła w górę”. — „O ile więc chcecie podwyższyć cenę?” — zapytali przedstawicieli „Der Spiegel”.

MOHAMMAD REZA PAHLAVI: — „Jak ma w ogóle wyglądać cena ropy naftowej? Z jednej strony musi ona odpowiadać cenom nowych środków energetycznych: energii słonecznej, energii gazu ziemnego, energii jądrowej, temu co da się uzyskać z morza i prawdopodobnie z wielu innych źródeł. Następnie zaś, gdy będziecie już dysponowali nowymi źródłami energii — a przecież musicie je sobie zapewnić — trzeba będzie dojść do porozumienia, po jakiej cenie jesteście gotowi sprzedawać nam te produkty”.

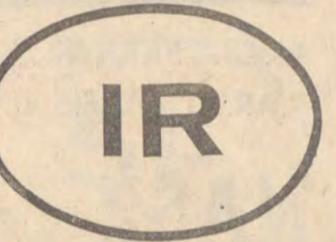
DER SPIEGEL: — „Jest to rzut oka w bardzo daleką przyszłość”.

M. REZA PAHLAVI: — „Istotnie w bardzo odległej przyszłości, gdyż za 20 lat wyczerpią się zapasy ropy. Jeżeli więc obecnie chcecie zużywać naszą ropę zupełnie darmo lub prawie darmo, a potem zmusić nas do opłacania naszych wynalazków ceną naszej krwi, powinniście najpierw wziąć pod uwagę koszt eksploatacji tych nowych źródeł energetycznych. Gdy zaś to nastąpi, zięć się moje marzenie i ropa naftowa nie będzie już wykorzystywana dla osiągnięcia takich celów, do jakich zwykło się jej obecnie używać...”

DER SPIEGEL: — „Jako materiał pędny...”

M. REZA PAHLAVI: — „Tak jest, albo na opał lub wytwarzanie prądu elektrycznego. Należałoby ją przyczynić tylko na fabrykację produktów petrochemicznych. W ten sposób mogłaby wystarczyć zamiast na 20 lat, na lat aż 200”.

Iran zdaje sobie sprawę, że choć pokłady ropy naftowej są bogate, to może jej starczyć na 20—30 lat. Przez ten czas trzeba kraj tak przebudować, aby stał się partnerem dla innych, aby posiadał własne źródła energii, sieć komunikacyjną dobrze rozwiniętą, przemysł i kadry fachowców. Buduje się więc w Iranie nowe fabryki, huty, drogi, linie kolejowe, prowadzi się pertraktacje w celu wybudowania elektrowni atomowych. Wprawdzie nie wszystkie plany rea-



lizuje się pomyślnie, ale taki program budzi uznanie. Zresztą w podobny sposób próbują postępować i inne kraje, dysponujące polami naftowymi.

Stanowisko Arabii Saudyjskiej jest inne. Arabia Saudyjska rywalizuje z Iranem o wpływy w Zatoce Perskiej. Ta rywalizacja posłużyła komentatorom amerykańskiej agencji UPI do wyrażenia poglądu, że stanowisko Arabii Saudyjskiej wyrażone w Katarze w sprawie podwyżki cen ropy naftowej spowodowane było również i takim konfliktem. Arabia Saudyjska — twierdzą komentatorzy UPI — chciała dać nauczkę Iranowi i Irakowi. Teraz nafta saudyjska będzie konkurencyjną i jeśli Arabia Saudyjska zwiększy wydobycie, to może bardzo skomplikować sytuację wielu eksporterów tego surowca. Ale inni zwracają uwagę, że nafta saudyjska jest ciężka, wymaga wyższych nakładów przy jej orzerbaniu i nie wszyscy chętnie ją będą kupowali.

Jedno jednakże jest pewne. Jeśli Iran i inne kraje należące do OPEC dążyły do podniesienia ceny na ropę naftową ze względów gospodarczych, to wstrzemięliwość Arabii Saudyjskiej wynikała ze względów politycznych. Minister Ahmed Zaki Jamanal dał wyraźnie do zrozumienia, że spodziewa się wyrazów wdzięczności za strony USA i państw Europy zachodniej, które teraz powinny wywrzeć nacisk na Izrael, aby skłonił go do zawarcia porozumienia pokojowego, kiedy państwa arabskie będą do tego przygotowane. Jednakże zachodni politycy powiedzieli już wiele komentarzy pod adresem Arabii Saudyjskiej, gratulując jej poczucia odpowiedzialności, natomiast najważniejszy adresat gestu saudyjskiego — prezydent elekt Jimmy Carter wyraził wątpliwość, czy cena ropy naftowej może wpływać w jakimkolwiek stopniu na decyzje, które trzeba będzie i zamierza się podjąć w sprawie Bliskiego Wschodu.

Sądzi się więc w tej sytuacji, że gdzieś w połowie 1977 roku nastąpi wypośredkowanie cen na ropę naftową, że dojdzie do porozumienia między Arabią Saudyjską i Zjednoczonymi Emiratai Arabskimi a pozostałymi 11 członkami OPEC. Czy jest to tylko nadzieja?

PARTNERZY

Jakie by nie snuć przypuszczenia, jakie by nie rozważać koncepcje, jedno jest niewątpliwe: OPEC stała się poważnym partnerem dla krajów uprzemysłowionych i nie można jej nie doceniać. Tym bardziej że dysponuje znakomitymi fachowcami, że pomna jest niepowodzeń przeszłości i będzie unikać błędów w przyszłości. Aby umocnić swoją siłę OPEC realizuje zasadę partycypacji. Po prostu państwa naftowe stopniowo przejmują udziały w przemyśle naftowym. Tak więc już nie tylko złoża naftowe nie należą do koncernów, ale i powoli ich wyposażenie, instalacje i urządzenia przechodzą na własność państw, w których się znajdują. Ten proces stopniowego przejmowania przemysłu naftowego, przenikania do niego własnych doświadczeń przygotowanych specjalistów, ma gwarantować w przyszłości nowożdenie różnym poczynaniom OPEC i każdego z jego członków.

Czy jednak wspólnota celów i metod działania potrafi zniwelować coraz wyraźniej zarysowujące się sprzeczności?

Każde niepowodzenie uczy, jakich błędów nie należy popełniać w przyszłości. I choć w wielu sprawach członkowie OPEC mają różne cele, to jednakże wydaje się, że silne są jeszcze więzy, które je łączą. I to decyduje też o poczuciu sily OPEC wobec innych.

Dlatego też nieprzypadkiem as międzynarodowego terroru — Carlos — wybrał w 1975 roku sesję OPEC dla przypomnienia Arabom o potrzebie solidarności wobec sprawy Palestyny. Ale też, kiedy wyruszył samolotem austriackim do Algerii, zabierając ze sobą 42 zakładników, całe tego przedsięwzięcie zakończyło się fiaskiem. Z Algeru bowiem chciał lecieć przez Libię do Bagdadu. Ale Libia odmówiła prawa lądowania w Trypolisie i samolot zawrócił do Algeru. Tu zakładnicy swobodnie opuścili samolot, a terroryści oddali broń algerskiej policji i również swobodnie udali się w nieznanym kierunku.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

# U PRZYJACIOŁ ZSRR

W tym roku wybitny pisarz radziecki Nikołaj Siemionowicz Tichonow ukończył 80 lat.

Urodził się w Petersburgu w rodzinie rzemieślniczej. Dzieciństwo jego przypada na okres tworzenia się i cementowania klasy robotniczej. W tym właśnie czasie zespały się pierwsze kółka rewolucyjne, zaczynał działać młody Włodzimierz Ułjanow; zbliżał się czas rewolucyjnych burz i wstrząsów. Wydarzenia te miały niewątpliwą wpływ na kształtowanie się osobowości Tichonowa.

Jako młody człowiek bierze udział w I wojnie światowej. W 1918 roku wstąpił do Armii Czerwonej i w ten sposób z żołnierza wojny światowej zmienił się w żołnierza wojny domowej. Uczestniczył w obronie Piotrogradu.

Wraz z doświadczeniami wojennymi Tichonow zdobywa doświadczenia poetyckie. Wszystkie swoje przeżycia młodego żołnierza rejestrował za pomocą wierszy: gdyż — jak stwierdził we wstępie do wydania swych poezji w 1935 roku — „zachowują one doznania chwili. W istocie były mi potrzebne jak rozmowa z samym sobą”.

Debiutancki tomik Tichonowa pt. „Orda” — wydany w roku 1922 i tomik „Bragi” z tego samego roku wywarły zarówno na czytelnikach jak i na krytykach ogromne wrażenie. Ukazywał on dynamikę tworzenia nowego świata, radość towarzyszącą powstawaniu czegoś wielkiego. Są one poetyckim i romantycznym uogólnieniem biografii uczestników tych wydarzeń.

Koniec wojny i demobilizacja są dla młodego poety momentem przełomowym. Należy zacząć budować młode państwo, które sam wywalczył, a jednocześnie odnaleźć w nim samego siebie.

Tom wierszy „Poszukiwanie bohatera” wydany w 1927 roku jest odzwierciedleniem tych rozterek duchowych poety. Owocem było stworzenie postaci nowego bohatera, który przedstawiony został w zbiorze „Jurga” z 1931 roku.

W cztery lata później Tichonow wyjechał w podróż po Europie. Podróż ta została podjęta przez poeetę w związku z Kongresem Antyfaszystowskim, który w 1935 roku obradował w Paryżu. W okresie tym powstał notatnik liryczny będący podsumowaniem podróży.

Podczas II wojny światowej Tichonow walczył w szeregach Armii Czerwonej. Brał udział w blokadzie Leningradu. Dojmujące przeżycia i przemysłenia z tych tragicznych wydarzeń były motywem do powstania poematu „Kirov z nami”. Poemat ten zyskał ogromną popularność: znali go żołnierze Armii Radzieckiej na wszystkich frontach. Za utwór ten w 1942 r. Tichonow otrzymał nagrodę państwową. Po wojnie Tichonow nadal tworzy. W 1949 roku po raz drugi przyznano mu nagrodę państwową za tomik „Gruzińska wiosna”.

Nikołaj Tichonow ma również w swoim dorobku szereg znakomitych opowiadań, wystarczy wspomnieć o takich tomach jak: „Konie wojenne”, „Rzykant”, „Klingi i taczanki” czy też „Opowiadania o Pakistanie”. Obecnie Nikołaj Siemionowicz Tichonow jest twórcą znanym nie tylko w ZSRR. Jego utwory tłumaczone są na wiele języków świata i wydawane w wielu milionach egzemplarzy.

Uwienieszeniem dorobku całego życia dla poety było przyznanie mu Nagrody Leninowskiej.

Tichonow poza tym, że pisze, jest także zapalonym miłośnikiem książki. — „Lubiłem czytać książki — wspomina Tichonow po latach — o dawnych czasach, kiedy to żył bohaterowie, umiejący wszystko robić dobrze, bohaterowie pomagający ludziom walczyć o prawdę i zwyciężający wszelkie zło. Pod wpływem przeczytanych książek zacząłem w dzieciństwie tworzyć powieści, których bohaterowie wiele podróżowali, walczyli o wolność narodów uciskanych: byli piękni, dzielni i mądry. Podobał mi się tacy bohaterowie i nawet jeśli umierali w walce nie smuciłem się z tego powodu: postępowali bowiem jak należy i niczego się nie bał — ani prób na które wystawiali ich życie, ani śmierci! Lubiłem geografie i historie, dlatego w swych książkach, które pisałem, a następnie własnoręcznie opowiadałem i ilustrowałem, akcja przenosiła się z jednego kraju do drugiego. Wyzwalałem Malajczyków z jarzma holenderskiego, Chiny spod panowania cudzoziemskich najeźdźców, Hindusów z ucisku Anglików”.

Piąta Konferencja szefów rządów i państw krajów nieangazowanych, która we wrześniu tego roku odbyła się w Colombo, wystąpiła z propozycją przekształcenia Oceanu Indyjskiego w strefę pokoju. Na Konferencji narody basenu Oceanu Indyjskiego zdecydowanie potępiły mocarstwa zachodnie za nieustanne sianie niepokoju w tym rozległym rejonie świata, czego jaskrawym dowodem jest budowa amerykańskiej bazy wojskowej na wyspie Diego Garcia. Rejon kontynentalny Oceanu Indyjskiego, który odgrywa wyjątkowo ważną ekonomiczną i polityczną rolę w życiu zamieszkujących go narodów, jest obiektem niekończących się intryg mocarstw krajów imperialistycznych. Pragną one wykorzystać dla własnych celów ogromne bogactwa naturalne tego rejonu, a także jego kluczowe położenie strategiczne w tej strefie kuli ziemskiej.

Ocean Indyjski, trzeci co do wielkości ocean na Ziemi, zajmuje powierzchnię równą, mniej więcej, powierzchni Azji i Afryki razem wziętych. Dno Oceanu Indyjskiego obfituje w bogactwa naturalne, a jego wody — w produkty żywnościowe. Jest to wielki rezerwuwar ropy naftowej, magazyn miedzi i niklu. Ocean Indyjski jest wreszcie ważnym rejonem żeglugi morskiej i handlu. Jego niezliczone wyspy odgrywają ważną geostrategiczną rolę w polityce krajów imperialistycznych. Jedną z nich jest wyspa Diego Garcia. Ten koralowy atol w kształcie podkowy o długości 30 kilometrów i szerokości około 6 kilometrów leży w centrum Oceanu Indyjskiego, w odległości około 3.700 kilometrów od stolicy Republiki Tanzanii — Dar es Salaam. Atol został włączony do amerykańskiej tzw. „sieci komunikacji”. Ta największa wyspa w archipelagu Czagos stanowi, wraz z innymi wyspami, tzw. Brytyjskie Terytorium Oceanu Indyjskiego.

W grudniu 1966 roku USA i Anglia zawarły porozumienie, w myśl którego oba kraje, w okresie 50 lat, mogą wykorzystywać wyspy do celów militarnych. Porozumienie przewiduje pogłębienie i rozszerzenie portu w takim stopniu, żeby mógł tam zakotwiczyć lotniskowiec i zbiornikowce. W ten prosty sposób Sta-

ny Zjednoczone zostały „mocarstwem Oceanu Indyjskiego”, a Diego Garcia ich bazą „do różnych celów”.

W rejonie Oceanu Indyjskiego leży ponad 50 państw. Stanowią one więcej niż trzecią część wszystkich krajów członkowskich ONZ, a łączna liczba ich ludności wynosi z górą jedną trzecią część mieszkańców całej kuli ziemskiej. Przytaczając większość tych państw należy do grupy krajów rozwijających się. Charakterystyczną cechą ich życia: społecznego i politycznego jest odosobnienie etniczne i kulturalne, bardzo niski poziom życia, analfabetyzm i brak politycznej stabilności, zacofana technika i niska wydajność pracy. W konsekwencji są uzależnione od rozwiniętego przemysłu Zachodu. Stopień tej zależności, która balansuje od aktywnego uczestniczenia w imperialistycznych blokach, aż do walki z nimi o suwerenność, określa ich kurs polityczny.

wiem na skrzyżowaniu dróg morskich między Dalekim Wschodem, Bliskim Wschodem i Europą.

Demokratyczne przeobrażenia na Półwyspie Arabskim, a głównie wydarzenia w 1972 r. w Iraku stworzyły okazję do gromkich oświadczeń krajów Zachodu o „niezbędnej obecności” amerykańskiej na Oceanie Indyjskim, „co zapewni kontrolę tamtejszych magistrali wodnych”. Ważną rolę w globalnej strategii militarystów, obliczonej na przekształcenie Oceanu Indyjskiego w strefę własnych wpływów, odgrywa Republika Południowej Afryki. Długość jej linii brzowej wynosi około 3 tysięcy kilometrów. RPA, położona w najbardziej południowej części afrykańskiego kontynentu, leży na styku Oceanu Indyjskiego i Oceanu Atlantyckiego. Dlatego też państwa imperialistyczne uważają ją za „drugą Gibraltar”, za „strażnika” tych obu oceanów. Marynarka wojenna RPA, stworzona w

„Droga wokół Przylądka Dobrej Nadziei ma ogromne znaczenie strategiczne w każdym konflikcie na wschód od Suez” — powiada na Zachodzie. Być może, Simonstad jest bowiem nie tylko bazą patrolującą i obserwującą wody Oceanu Indyjskiego, lecz także ważnym ogniwem rozgałęzionej siatki wywiadu elektronicznego w tej części świata.

Oś: RPA — Ocean Indyjski — Bliski Wschód odgrywa niezwykle ważną rolę w umacnianiu sojuszu między rządem Vorstera i międzynarodowym imperializmem. Sojusz ten, utrwalając reżim apartheidu, umożliwia także agresywne zamiary imperializmu w tym rejonie świata. To z kolei całkowicie odpowiada wojennej teorii i założeniom o „obronie” południowoafrykańskich militarystów, których funkcja w tej części Afryki polega na zapobieganiu i dławieniu „wewnętrznych nieporządków”, to jest ruchu narodowowyzwoleńczego w RPA. Równocześnie chodzi tu o zadanie ciosu w niewralgiczny punkt tych wszystkich problemów, to jest krajem Czarną Afrykę. W ten sposób zostałyby „zażegnane niebezpieczeństwo”, a drogi morskie na oceanach: Indyjskim i Atlantyckim — wzięte pod kontrolę w interesie światowego imperializmu. Jasne, że jego strategia, jego marynarka wojenna i lotnictwo wojskowe, jego sieci telekomunikacyjne itp., itd. są ukierunkowane na poszukiwanie bogactw naturalnych tego rejonu, ich ewentualna eksploatacja oraz na zawołanie rynków w miejscach utraconych w Angoli, w Mozambiku, na Madagaskarze i na innych obszarach świata.

Istnieje bezpośredni związek między militarną Oceanu Indyjskiego i zachodnią propagandą, która straszy „sowieckim zagrożeniem” w tym rejonie, wysuwając bezsensowną wersję o rzekomym „współzawodnictwie supermocarstw” na Oceanie Indyjskim. A przecież na XXV Zjeździe KPZR, sekretarz generalny KC KPZR — Leonid Breżniew powiedział wyraźnie: „Jeśli chodzi o Związek Radziecki, to nie mieliśmy i nie mamy zamiaru budować baz wojskowych na Oceanie Indyjskim”.

Na postępowych krajach afrykańskich i na ich ruchach narodowo-wyzwoleńczych, na związkach zawodowych, młodzieży i organizacjach kobiecych spoczywa dziś ogromna odpowiedzialność, są one bowiem powołane do oderrania ważnej roli w walce o demilitaryzację Oceanu Indyjskiego. Oznacza to walkę — jak pisze komentator polityczny londyńskiego „African Communist” — o likwidację wszystkich zagranicznych baz wojskowych, głównie w Afryce i na Oceanie Indyjskim, które zagrażają suwerenności krajów tego kontynentu i chronią resistowskie reżimy kolonialne.

Ta właśnie walka jest krokiem w przód w dziele przekształcenia Oceanu Indyjskiego i jego wybrzeży w strefę pokoju.

JERZY CZECH

## OCEAN INDYJSKI

# AMERYKAŃSKA BAZA NA DIEGO GARCIA

Ale to nie wszystko. Kraje te, zabobne w bogactwa mineralne, dają 90 proc. całej produkcji kauczuku, herbaty, cyny i juty, ziemia kryje ogromne złoża ropy naftowej, złota, srebra, diamentów, uranu, miedzi, wolframu, siarki, węgla... Amerykańskie inwestycje w tych krajach, będących także ryżowym spichlerzem świata, idą w miliardy dolarów. Lotnicza i morska baza na wyspie Diego Garcia jest więc nie tylko twierdzą neokolonializmu, chroniącą anglo-amerykańskie inwestycje w tym rejonie świata, lecz także instrumentem szantażu wobec państw przybrzeżnych, które są w trakcie umacniania swojej niezależności i suwerenności.

Przewodniczący partii — Indyjskiego Kongresu Narodowego, D. K. Barua, wyraził stanowisko wszystkich krajów leżących nad brzegami Oceanu Indyjskiego, składając oświadczenie, że obecnie Indiom grozi większe niebezpieczeństwo od strony morza, niż od strony gór.

Obszar Zatoki Perskiej, który kryje 60 proc. światowych zapasów ropy naftowej, posiada także ogromne znaczenie dla transportu nafty i międzynarodowego handlu, leży bu-

1946 roku jako przydatek do brytyjskiej marynarki wojennej strzegącej dróg morskich, zwiększa się z każdym rokiem. Na rozbudowę wojskowej bazy morskiej w Simonstad, w pobliżu Kapsztadu, przeznaczono 45 milionów dolarów. Po rozbudowie będzie tu mogło zawiać 50 okrętów wojennych jednocześnie.

Po zamknięciu Kanału Sueskiego cały transport morski w tym rejonie odbywał się przez Ocean Indyjski, wokół Przylądka Dobrej Nadziei. Przylądek opływał codziennie około 70 statków handlowych, to jest około 23.450 statków rocznie. Blisko 20 proc. tej liczby stanowiły statki brytyjskie. Tą właśnie drogą transportowano na Zachód 600 milionów ton ropy naftowej rocznie, to znaczy 75 proc. całej nafty eksportowanej przez kraje arabskie. Otwarcie Kanału Sueskiego nie zmieniło sytuacji. Oto dłaczego agencja CIA, Intelligence Service, agencja RFN, RPA i francuskiego kontrwywiadu skierowała całą uwagę na Madagaskar, wyspy Reunion i Mauritius, na Seszele i inne. Rozprawiają się tam z działaczami politycznymi, którzy w tej części świata prowadzą walkę z imperializmem.

# CZAS ROZWIĄZYWANIA PROBLEMÓW WSPÓŁCZESNEGO ŚWIATA

Spojrzenie wstecz — na mijający rok — przypomina, jak wielkie przeżyliśmy w nim wydarzenia. Był to bowiem rok XXV Zjazdu KPZR, narad europejskich partii komunistycznych i robotniczych w Berlinie oraz Doradczego Komitetu Politycznego Państw — Stron Układu Warszawskiego w Bukareszcie, wyborów w Stanach Zjednoczonych, RFN i Włoszech, śmierci Mao Tse-tunga i przegrupowań sił maolistycznych w Pekinie, wojny domowej w Libanie i pewnej konsolidacji świata arabskiego... Wyliczamy zaledwie niektóre z ważniejszych wydarzeń, aby przypomnieć, że życie polityczne na arenie międzynarodowej biegnie wartkim nurtem.

Nas jednak interesuje przede wszystkim, czy mijający rok umocnił pokojową perspektywę świata, a więc zmniejszył niebezpieczeństwo militarnej konfrontacji? Wiele wskazuje na to, że rzeczywiste bliższe leśtejszy trwałego pokoju. Oczywiście — takie stwierdzenie nie oznacza, że zaniechały swej działalności siły przeciwnie odprężeniu. Nawet odwrotnie — przystąpiły one do kontr-ofensywy, upatrując swej szansy w próbach zakłócenia pokojowej atmosfery. Za ich to sprawą wypacza się

sens postanowień Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie i utrzymuje intensywny poziom zbrojeń. Tym bardziej dlatego konieczne jest nadawanie procesowi odprężenia znamion nieodwracalności. Temu właśnie służyły w 1976 roku liczne inicjatywy pokojowe, podejmowane przez wspólnotę krajów socjalistycznych, a przede wszystkim przez Związek Radziecki.

Na XXV Zjeździe KPZR — z oceny aktualnej sytuacji, charakteryzującej się umocnieniem pokojowych tendencji — wprowadzono program dalszych działań międzynarodowych, którego celem jest całkowite oddalenie niebezpieczeństwa wojny i zapewnienie współpracy między państwami. Szczególne miejsce zajmuje w nim problem rozbrojenia. Niepomahomy do tychczas wysięg zbrojeń utrudnia dalszy postęp w odprężeniu. Europa i inne rejonu świata są po prostu prochnymi. Budżety państw obciążają znacznie wydatki na coraz nowsze rodzaje broni — również drogie co i groźne dla biologicznego życia na ziemi. Nie ma więc — jak to wielokrotnie mówił Leonid Breżniew — ważniejszego dziś zadania niż przerwienie kręgu zbrojeń i wejście na drogę ich redukcji.

Na sesji ONZ, w rokowaniach ra-

dziecko-amerykańskich SALT, w negocjacjach 19 państw w Wiedniu dyskutuje się nad różnymi aspektami i drogami rozbrojenia. Jednakże mijający rok nie przyniósł oczekiwanych rezultatów. Zgłosiliśmy nowe propozycje, powiększające pakiet rozbrojeniowych inicjatyw krajów socjalistycznych. Najnowsza z nich — zawarcia układu między sygnatariuszami Aktu Końcowego KBWE, że jako pierwsi nie użyją przeciwko sobie broni nuklearnej — nie znalazła aprobaty na grudniowej sesji NATO. Jest to przykład, jakie jeszcze trzeba pokonywać przeszko, aby definitywnie usunąć źródła zagrożenia dla pokoju.

Mimo tych trudności 1976 rok potwierdził rolę, jaką w zapobieżeniu nowej wojny światowej spełniają kraje socjalistyczne. Ich rozwój, potencjał gospodarczy, nieustanne działania w kierunku coraz lepszego zaspokajania potrzeb społecznych i aktywna polityka zagraniczna powodują, że nasza wspólnota wywiera z roku na rok większy wpływ na stosunki międzynarodowe. Poparcie, jakie mamy ze strony narodów, które wywalczyły sobie niezależność i dziś stanowią już wpływową siłę międzynarodową oraz ze strony klasy robotniczej i innych postępowych sił

w krajach kapitalistycznych daje nam przekonanie, że istnieje możliwość zapewnienia trwałego pokoju.

Kraje kapitalistyczne w odchodzącym roku przeżywały nadal duże trudności. Chroniczna już inflacja, kryzys walutowy, bezrobocie, którego rozmiary tylko kraje EWG oceniają na 5 mln osób — stały się zjawiskami szczególnie dokuczliwymi, dowodzącymi, że gospodarka i społeczna struktura społeczeństwa kapitalistycznego popada w coraz większe sprzeczności z potrzebami ludzi pracy. Stąd też obserwować można nasilenie walki mas pracujących o zgodne z ich interesami rozwiązanie obecnego kryzysu.

Na drodze do pokoju, bezpieczeństwa i partnerskiej współpracy państw najdalej uszła Europa. W innych rejonach świata, a zwłaszcza na Bliskim Wschodzie, walka toczy się jeszcze o pokojowe rozwiązanie konfliktów. Przykład naszego kontynentu działa jednak zachęcająco i może okazać się pomocny dla rozszerzenia idei pokojowego współistnienia na całym globie ziemskim. Sytuacja świata wymaga bowiem różnorodnych form współpracy, stworzenia nowego ładu ekonomicznego i respektowania prawa każdego kraju do rozwoju gospodarczego. Na tym polu, podobnie jak w dziedzinie rozbrojenia, wiele jest jeszcze do zrobienia.

Kończący się rok przyniósł na pewno dalszą poprawę klimatu politycznego na świecie i wzmocnił pokojowe tendencje. Rozszerzył zatem podstawy rozwiązywania najistotniejszych problemów współczesności wymienionych i nie wymienionych w tej noworocznej refleksji. A to daje uczucie optymizmu...

W. ŚLAWSKI

Na wiele lat przed lekturą pierwszej z książek Kafki, usłyszałem o nim od jego przyjaciela, Jacquesa Kohna, byłego aktora Teatru Żydowskiego. Mówił „byłego”, ponieważ w czasie naszej znajomości, nie występował już na scenie. Było to na początku lat trzydziestych. Teatr Żydowski w Warszawie nie cieszył się już wówczas powodzeniem. Jacques Kohn był chorym i zamkniętym człowiekiem. Zachowywał się wprawdzie jeszcze jak dandy, jednak był niedźwiedzi ubrany. W lewym oku nosił monokl, wysoki, starożytny kolnierzyk — tak zwany „fatermerder” — lakierki i cylinder. Cynicy z Żydowskiego Klubu Pisarzy w Warszawie, w którym obaj często bywali, przezywali go „Jordem”. Chociaż zawsze chodził zgarbiony, usiłował trzymać się prosto. Resztki swoich dawnych przesnobiastych włosów zaczesywał w ten sposób, że tworzyły mostek zawieszony nad nagą czaszką. Starym teatralnym zwyczajem wpadał w zniechęcony ildusz — zwłaszcza wtedy, gdy opowiadał o swych stosunkach z Kafką. Ostatnio zaczął pisać artykuły do gazet, lecz redaktorzy odrzucali jednomyślnie wszystkie jego rękopisy. Mieszkał w jakiejś mansardzie gdzieś na Lesznie i ciężko chorował. Młody członek Klubu krążył o nim dowiec: przez cały dzień leży pod namiotem fienowym, a wieczorem pojawia się jak Don Juan.

Spotykaliśmy się wieczorami w Klubie. Drzwi otwierały się wolno i wkraczał Jacques Kohn. Miał wejście wybitnej europejskiej znakomitości, która zachęcała do ponizności, ażeby odwiedzić go. Rozglądał się wokół, ścigając twarz, jakby chciał powiedzieć, że zapach śledzi, czosnku i taniego tytoniu obraża jego poczucie smaku. Rzucił pogardliwie spojrzenia na stoliki, pokryte strzępkami gazet, polanymi figurami zachowawczy i popielniczkami, pełnymi niedopałków, przy których siedzieli członkowie Klubu, prowadząc w przeraźliwym zgiełku niekończące się dyskusje o literaturze.

Potrząsał głową, jakby chciał powiedzieć: I cóż można jeszcze oczekiwać po takich półgłówkach? Widząc, że wchodził, sięgnął do kieszeni, by mieć w pogotowie złotówkę, którą niewątpliwie zechce ode mnie pożyczyc. Tego wieczoru Jacques zdawał się być w lepszym nastroju niż zwykle. Uśmiechał się, pokazując przy tym porcelanowe uzębienie, niedokładnie osadzone i poruszające się nieco przy jedzeniu, potem zbliżył się do mnie sprężystym krokiem, jakby znajdował się na scenie. Podał mi kościatą rękę o długich palcach i rzekł: Jakże się dzisiaj wieczór wieszce wschodzącej gwiazdzie?

— Czyżby znowu wschodziała? — Mówię poważnie. Naprawdę. Wiem, co to talent, jeśli widzę go przed sobą, chociaż nie dostaje mi talentu. Gdy w roku 1911 graliśmy w Pradze, nikt jeszcze nie słyszał o Kafce. Przyszli do kulis, zobaczyłem ją raz i w tej samej chwili wiedziałem, że stoję obok geniusza. Mogłem to wyczuć, jak kot czuwa mysz. Tak zaczęła się nasza wielka przyjaźń.

Słyszałem tę opowieść wiele razy i w różnych wersjach, lecz byłem pewien, że wysłucham ją raz jeszcze. Usiadł przy moim stole i Mania, kelnerka, przyniosła nam herbatę i kekсы. Jacques Kohn uniósł brwi nad złotymi oczami, ich biel przycinały czerwone żyłki. Jego wierzal twarz zdawał się mówić: I to, barbarzyńcy nazywają herbatą? Wrzucił do szklanki pięć kostek cukru, wymieszał, po czym odsunął łyżeczkę na bok. Kciukiem i palcem wskazującym o niezwykle wydłużonych paznokciach ułamał kawalek keksu, włożył do ust i powiedział: No tak, co znaczący, tś nigdy nie można nasyścić się przeszłością.

Wszystko było grą. Sam pochodził z rodzinny chasydyskiej, urodził się w małym polskim miasteczku. Miał na imię nie Jacques, ten Jankiel. W istocie wiele lat spędził w Pradze, Wiedniu, Berlinie i w Paryżu. Przez pewien tydzień był aktorem w teatrze żydowskim, grał także na scenach francuskich i niemieckich.

Przyjaźnił się z wieloma sławnymi ludźmi. Pomógł Chagallowi znaleźć atelier w Belleville. Był częstym gościem Zangwilla. Grał w jakimś przedstawieniu Reinhardta i jadł śniadanie z Piscatorem. Pokazywał mi listy, które otrzymał nie tylko od Kafki, lecz również od Wassermanna, Stefana Zweiga, Romaina Rollanda, Hji Erenburga i Marcina Bubera. Wszyscy zwracali się do niego po imieniu. Gdy zawarliśmy bliższą znajomość, pokazał mi nawet fotografie i listy słynnych aktorów, z którymi miał intymne stosunki.

Pożyczył Jacques'owi Kohnowi złotówkę znaczną dla mnie tyle, co zetknięcie się z zachodnią Europą. Sam sposób noszenia przez niego laski ze srebrną gałką wydawał mi się egzotyczny. Nawet papierosy palił inaczej niż my w Warszawie. Odnaczał się nienagannymi manierami. Jeśli mnie ganił, co zdarzało się rzadko, potrafił zawsze wynagrodzić moją wrażliwość wyborem komplementem. Najbardziej jednak podziwiałem jego umiejętność w obcowaniu z kobietami. Ja wobec dziewcząt byłem trzęsliwy, zawstydzony, w ich towarzystwie Jacques Kohn okazywał pewność siebie niczym hrabia. Nawet kobiecie pozabawionej zupełnie wdzięku potrafił powiedzieć coś miłego. Schlebiał wszystkim, jednak zawsze w tonie dobrodusznego ironii, w jego stosunku było coś ze zblazowanego hedonisty, który już wszystkiego zakosztował.

bejusz i partaczy jak Zola i D'Annunzio. W teatrze dostrzegaliśmy te same niedoskonałości, które Kafka znajdował w literaturze, i to nas właśnie zbliżyło. Ale dziwna rzecz, Kafka był zupełnie ślepy w sprawach oceny teatru. Chwalili pod niebiosa nasze taniejsze żydowskie sztuki. Zakochał się szalenie w przeciętnej aktorce — w pani Tschissik. Gdy o tym myślał, że Kafka kochał te osobki, marzył o niej, to wstydził się za ludzi i ich złudzenia. No tak, nieśmiertelność się nie wybiera. Każdy, kto przypadkiem spotkał się z wielkim człowiekiem, przechodził z nim razem do nieśmiertelności, często w butach i komisu.

Czy pan nie pytał mnie kiedyś, co utrzymuje mnie przy równowadze, albo tak się mi tylko wydaje? Co daje mi siłę, że znośnię nędzę, chorobę i — najgorsze ze wszystkiego — beznadziej-

ność? To dobre pytanie, mój młody przyjacielu. Postawiłem sobie to pytanie, gdy po raz pierwszy czytałem księgę Hloba. Dlaczego Hlob żył i cierpiał? Żeby mieć w końcu jeszcze więcej córek, jeszcze więcej osłów i jeszcze więcej wielbłądów? Nie. Bardziej chodziło mu o samą grę. Wszyscy gramy w szachy, z losem jako partnerem. Los robi ruch; my także ruch. Próbuje w trzech ruchach dać nam matę; próbujemy mu w tym przeszkodzić. Zdajemy sobie sprawę, że nie możemy wygrać, lecz jesteśmy zmuszeni walczyć, jak najlepiej. Moim przeciwnikiem jest nielitościwy anioł. Walczy przeciwko Jacques'owi Kohnowi za pomocą wszystkich tricków. Teraz jest zima. Jest zimno, nawet gdy ogień jest w piecu; lecz mój piec nie grzeje od miesiąc, gospodarz zaś nie kwapi się, by go naprawić. Zresztą nie miałbym pieniędzy, żeby kupić węgla. W moim pokoju jest tak zimno, jak na dworze. Kto nie mieszkał w mansardzie, nie ma pojęcia, jak silny może być wiatr. Szybko w moich oknach brzęczą także latem. Czasem koczur wdrapie się na dach obok mojego okna i lamentuje przez całą noc, jak kobieta w bólach porodowych. Lęz zbiebnąty pod kocem, a koczur pojekuje za kotką, albo może po prostu z głodu. Mogłbym dać mu coś do jedzenia, żeby się uspokoił, lub przepędzić, lecz ażeby nie zamarnąć, pokrywam się wszystkim łachami, jakie mam, nawet starymi gazetami — najniebezpieczny ruch, i cała konstrukcja się zapada.

A jednak, gdy gra się w szachy, mój drogi przyjacielu, lepiej jest grać z równorzędnym partnerem niż z jakimś patałachem. Podziwiałem mego przeciwnika. Niekiedy jestem zachwycony jego pomysłowością. Siedzi on gdzieś na górze w biurze w trzecim lub siódmym niebie, w tym dziale opatrzości, i ma ledwo rządki nasza, mała planeta, i ma ledwo tylko zadanie: zastawić pułapkę na Jacques'a Kohna. Jego rozkaz brzmi: „Rozbij beczkę, lecz nie wylej wina”. To właśnie czyni z precyzją. Jak on to robi, że utrzymuje mnie przy życiu, zakrawa to na cud. Wstydził się powiedzieć panu, ile zjadł leków, ile łyłkam pigułek. Jeden z moich przyjaciół jest aptekarzem, w przeciwnym razie nie mógłbym sobie na to pozwolić. Zanim się położę, tykam jedną pigułkę po drugiej, nie popijając wodą.

Cierpię na prostatę, muszę dlatego w nocy kilka razy wstawać. W ciemnościach przestają obowiązywać kategorie kantowskie. Czas nie jest już czasem i przestrzeń nie jest przestrzenią. Trzymam się coś w ręku, i nagłe znikną. Niełatwo jest zapalić moją lampę gazową. Zawsze gdzieś uwiązają się moje zapalki. Moja mansarda przepelnilona jest demonami. Raz po raz zagaduję któregoś z nich: „Ej, ty, ocie, sy nu wina, jak by to było, gdybyś zaprzestął swoich złośliwych sztuczek”. Niedawno usłyszałem w środku nocy stukanie do moich drzwi i głos kobiecy. Nie potrafiłem stwierdzić, czy śmiała się czy płakała. „Kto to może być?” — pytałem siebie. „Lilith? Namah? Albo Machlath, córka Keteva M'irrisa?” Krzyknąłem głośno: „Madame, pani sił pomylita”. Jednak nadal uderzała w moje drzwi. Potem usłyszałem jej ktoś odsunął się na ziemię. Nie miałem odwagi otworzyć drzwi... Zaczęłam szukać zapalaka; miałem zresztą je w ręku. W końcu wstałem, zapaliłem lampę naftową i nalożyłem na siebie szlafrok oraz pantofle. Spojrzałem szybko w lusterko, przeziemiłem się na swój widok. Twarz była zielona i nieogolona. Otworzyłem drzwi, przed mną stała młoda kobieta, boso, w sobolowym futrze, narzuconym na nocną koszulę. Była blada, jej długie włosy blond były w nieładzie. „Madame, co się stało?” — spytałem. „Ktoś przed chwilą usiłował mnie zabić. Biagam pana, proszę pozwolić mi wejść. Chciałabym tylko do świtu ukryć się w Pańskim pokoju!”

Chciałem ją zapytać, kto próbował ją zabić, lecz zobaczyłem, że jest zmarznięta na kość. Najprawdopodobniej także pijana. Wpuściłem ją do środka i

sposzregłem bransoletę z obrzynnymi diamentami na rękę. „Mój pokój jest nie ogrzany!” — powiedziałam.

— Lepiej to niż umierać na ulicy”. I oto zostaliśmy oboje. Cóż miałem z nią robić? Mam jedno łóżko. Nie piję — lekarz zabronił — ale przyjaciel ofiarował mi butelkę koniaku; miałem ponadto kilka kekсов. Datem jej koniaku i kekсов. Alkohol ją ożywił.

„Madame, czy pani mieszka w tym domu?” — spytałem.

„Nie — odpowiedziała — mieszkam w Alejach Ujazdowskich”. Na pierwszy rzut oka stwierdziłem, że była arystokratką. Coś powiedziała i w końcu okazało się, że jest owdowiałą hrabianką a jej kochanek mieszka w moim domu — dzielnicy człowiek, trzymający światło jako zwierze domowe. On także pochodził ze szlachty, jednak zdeklasował. Za usiłowanie morderstwa odsiedział już rok w cynie. Nie mógł jej odwieść, ponieważ mieszkała w domu teściowej, dlatego go odwiedzała. O-

kim durniem to ja nie jestem. Napisa- no bowiem w talmudzie: cud się nie powtarza.

A wie pan, że Kafka mimo młodego wieku cierpiał na podobne zahamowania, co ja na stare lata. Przeszkadzały mu we wszystkim, co robił, w życiu seksualnym i przy pisaniu. Tesknął za miłością i uciekał od niej. Napisał jedno zdanie i natychmiast je przekreślił. Otto Weininger był taki sam — szalony i jednocześnie genialny. Poznałem go w Wiedniu — błyskał tylko aforyzmi i paradoksami. Nie zapominaj nigdy jednego z jego powiedzeń. „Bóg nie stworzył pluskwy”. Trzeba znać Wiedeń, by móc zrozumieć rzeczywistość te słowa. Kto w takim razie stworzył pluskwę?

Ach, przyszedł Bamberg! Niech pan tylko spojrzy, jak kołysze się na krótkich nóżkach, zwłoki, które bronią się,

czas ludzkiego rozsądku i że tylko poprzez namiętność można dojść do prawdziwej mądrości.

Jacques Kohn potrząsał głową. „Hamlet w miniaturze, Kafka bał się zostać Bambergiem — i to go zniszczyło”.

„Czy hrabina odwiedziła jeszcze pana?” — zapytałem.

Jacques Kohn wyjął monokl z kieszeni i kontynuował: „A gdyby tak było? W moim życiu wszystko przekształca się w słowa. Gadanie, tylko gadanie. Zresztą do tego doprowadza się filozofia doktora Mitzkina, że człowiek stanie się ostatecznie mówiąca maszyną. Będzie ładnie słowa, pił słowa, żenił się ze słowami i truł się słowami. Wpadła mi do głowy, że doktor Mitzkin brał także udział w tej orgii w Granacie. Przyszli, aby wprowadzić w życie to, czego nauczał, lecz z równym powodzeniem mógłby napisać „Entropię namiętności”. Tak, hrabina przychodzi od czasu do czasu. Jest także intelektualistka, lecz bez intelektu. Mówiąc otwarcie, kobiety równie mało wiedzą o znaczeniu seksu, jak o intelekcie, jakkolwiek wszystkie czynią, ażeby ukazać wdzięk swego ciała. Ważny dla brankiada pania Tschissik. Cóż ja interesowało kiedykolwiek poza ciałem? Ale niech pan ja kiedyś zapyta, co to jest rzeczywistość ciała. Teraz jest brzydka. Za naszech praskich czasów, kiedy była aktorka, miała jeszcze coś do pokazania. Byłem jej głównym następcą. Miała maleńki talencki. Przechylała mi do Pragi, ażeby zarobić trochę pieniędzy, a tam czekał na nas geniusz — Homo sapiens w apogeum samouderki. Kafka chciał być Żydem, ale nie wiedział, jak. Chciał żyć, ale również nie wiedział, w jaki sposób. „Francisku!” — powiedziałem kiedyś do niego — „Jesteś młodym człowiekiem. Rób to, co my wszyscy robimy”. Znałem w Pradze pewien burdel, namówiłem go, żeby poszedł ze mną. Nie miał jeszcze kobiety. Nie chciał mówić o dziewczynie, z którą był zaręczony. Aż no szły tonal w nieszczańskim bagnie. Żydzi z jego otoczenia mieli jeden ideał — stać się poganami, jednakże nie czeskim, lecz niemieckim. Krótko mówiąc, namówiłem go na te przywileje. Zawlokłem go w ciemną uliczkę w byłym getcie, gdzie znajdował się burdel. Weszliśmy na piętro wdeptanymi śladami. Otworzyłem drzwi — widok jak na scenie: kurwem, sutenerem, goście i balzetmana. Nie zapomniałem słowa, które przebiegł drzewce na całym tego ciała i pociągnął mnie za rekaw. Potem obrócił się i szlekt tak szybko ko schodach, bałem się, że złamie nozę. Gdy dostał się na ulicę, stanął; wyciągał jak użęć. W drodze powrotnej miałem słowny nawrót. Kafka zaczął mówić o golemie. Wierzył w golem, co więcej, wierzył nawet, że w przyszłości będzie z pewnością jeszcze jeden golem. Musza istnieć jakieś zaradzieckie słowa, które potrafią przemienić kawalek sily w swa siate. Czy Bóg tak mówił kabala, nie stworzył świata, wypowiedział święte słowa? Na początku było łozos.

Tak, wszystko jest wielką grą w szachy. Przez całe życie obawiałem się śmierci, lecz teraz, kiedy stoję na skrajach grobu, przestałem się bać. Mój partner niedwuznacznie chce prowadzić długą grę. Będzie brał dalej moje figury jedną po drugiej. Najpierw zabiera mi powolnie aktora i uczynił ze mnie tak zwanego pisarza. Niebawem i to się skończy. Jego następny ruch polegał na tym, że pozwał mi maleńkiej sily. Mam jednak świadomość, że jeszcze długo nie da mi mata, i to przysparza mi sily. Jest zimno w moim pokoju — niech będzie zimno. Nie mam kolacji — od tego nie umrę. Sabotuję mnie i ja go sabotuję. Niedawno wróciłem późno do domu. Na dworze był siarczysty mróz, nagle zauważyłem, że zginęliem klucz. Zbudziłem dozorcę, lecz nie miał zastępczego klucza. Cuda! nóżka, a jego pies ugryzł mnie w nogę. Dawniej w takich okolicznościach ogarnęłaby mnie rozpacz, lecz tym razem przemówiłem do swego przeciwnika: „Jeśli chcesz, bym nabawił się zapalenia płuc, to proszę bardzo”. Opuszczam dom i postanowiłem udać się na Dworzec Wiedeński. Wiatr omal mnie nie przewrócił. O tej porze na tramwaj musiałbym czekać co najmniej trzy kwadranse. Przechodziłem obok budynku Związku Literatów i zobaczyłem światło w oknie. Zdecydowałem wejść. Może będę mógł tam spędzić noc. Na schodach zawadziłem butem o jakiś przedmiot, który wydał metaliczny dźwięk. Schyliłem się i podniosłem klucz. To był mój klucz. Szansa znalezienia klucza na ciemnych schodach tego budynku to jeden do miliona, ale jak się zdaje mój przeciwnik obawia się, że mógłbym wcześniej poddać się, niż by to mu odpowiadało. Fatalizm! Niech pan nazwie to fatalizmem, jeśli pan chce!”

Jacques Kohn powstał i przeprosił mnie, by zadzwonił. Siedziałem dalej i obserwowałem, jak Bamberg na dręczących nogach tańczył z jakąś literacką damą. Oczy miał zamknięte, a poduszka oparła na jej białe, jak na poduszcze. Zdzawołał się, że tańczył i jednocześnie spał. Jacques Kohn rozmawiał długo — o wiele dłużej niż normalnie rozmawia się przez telefon. Gdy wrócił, błysnął monokl w jego oku. „Niech pan zgodzić, kto jest w sąsiednim pokoju!” — powiedział. „Madame Tschissik! Wielka miłość Kafki!”

„Ach, rzeczywistość!” — „Opowiadałem jej o panu. Niech pan idzie, chciałbym pana zapoznać.” — „Nie!” — „Ależ dlaczego? Kobieta, która kochała Kafkę, warta jest poznania.” — „Nie jestem ciekawy”. — „Pan jest nieśmiały, ot co. Kafka był także nieśmiały — tak nieśmiały jak użęć Jesliwy. Nigdy nie byłby nieśmiały i to może być powodem dlaczego nigdy nie osłaniałem lakierówkowiek znaczenia. Mój drogi przyjacielu, potrzebuje jeszcze dwudziestu groszy na rozszereżenie dziecięcej dozozy z tego budynku i dziecięć z mojego domu. Bez tych pieniędzy nie wrócę do domu”. Wziąłem garść drobnych z kieszeni i dałem mu.

„Tyle? Pan rzeczywistość obrabował dziś bank. Czterdzieści sześć groszy! Pił-pafl No, jeśli istnieje jakiś Bóg pochwał pana za to. A jeśli nie ma żadnego, to kto wobec tego prowadzi te wszystkie gry z Jacquesem Kohnem?”

Przełożył: STANISŁAW KASZYŃSKI

I. B. SINGER  
**PRZYJACIEL  
KAFKI**

wej nocy pobli ją w przystępie furii zardzielił, przystawiając rewolwer do skroni. Mówiąc krótko, udało się jej chwycić futro i zbiec z mieszkania. Pułka do drzwi sasiadów, lecz nikt jej nie wpuścił. I w ten sposób dotarła do mojej mansardy.

„Madame — powiedziałem — pani kochanekrawdopodobnie szuka pani. Co będzie, gdy tutaj pania znajdzie? Nie jestem już kimś, kogo nazwać by można rycerzem”.

„Nie odważ się wszcząć hałasu” — wyjaśniła. „Ma zawieszony wyrok. Zetrwałam z nim ostatecznie. Niech pan okaże mi litość — proszę nie wypędzać mnie nofrodko noc”.

„Jak wróci pani rano do domu?” — spytałem.

„Nie wiem” — odparła. „Zresztą sama już dość zwięła, lecz nie chciałabym, ażeby mnie zabił”.

„No, w żadnym wypadku nie bede mógł spać” — odrzekłem. Niech pani skorzysta z mego łóżka. Ja posiedzę na tym krześle”.

„Nie, nie uczynię tego. Nie jest pan już młody i nie wstydada nam namiętnie. Proszę, niech pan wraca do łóżka, ja usiąde na krześle”.

Przekomaraliśmy się dość długo, aż wreszcie postanowiliśmy położyć się razem. „Nie potrzebuje pani obawiać się mnie” — zapewniłem. „Jestem stary i bezradny wobec kobiet”. Wydawało się, że jest o tym całkowicie przekonana.

O czym to mówiłem? Ach tak, więc nagle jestem w łóżku z hrabianką, której kochanek w każdej chwili może wylamać drzwi. Nakryliśmy się dwoma kocami, które posiadam, zrzęgnowawszy z budowy zwyczajnego kokonu z wszystkich możliwych rzeczy. Byłem tak podniecony, że zapomniałem o zimnie. Poza tym czułem jej bliskość. Dłwne ciepło promieniowało z jej ciała, inne niż wszystko, co dotąd znałem — albo raczej zapomniałem o tym. Czy mój przeciwnik zaczyna nową grę? W ostatnich latach zaprzestał grać ze mną poważnie. Wie pan, jest coś, jak gra w szachy z humorem. Opowiadał mi, że Nimzowicz często swoim partnerem w szachy grał na skrzypcach. W tamtych czasach Morphy był znany w rozgrywkach szachowych jako oszust. „Piękny ruch” — mówiłem do niego przeciwnika, „Mistrzowski ruch”. Przy tym przypomniałem sobie, że znalazłem jej kochanka. Spotkałem go na schodach — zwał się chłopsko o twarzy mordercy. Cóż za zabawny koniec dla Jacquesa Kohna — być załatwionym przez polskiego Otella.

Zaczęłam śmiać się, wtórowała mi. Objąłem ją i przycisnąłem do siebie. Nie bronila się wcale. Nagle stał się cud. Byłem znowu mężczyzną! Pewnego czwartkowego wieczoru stałem przed rzeką w małym miasteczku i widziałem, jak byk nakrył krowę, zanim oboje nie został zabił na sabat. Nigdy się nie dowiem, dlaczego się zgodziła. Może w ten sposób chciała zemścić się na swoim kochanku. Całowała mnie i szeptała czułe słowa. Potem usłyszełmy ciężkie kroki. Ktoś bił pięścią w drzwi. Moja dziewczyna zsunęła się z łóżka i położyła na podłodze. Chciałem już odmawiać modlitwę za konających, wstydziłem się wszak Boga — właściwie nie tak bardzo Boga, co mego sztycherzego przeciwnika. Czemuż poskąpił mi tej dodatkowej przyjemności? Także melodramat ma swoje granice.

Potwór nie przestawał uderzać w drzwi, i dziwiłem się bardzo, że ich nie wyważył. Drzwi dygotały w zawieszonych strach, jednak coś we mnie się śmiało. Potem spektakl się skończył. Otello odszedł.

Następnego ranka odniosłem bransoletę hrabiny do lombardu. Za pieniądze kupiłem mojej lornetce suknie, bieliznę i buty. Garderoba nie była właściwych rozmiarów, lecz potrzebowała jedynie dojeżdż do takówdki, zakładając naturalnie, że jej kochanek nie czyhał na schodach. Osobiłwym zbiegiem okoliczności osobnik ten przepadł gdzieś owej nocy i odatd nie pojawił się już nigdy. Zanim odszła, ucałowała mnie i zaklinala, ażebym zadzwonił. Jednak ta-

żeby nie spocząć w grobie. Byłoby to wcale niezły pomysł otworzyć klub dla nieboszczyków, którzy cierpią na bezsensność. Dlaczego waleśa się przez całą noc? Czego on szuka w nocnych lokalach? Przed laty, kiedy byłem jeszcze w Berlinie, lekarze machnęli na niego ręką, co zresztą wcale go nie powstrzymało od przesiadywania do czwartej nad ranem w Romańskiej kawiarni i pogaduszek z prostytutkami! Pewnego razu zapowiedział aktor Granat, że urządzi w swoim domu party — prawdziwą orgię — i zaprosił na nią także Bamberga. Granat nakazał każdemu mężczyźnie przyprzebrać się z sobą damę, albo własną żonę albo przyjaciółkę. Ponieważ Bamberg nie miał ani żony, ani przyjaciółki, opłacił dziewczę, aby mu towarzyszyła. Na to okazie musiał kupić jej wieczorową suknię. Towarzystwo składało się wyłącznie z pisarzy, profesorów, filozofów i zwykłych darmozjadów. Otóż wszyscy wpadli na ten sam pomysł — przyprzebrali z sobą prostytutki. Byłem tam także. Przyszedłem z aktorką z Pragi, którą znałem od dawna. Zna pan Granata? Dzikus. Pije koniak jak wodę sodową i potrafi spalażować omlet z dziesięciu jaj. Skoro przybyli goście, rozebrał się i zaczął tańczyć jak szalony z kurwami, po prostu by oszłomić swoich intelektualistów. Zrazu siedzieli ludzie w fotelach i tylko spoglądali ze zdziwieniem. Po chwili zaczęli dyskutować o seksie. Schopenhauer powiedział to. Nietzsche powiedział tamto. Kto czegoś podobnego nie widział na własne oczy, ten z trudem może wyobrazić, jak śmieszak mogą być tacy penulsi. A tymczasem Bamberg nagle zachorował. Zzieleniał jak trawa, pokrył się cały potem. „Jacques!” — rzekł do mnie — „to koniec. Dobre miejsce na śmierć”. Miał atak rerek. Wyniosłem go i odwiezłem do szpitala. Nawiasem mówiąc, może mi pan pożyczyc złotówkę?”

„Dwa złote?” — „Co? Czy pan obrabował Bank Polski?” — „Sprzedatem pewnie nowiadanie”.

„Gratuluję. Zechce pan ze mną zjeść kolację. Jest pan moim gościem”.

Przedas gdy jedliśmy kolację, podszedł Bamberg do naszego stolika. Był to niski mężczyzna, chudy jak suchotnik, pochylony do przodu, o krzywych nogach. Spiczasta czaszka pokrywała trochę silych włosów, nosił lakierki i getry. Jedno oko było większe od drugiego — czerwone, wylupaste. przerażające silą własnego wizjonerstwa. Oparł się o nasz stółk małymi kościłwymi rekoma i powiedział głosem gdakajającym: „Jacques, wczoraj przeczytałem „Zamek” twójego Kafki. Interesujący bardzo interesujący, ale do czego właściwie zmierza? Jak na sen, to za długo. Alegorie musza być krótkie”.

Jacques Kohn przelknął szybko kąsek, który właśnie żuł. „Siada!” — powiedział. „Mistrz nie potrzebuje przestrzegać żadnych reguł”.

„Jest kilka reguł, których musza przestrzegać także mistrzowie. Powieść nie powinna być dłuższa niż „Wojna i pokój”. A nawet „Wojna i pokój” jest za długa. Gdyby Biblia miała osiemnaście tomów, dawno by już o niej zapomniano”.

„Talmud składa się z trzydziestu sześciu tomów, mimo to Żydzi nie zapomnieli o nim”.

„Żydzi wspominają za wiele rzeczy. To jest nasze nieszczęście. Minęło dwa tysiące lat, odkąd zostaliśmy wygnani z Ziemi Świętej, i znowu próbujemy do niej powrócić. To obłąd, prawda? Gdyby nasza literatura odzwierciedliła tylko ten obłąd, byłoby to wspaniałe. Jednak nasza literatura jest niesamowicie rozsądna. No, dosyć o tym”.

Bamberg wyprostował się i patrzył poposepie z wysiłku. Drobnymi kroczkami poczłapał od naszego stolika. Podszedł do gramofonu i nastawił płytę z muzyką tanezną. Wiedziarno w Klubie Literatów, że od wielu lat nie napisał słowa. Na stare lata uczył tańca, będąc pod wpływem filozofii swego przyjaciela, doktora Mitzkina, autora „Entropii rozumu”. W tej książce Mitzkin próbował udowodnić, że kończy się

BARBARA NADGÓRSKA

# ZACHĘTA

Może jutro świt znów nadejście na Twoje powieki, ciężarem głowy zachęci do życia. Może jutro znów ze zgrzytem odsuniesz zastony i popatrzyś w rurę, gdzie echo skrzeczy. Może jutro świt szarpnie Cię za włosy i z potłuczoną butelką po mleku każe iść przez życie. Niech świt nie odchodzi z nosem przy skórze brzucha. Otwórz jutro oczy. Jeszcze.

# NOWOŻEŃCY

Oni są młodzi, nawet bardziej, niż młodzi. Za sobą mają różową miłość, może jeszcze parę awantur rodzinnych, parę przekleństw i szyderczych spojrzeń. Gdzieś wśród papierów leży kilka listów z serii: moja najdroższa, mój najukochańszy. Są też zakurzone maskotki i trochę zdjęć, do których kiedyś będą się ironicznie uśmiechać. A teraz, gdy opaszą już swe drobne ciała złotymi obręczkami, dostaną jeszcze jeden drobiaz, — prawo codziennego wchłaniania siebie nawzajem.

Wiersze z tomu „Skradanie“ przygotowanego dla Wydawnictwa Łódzkiego

KRYSTIAN SALWICZEK



.....nie mam róż! kwiatów w ogrodzie — ogrodu nie ma. Jest myśl wyblakła, między połamanym stołem a twoim spojrzeniem — błędząca. Śmiesznie piękna jesteś moim ogrodem kochanym kwiatem — trującym.



życie moje podobne jest nieznannej planecie. Czekać astronoma, by ujrzał me światło niepowietwaną byłoby głupotą. Ponieważ — kiedy ja się pojawia, pojawia się zima. Przy mnie wszędzie zamarzają mosty. W tanecznym kole wynaturzenia — piszę od przypadku — jestem królem nizin. Wreszcie kiedy się przebudzę zawsze jestem samym sobą. Tym który śpi, płacze i kocha.

TADEUSZ BŁĄŻEJEWSKI

# INDIAŃSKIE LATO

MAŁEJ

za oknem dziś morze głębokie w domu inność i skrzypnięcie drzwi chcących ślad ocalić po kimś

uśmiech smętny uniesione brwi ta indiańska pora roku czy naprawdę musi być mnie drwić

jak szal Isatory zaplątane słowa czy zechcą iść się myśli co nienowa

Dziś pewnie także przysni mi się ten sen. Będę za tobą biegła po korytarzach, po schodach, a to wszystko będzie się działo w jakimś zamczysku, ruderze opuszczonej, gdzie co krok sufity przeświecają niebem. Będziesz chodził, uciekał, nieświadomy pogoni, odwrócony plecami, jak zawsze jest się odwróconym plecami do ścigającego. Bez twarzy. I na próżno będę zmuszała cię we śnie, żebyś miał twarz, tę jedną swoją własną, żebyś ją mogła zobaczyć, kiedy się odwrócisz. Ale ty nie odwrócisz się do końca, do chwili, kiedy obudź się nie z krzykiem, ale w zdyszonym milczeniu i zapalę lampkę przy tapeczaniu, i będę próbowała powrócić do rzeczywistości, która uwiera mnie boleśnie i głupio, dosłownie i rzeczowo, zwyczajnie — jak za ciasny but. To podobno już się ludziom nie zdarza na ogół, albo zdarza się zbyt rzadko, albo nie przyznają się do tego, że im się zdarza — i dlatego mówię ci, że to bez sensu, staroświeckie jakies: zapatrzenie się w siebie — drugiego człowieka, i w siebie, aż do jakiegoś kresu, o którym mówią „pomylenie”, „obsesja”, albo jeszcze inaczej, ale dosyć podobnie.

I uśmiechają się ludzie, te „szkiełka i oka” (ach, nie — „oczy”, naturalnie) w ludzkich ciałach chodzące: „bebechy młodopolskie” powiedzą albo jeszcze gorzej. Uśmieją się, jeżeli o tym zamku-ruderze i o reszcie opowiem, a przecież muszę opowiedzieć, bo jeśli nie, to klops, monologi noc w noc i żadnego ratunku poza słowem. I w ogóle wstyd jakos.

A nie wstyd tak dzień po dniu grymasy do różnych marionet stroić, i „zastanowić się”, i „dziękuję uprzejmie”, i „przemysle”, a to wszystko, co w nas najmocniejsze, byłęco mocne i ludzko także, wcale nie jest do zastanawiania się, tylko do czucia, żeby człowiekiem po prostu pozostać, przynajmniej na jakiś czas jeszcze, a nie tą kukłą cholerną, o której potem uczone rozprawy można pisać, jak się to z człowieka powolutku wykuła. I to także do bani słowo, nie na swoim miejscu, bo kukła z niczego „wykuć się” nie może, martwa jest — koniec i kropka.

Przez wiele lat uczono mnie tak zwanych „zasad” — i taka już została, wypełniona nimi po brzegi jak skarbonka ciulacza (jakie komiczne porównania). Nie kradnij, nie cudzołóż, nie mów fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu swemu i tak dalej. Nawet niedokładnie to dzisiaj powtarzam, ale tym właśnie byłem wypełniona aż do tego dnia, kiedy cię zobaczyłam. I zaczęłam „cudzołóżyć” (bo przecież byłeś już cudzym mężem, zanim cię tej drugiej, tej innej kobiecie odebrałam) i kraść (bo to właściwie jedno i to samo: cudzołóżyć i ukraść nie coś — kogos) i mówić „fałszywe świadectwo” (bo udawałam, że cię w moim życiu nie ma, długo udawałam, żeby te żarłoczne, plotkarskie pyski, póki się da, zostawiły mnie w spokoju). Robiłam to wszystko i byłam tak nieprawdopodobnie, tak obłędnie szczęśliwa, jak nigdy przedtem i nigdy potem.

Dość mam, za dużo mam snów, tych dzisiejszych, w których są jakieś idiotyczne zamczyska-ruderzy, pogonie i niedoścignięcia, a wszystko to, „panie tego”, projekcja marzeń, wyobraźni i pamięci, banalny coctail erotyczny. Diabła tam banalny! Dla każdego inny scenariusz, chociaż niby ten sam, dla każdego młotnianina w pościeli inna, chociaż niby taka sama.

A najgorzej chyba to, że ja cię coraz słabiej pamiętam, a uparłam się, żeby nie zapominać, tak to sobie zaplanowałam. I już cię pewnie nie Kocham, albo Kocham bardzo niepewnie — i fotografię wyjmuję z papierzyków, i wgapiam się jak siksa jakaś głupia, bo tak to sobie wymyśliłam, żeby się tego uciepić. Uparłam się, diabli wiedzą, po co („jest najgłusze, kiedy kto się przy czym uprze” — powiedział, co za kpiarz!). Nawet dla terapii, czyli żeby, jak to mówią, „przewartościować” to i owo, pod durne zdjęcia porno, przy których ślinią się i pojejkują różni starsi panowie, ciebie sobie „podkładam”. Innymi słowy leczenie wstrząsowe stosuję, sublimację tak zwaną z wytlamszeniem, wybrudzeniem tej całej mojej, dogasającej smętnie pamięci mieszam, ale to figę daje, bo na tych porno-zdjęciach to nigdy nie jesteś ty, otoczka zaraz się zjawia, pajęczynka, jedwabny kokonek, więc widocznie to także żaden sposób.

Chciałam ci jeszcze powiedzieć, że już wiem, dlaczego mówię-myślę w takiej paskudnej, ekspresjonistycznej manierze. Mnożę słowa i za dużo w tym przymiotników, coraz ich więcej, puchną, stają się miękkie, wielkie i gorące, nie umiem myśleć o tobie inaczej, innymi słowami. Moja uczona przyjaciółka twierdzi, że te moje skrajzenia „ukształtowały się w pewnym rodzaju kultury, w której wyrosłam”. I dalej: „tak zwana natura człowieka wyraża się zawsze poprzez kulturę”. I dalej: „moja indywidualna natura też”. I coraz okrutniej: „język miłości, którym mówię, nie jest moim, nie znam własnego języka i przez to moje przeżycia, wyrażone słowami, stały się jakby moją”. I całkiem już bez pardonu, bez litości: „mówię o miłości językiem nieadekwatnym, jakby odziedziczonym po me-

skich przodkach, ekspresjonistycznym, a jakże”. I pointa: „nie znam innego języka miłości, nie umiem go stworzyć, chociaż wiem, że ten, którym mówię-myślę, nie jest mój”.

To wszystko prawda. Moja uczona przyjaciółka każe mi czytać Fromma i Junga, i paru innych. Ma rację. Już to robię, od kilku miesięcy. Dowcip polega na tym, że niezależnie od tych lektur, przez które przedzieram się z trudem, postarzała „na umyśle” i zmęczona, dalej mówię do ciebie, o tobie, o nas — tym nieadekwatnym językiem, pełna poczucia niższości i „na zapas” ośmieszona przez fakt, że się tak nieprzyzwoicie jakam. To właśnie chciałam ci powiedzieć. Zanim odważę się wrócić do mojego biednego „języka miłości”, jedynego jaki znam.

Jesteś mitem. Już nie sobą. Pojęciem miłości. Wyobraźnią i przypomnieniem. Z kimkolwiek będę — będę wracała myślami do ciebie. I właśnie dlatego, zapominając twarz, nie zapomnę dotknienia ręki, twojej obecności we mnie, krzyku, który rozdził się wtedy, kiedy oczy zasłaniała mi ciemność, kiedy byleś mną a ja tobą — dlatego właśnie nie zapomnę, chociaż mówię, powtarzam: nie pamiętam, zapominał, nie Kocham cię już chyba, pewnie nie Kocham, albo Kocham bardzo niepewnie. A to także nieprawda jest jakaś, zakłamanie z konieczności, a konieczność znaczy po prostu, że cię

mówić takich słów, wyrzygała wszystko, co w niej było najbardziej ludzkie, razem z tymi pigułkami, które przez Olka polykała. I to rzyganie, to był koniec dawnej Wigl-człowieka, a nie zatrucie żadne, żadna zwykła żołądkowa niestrawność.

Może powinnam była machnąć ręką na tę swoją Jolkę, z którą teraz, jak dwa razy dwa cztery, codziennie się dusisz, prawie tak, jak z swoją pierwszą żoną („dusiłem się” — tak mówiłaś, to była twoja stała pogwarka). A ta pierwsza, Wanda, od której cię na swoje wielkie szczęście i nieszczęście oderwałam — była poczciwa, ale ty ją jeszcze chyba na tak zwany ślubnym kobiercu przekreśliłaś, nie pozwoliłaś jej być kobietą, bo nie pozwoliłaś jej tych zwyczajnych słów: pragnę, pożądam, potrzebuję cię. A może także mówiłaś, tylko potem zapomniawszy zupełnie dokładnie.

Dlaczego w sprawie z Jolką uniosłam się ambicją? Co to w ogóle znaczy „kobieca duma”, „ambicja”? W naszej sprawie nie znaczy nic. Cały ten kapitał, zachomiczony w walucie jakże przedawnionej, oddałabym dzisiaj za tych kilka godzin, kiedy mówiłaś „zrób to jeszcze raz” — i ja to robiłam, i wszystko było takie, jakie musiało być, ponieważ kochałam cię. Jakaś żalona idiotka zatelefonowała kiedyś do mnie, do radia. Dlaczego do mnie? Nie wiem. Pewnie przed kimkolwiek (i ja przypadkowo stałam się tym „kimkolwiek”) musiała się wygadać. O filmie Wałdy „Brzezina” gadała. Ze kobieta z rozłożonymi nogami tam pokazana, że młodzieńcy na to chodzą, że społeczeństwo (to znaczy ona protestuje. Miałam ochotę albo zadusić ją (przez telefon, na szczęście, niemożliwe), albo sama palnąć sobie w łeb (niby z czego?). A potem przeraziłam się swoich myślami i próbowałam współczuć tej agresywnej idiotce, która niczego nie rozumie i umierać chyba będzie tak samo głupia, z głupstwem przerażliwym, ustokrotnionym na ustach.

Kobieta tak upokorzona jak tamta z „Brzeziny”. Kim właściwie jest Malina, która nazywa się nawet trochę jak krowa, okropnie dużo krów „chrzcza” po wsiach tym imieniem — Malina. Ale taka ludzka potem, w tej łakowej scenie, zieleń i ona. Co z tego może zrozumieć ta kołtunka nieszczęsną, ta „od telefonu”? A może po prostu nigdy nie przeżyła niczego z tych spraw? Nikt nigdy nie stał się nią, nie był jej krwią, jej potem, częścią jej samej? Nie uwielbiała jej słowami „pragnę”, „pożądam”. I nie upokorzył. Człowiekiem. Odejdę. Niby-smiercią.

Andrzej, powiedz jeszcze raz: „to jest ten kawałek ziemi, tylko dla nas”. Powiedz, a zrozumieć, jak wtedy, i sama stanę się ziemią. Nie będziesz zadawał niemądrych pytań, bo będziesz czuł, że jest tak, jak być powinno.

A w domu, spłoszona nagle (to będzie taki letni dom, nie nasz, tylko jednych starych, zaprzyjaźnionych ludzi leśniczówka) powiem: „drzewo skrzypli”. „Drzewo” — powiem, a nie „łóżko”, a ty odpowiesz najzwyczajniej, tak jak musis powiedzieć: „nie mnie to nie obchodzi, nie nie słyszę, nie”. Potem będę patrzyła na nasze cienie krążące po ścianie, twój profil, twoja ręka, ty cały — i zaczęły krzyczeć, bo to wyda mi się dziwne, nieludzkie trochę, jak z Andersenskiej baśni, podniecające i groźne, wszystko pomieszane — a ty powiesz: „nie krzycz, jeszcze za wiesznie”. Wtedy zrozumieć, że naprawdę za wiesznie na krzyk, bo to tylko siła wyobraźni, a ty wiesz, spokojny teraz i ciałem mądrzejszy ode mnie, że za chwilę potrafisz zmusić mnie do krzyku, nad którym nie zapanuję, bo nie będę mogła, nie będę chciała.

Jutro zerwę ustami gorzką trawę, do której obrócisz mnie twarzą, potem będę wolała cię w lesie przejrzystym, koronkowym, a kiedy cię odnajdę — zapragnę najmocniej jak potrafie, żebyś wziął mnie w tym lesie, gdzie drzewa są od siebie zbyt daleko, żebyś mnie w tym lesie wziął wbrew wszystkim, wbrew wszystkiemu, żebyś nie mógł odejść, uciec i żebyś czuła wilgotny, brunatny mech pod sobą, a nad sobą ciebie, tylko ciebie.

Chcę tego, jeszcze tego chcę i za to także powinnam dziękczynienie jakiegoś takie niezwykłe, niecodzienne składać. Bo Wiga żyje już tylko z krwią zapiekłą, z żółcią, z mściwością dosyć zwierzęcą. Taka się stała, kiedy tylko trochę paskudztwa zostało z jej do Olka miłości, w szpitalu, pamiętam, tak właśnie sobie pomyślałam: „trochę paskudztwa zostało”. A przecież nie wiedziałam jeszcze, że to na długo w niej zostanie, że nie wyrzuci tego z siebie i pójdzie z tym między ludzi, taka na oko zdrowa, zdrowsza ode mnie. Między nami nie było żadnego plugawstwa, niczego takiego między nami nie było. Zostawiłaś mnie po prostu z dnia na dzień, z godziny na godzinę — a to za dużo jest, żeby żyć normalnie, ale za mało, żeby cię z samego środka siebie wyrwać.

Fragment powieści „Obiekt strzeżony”, która ukazuje się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.

NA  
POZIOMIE

Zastanawiamy się nieraz, czemu w naszym życiu tyle biurokracji, tyle przedziwnych komplikacji prostych spraw. Czytamy na przykład w prasie, że urzędnik stanu cywilnego wypisując komuś metrykę, wpisał imię z błędem ortograficznym. To jeszcze nie biurokracja, lecz zaraz nastąpi...

Otóż, aby poprawić oczywisty błąd w metryce zainteresowany musiał złożyć... podanie, oczywiście ofrankowane znaczkami opłaty skarbowej... Takich historyjek znamy na kopy, niektóre z nich nadają się do telewizyjnego wykładu prof. Jana Tadeusza Stanisławskiego.

Ale skąd się to bierze? Otóż — częściej — także z telewizji. Niedawno w programie dla młodzieży zobaczyliśmy zdumiewający reportaż-instruktaż — jak należy organizować koleżeńską pomoc w nauce.

Otóż, aby pomóc kolegom w nauce trzeba koniecznie zorganizować... Biuro. Nazywać się ono musi koniecznie **Szkołne Centrum Pomocy Szkolnej** w skrócie „escepees”. Brzmi to trochę jak „pekaees”, albo „pekaes”, ale to dobrze, bo bardziej przypomina dorosłe instytucje. Potem — poucza reportaż — trzeba opracować statut, bądź regulamin. Działające „escepees” otrzymują... numer służbowy i znaczek. Przedtem jednak muszą podpisać zobowiązanie oraz zostać wciągnięci do kartoteki.

Jak powinna wyglądać kartoteka „escepeesu” pouczono młodzież w poprzednich programach. Pamiętam, że jest tam wiele rubryk, jest miejsce na adnotację o każdej „pomocy koleżeńskej” (data, przedmiot, imię, nazwisko, klasa, numer służbowy)... W czasie dużych przerw — poucza reportaż z Gdańska — wystawia się biurko i można zacząć urzędowanie.

Słuchając tych bzdur włos się jeży na głowie, a potem człowieka ogarnia śmiech pusty. Z całą pewnością można powiedzieć, że jest to znakomita nauka biurokracji, ale czy z tej zabawy w biurko, kartotekę i znaczki służbowy wyniknie jakaś korzyść dla uczniów potrzebujących pomocy w nauce — śmiejemy się.

Oczywiście, instytucja pomocy koleżeńskej jest tak stara, jak szkoła — pomoc ta będzie istnieć mimo i obok zabawy w kartotekę i znaczki. Ale po co dzieciom robi się wodę z móżdgu, komplikując i biurokratyzując sprawy proste i oczywiste? Jaki jest sens w tym bezsensie?

Piszę to z prawdziwą przykrością, bo programy dla młodzieży naprawdę są ostatnio bardzo ciekawe i robione z głową. Niezawodny, bo ciekawy i kształcący jest jak zawsze „Zwierzyniec”. Znakomite są programy z Poznania „Co to jest?”, ciekawa jest historia lotnictwa (program „Skrzydła”), zabawny, choć nieco infantylny (ale to przecież dla młodszych dzieci) jest program „Pora na Telefora”... I nawet Studio Telewizji Młodych wyraźnie dojrzało, odkąd przestała je uszczęśliwiać obecność mizdrzącej się panielki Jaworowicz.

Więc trochę mi przykro wytykać tę biurokratyczną bzdurę, ale muszę, bo „escepees” nie jest sporadycznym niewypałem, lecz przewija się przez programy dla młodzieży od wielu miesięcy. Może więc już dosyć?

Omawiany program z Gdańska zresztą budził wątpliwości także pod innymi względami. Zaproszono do studia dwóch studentów z Senegalu. Bardzo dobrze! Egzotyczny kraj, ileż to ciekawych rzeczy można się dowiedzieć, zwłaszcza, że studenci świetnie mówili po polsku. I oto mamy takie teksty:

— Spodnie nazywają się „czaja” — mówi Senegalczyk, prezentując ludowy strój swego narodu.  
— Kapitalna sprawa — cieszy się komentator TV.

Już byłoby lepiej, aby odpowiedział tak, jak ów baba ze znanej anegdoty, gdy dowiedział się, że góralska „rzyć” — to po naszymu „dupa”: — Tyż piknie!

O Senegal komentator też zapytał — a jakże! Jak długo leci się samolotem do Polski. Potem jeden ze studentów zatańczył, a komentator zapytał przytomnie: „a wycie się przyjechali uczyć?” Senegalczyk był bystrzejszy i odrzekł: „Jasne, że nie na występy”.

I to był koniec. Nie wiemy nawet, co studiują sympatyczni goście z Senegalu, co będą robić po powrocie do kraju, jak tam wygląda szkolnictwo itd.

„Młodości — ty nad poziomym...” wolał Wieszeć. Oczywiście nikt takich wygórowanych żądań nie stawia młodzieżowym programom. Ale niech przynajmniej wszystkie będą na poziomie.

TELEMAN



Przed klubem stoi mąż Romy z figurkami w rękach.

— Patrz, coś leci, patrz majtki, patrz nasze... — mówi flegmatycznie. Roma nie odpowiada. Wsiada do szoferki. Mąż idzie za nią i siada za kierownicą.

Robi się ciemno. Płoną ogniska na wyburzeniach. Steyr podjeżdża pod okna sztygara. W oknach jest ciemno. Mirek idzie porozmawiać z sąsiadką.

— Szytgar jest w knajpie — mówi wracając. — Uroczystość tam mają. Jechać?

— Zobaczmy do dzieci — decyduje Roma.

Ciężarówka ruszyła. Mijają konkurencyjny bar, na który pani kierowniczka mówi „padliniarnia”. Jakiś odrażający pijak powiedział „czeszć Roma” i upadł.

— Powiedział, że jestem futerał — odzywa się Roma.

— Szytgar tak powiedział? — dziwi się Mirek.

— Ze jestem futerałem na duszę.

— Dziwne.

— I że jestem przeraźliwym żartem.

— On kształcony, czy jak?

— Jeszcze się kształci.

— To normalne, że on tak mówi.

Zapalają się rtęciówki. Robi się weselej. Dojeżdżają do nowego osiedla.

— Zobaczmy, czy śpią — mówi kierowca.

Weszli do czystego, schludnego mieszkania. Kolorowy telewizor, pianino, jugosłowiańskie meble, kryształowy żyrandol. Mirek przykrywa klawiaturę pokrowcem i zamyka kłapę pianina.

— Nie można się Ani doprosić, żeby zamykała.

Nie zdejmują płaszczy. Ta inspekcja nie ma wyraźnego celu. Otwierają kolejne drzwi, zaglądną do wnętrza, jak gdyby sprawdzali jakąś fantastyczną pogłoskę. Rzucają na siebie ukradkowe spojrzenia oceniające staranność wizytacji. Z wolna intensywność inspekcji maleje, zanika. Mirek kończy rytuał obchodu w toalecie.

— Czy Ani przeszedł kaszel? — pyta przez drzwi.

— Cicho, dzieci pobudzisz.

— Przeszedł? — ciszej pyta Mirek.

— Przechodzi.

Roma zagląda do dziecinnego pokoju. W łóżeczku siedzi dwuletnia dziewczynka. Podnosi głowę i patrzy zaspanymi oczami.

— Spij, śpij — Roma układa małą i gasi światło.

W drugim pokoju Ania klei wielościan z brystolu.

— Sześcian kleisz? — pyta Roma.

— Bristol brudzi się od kleju.

— Butaprenem spróbuj, jest w pawlaczu — radzi ojciec.

Butapren zasechł, więc zszedł do ciężarówki i spuścił trochę benzynu do rozrzedzenia kleju.

Roma czesze się, poprawia makijaż. W torebce znajduje wisiorok od sennora. Podchodzi do półki z bibelotami. Są tu ładne drobiazgi: scyzoryk, reklamówka koniaku, długopis, popielniczka samochodowa, popiersie Kościuszki, korkociąg pneumatyczny, laleczka gumowa. Roma stawia obok miniaturową lampę górniczą.

W sąsiednim pokoju, ojciec tłumaczy Ani, że do papieru potrzebne jest spoivo elastyczne, jak butapren czy guma arabska. Kleje stałe się kruszą i niewiele z nich pożytku.

kierowniczkę — mówi i oczy zacho-  
dzą jej łzami.

— Starej?

— Nie ma już naszej pani kierowniczkę. Nastąpiła nowa.

— Kiedy?!

— Dzisiaj rano. Kontrola przyjechała wcześniej, niż to było przewidziane.

z tego wszystkiego. Niepotrzebnie  
chodziła. Mamą nową ksiązkę.

— Starej pani kierownicze musiało  
być przykro...

— Wcale nie. Zapaliła oba neony, zmieniła obrusy, a potem chodziła po sali i pytała, czy potrawy smakują. Pakowała się potem i przez jakiś czas jej nie było. Jak wróciła, to trochę chodziła po lokalu, grała na automacie i podobno nawet sporo wygrała. Następnie to miała zamieszcową. Po tym telefonie poszła do drzwi i otwierała je przed konsumentami, takimi chłopami z batami, co wracali z targu. Jak im otworzyła, to chcieli uciec, ale coś im powiedziała więc się zlekli i weszli. A tak, to nic szczególnego, tylko jeden konsument przyszedł do nas i powiedział, że zna nową panią kierowniczkę. Ten ktoś nas ostrzegł, że pani kierowniczka lubi się fotografować z dziećmi, ale zastrzegł się, żeby nie przywiązywać nadmiernej wagi do tego, co mówi, gdyż jest to jego subiektywna opinia. O, patrz! Stara pani kierowniczka się wyprowadza.

Rzeczywiście, od zaplecza wychodzi kierowniczkę niosąc dwie walizki. Pomaga jej jakiś mężczyzna, który niesie marynarski worek i plastikowy kanister. Pakuje to wszystko do fiata i odjeżdżają.

— Za nią! — krzyczy Roma do męża.

Ciężarówka rusza w pościg za fiatem. Samochód kierowniczkę jedzie bardzo szybko. Wskazówka licznika goniącego go steyra dochodzi do czterdziestki. Na ulicy Kościuski zbliżają się do fiata. Widać za tylną szybą czapkę górniczą z czerwonym pióropuszem. Nagle z przeczniczy wypelza kolumna ciężarówek i odcina ich od fiata. Wiozą jakieś konstrukcje, wlokąc się pięć kilometrów na godzinę. Za miastem Mirek puszcza się na skrót drogą lokalną i po kilku minutach szaleńczej jazdy w terenie, wylania się na szosie przed fiatem i zajezdza mu drogę. Za szybą przerażone oczy łamiących. Roma wyskakuje z szoferki i zbliża się wolno do fiata. Kierowniczka odsunęła szybę. Nie wychodzi. Roma stoi blada, nie mogąc wydobyć z siebie głosu.

— To czy ja mam dalej wycyfować?

— pyta wreszcie.

Kropki potu wystąpiły na czole kierowniczkę. Patrzy nie rozumiejąc.

— Już nie, dziecko. Chyba już nie — mówi po chwili z ulgą. — Dobrze szło?

— Dobrze.

— Tak, to był dobry teren — mówi kierowniczka w zadumie.

— To, czy oddać pani kierownicze pieniądze?

— Nie dziecko, zatrzymaj sobie — uśmiecha się smutno kierowniczka.

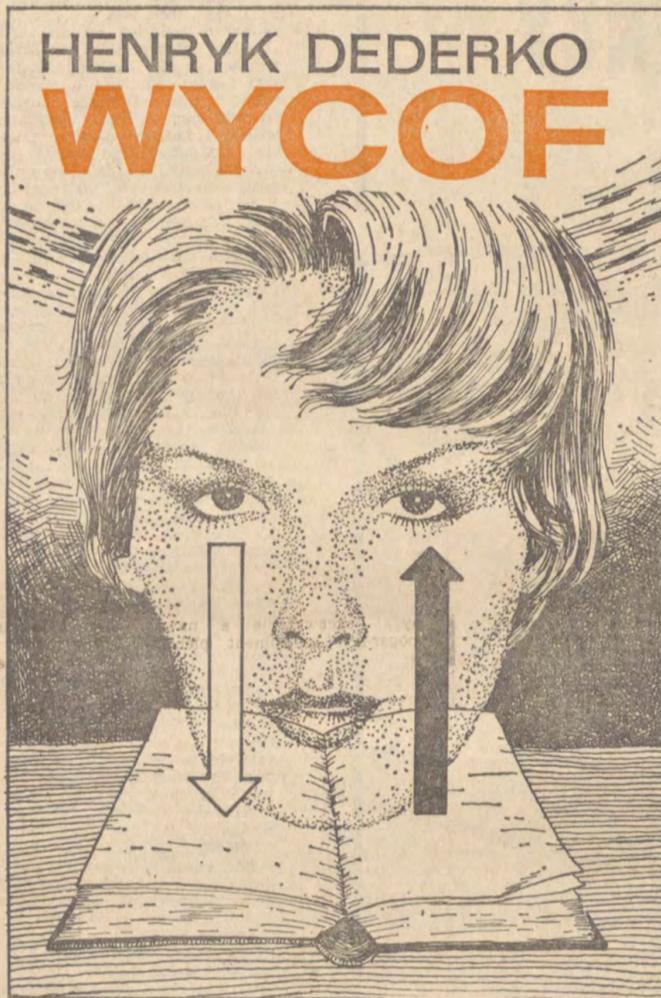
Dwie lzy toczą się po twarzy Romy, wymyając w pudrze lśniące brzydy. Kierowniczka patrzy, zamyśla się.

— Drogie dziecko, za co ty mnie tak bardzo kochasz?

Odjeżdża fiat pani kierowniczkę. Szybko maleje w oczach.

Miasteczko z tej odległości wygląda, jakby płonęło. Ogniska w miejscach wyburzeń palą się na kilku ulicach. Stroniąc od ognia, fiat posuwa się w kierunku przeciwnym, zanurzając się w regiony niejasnych perspektyw, powściągliwych rachub, przyczajonych nadziei.

Na skrzyżowaniu zostaje Roma z mężem. Dwie drobne sylwetki wydłużone własnym cieniem, na tle ognia prawie przezroczyście.



Rys. Janusz Szymański-Glanc

neony „Alpiny” i „Pepsi” palą się. Na stolkach nowe obrusy.

Nie weszli do restauracji. Patrzają przez szybę. W szatni jest pełno czapek z pióropuszami. Szytgar siedzi w kącie pod ścianą. Nie wygląda groźnie. Rozmawia z kolegami, śmieje się. Roma kiwa na koleżankę kelnerkę, żeby wyszła. Prosi ją, żeby na wszelki wypadek sztygara dobrze obsłużyła. Nie za uprzejmie, żeby nie robić sensacji, ale poprawnie. Dziś Roma zostawi go w spokoju, gdyż żaden normalny człowiek po godzinie siedzenia w tej kloace nie wycofa skargi. Ale jutro...

— To ty nic nie wiesz? — dziwi się koleżanka. — Nie ma już starej pani

A tu do kontroli nic nie przygotowane, książki zażaleń nie ma. Uznanie, że stara pani kierowniczka się nie sprawdza. Została przeniesiona i obejmie inną restaurację. Zabrała ze sobą panią Olę, która bardzo prosiła żeby ją wziąć. Nowa pani kierowniczka nie wybrała jeszcze swojej prawej ręki. Obserwuje nas i dopiero potem wybierze albo przywiezie swoją własną z tamtej restauracji. To jeszcze nie jest zdecydowane. Nowa pani kierowniczka jest bardzo miła. Powiedziała: „Dzień dobry panie” i podała wszystkim rękę. Nawet temu padluchowi Julce. Wprowadziła już pewne zmiany. Powiesiła nową ksiązkę zażaleń, którą jej przyznano. Co tu się działo! Zapomnieliśmy o tobie

KONIEC



### NAFTA

Ostatnie decyzje OPEC, w wyniku których cena ropy wzrosła od 1 stycznia 1977 roku o 10 proc., a od połowy roku o dalszych 3 proc., zwracają uwagę społeczeństw wielu krajów na problemy związane z tym surowcem energetycznym i chemicznym.

„Kto włada ropą naftową, ten włada będzie światem” — cytując w swojej książce Boris Raczekow opinię O'Konora — gdyż dzięki mazutowi panować będzie na morzu, dzięki benzynie lotniczej — w powietrzu, dzięki benzynie samochodowej — na lądzie. Ponadto dzięki fantazyjnym bogactwom, jakie można uzyskać z ropy, zradzi będzie swymi współpracownikami pod względem ekonomicznym.

Istotnie państwa eksportujące ropę naftową wzbogaciły się ostatnio nadzwyczaj. Dla niektórych z nich to bogactwo stało się jedyną szansą przetrwania i programowania ich rozwoju gospodarczego. Faktura to chęć, aby zyski z ropy naftowej stały się podstawą przeobrażenia przetrwania, chęć, aby w chwili, kiedy wyczerpią się pokłady naftowe, kraje te stanowiły już nową ekonomiczną wartość na gospodarce mapie świata.

Jednakże u zarania przemysłu naftowego pojawiły się przedsiębiorstwa kapitalistyczne, które zmopolizowały transport ropy naftowej, jej wydobycie i przetwarzanie. Tak narodził się konflikt między tymi, którzy ropę naftową posiadają, a tymi, którzy ją wykorzystują. Współczesna cywilizacja nie może się obyć bez ropy naftowej i to jeszcze bardziej zastrzeżony konflikt, który zrodził się pod koniec ubiegłego wieku. Postęp, jaki dokonał się w krajach dysponujących złożami naftowymi, nie przyczynił się jeszcze do rozładowania tego konfliktu. Ma on kolosalny wpływ na politykę światową. Nieprzypadkiem do najbardziej niespokojnych na świecie należą rejon, w którym znajduje się 55,2 proc. światowych zasobów ropy naftowej — Bliski Wschód.

Problemy ropy i polityki światowej, jej wzajemnych związków i zależności omawia w książce „Nafta a polityka światowa” Boris Raczekow. Pokazuje on te związki w świetle działania monopolu, w czasach kryzysu energetycznego, w konfrontacji z przemysłem naftowym i petrochemicznym krajów socjalistycznych, które swoją obecnością i swoimi zasobami surowcowymi stanowią nową wartość we współczesnym świecie, wpływając tym na sposoby rozwiązywania konfliktu między posiadaczami ropy a jej przetwórcami.

Boris Raczekow — „Nafta a polityka światowa”, tłumaczył: Władysław Głuchowski, Książka i Wiedza, Warszawa — 1976, str. 318, cena: zł 40,—

### JAK DO TEGO DOSZŁO?

Zbigniew Domarańczyk zaczyna swoją książkę od pamiętnych dni 1973 roku, kiedy to świat stanął w obliczu kryzysu ekonomicznego. Zaczął się on nie dlatego, że nagle zabrakło ropy, ale dlatego, że jej wydobyci i wyciecia nie potrafił on już sprostać. W tym czasie świat stał się miejscem, gdzie nastąpiła zmiana pokładów ropy. Kryzys energetyczny z roku 1973 był też kryzysem politycznym, udowodnił, że dawne zależności i formy nacisku są już dziś nieskuteczne. Jeśli kiedyś kraje kapitalistyczne były zdolne do sprawowania „opiek” nad niedorozwiniętym gospodarką i politycznie producentami ropy naftowej, którzy chcieli sprzedać swoje koncesje na jej wydobycie, to dziś sytuacja się zmieniła.

**JAK DO TEGO DOSZŁO?**

„Złota wanna szefka i inne naft-stories” Zbigniewa Domarańczyka są próbą odpowiedzi na to pytanie. Jest to barwna i zbeletryzowana — jeśli można użyć takiego określenia — historia światowej ropy naftowej i konfliktów, jakie nafta zrodziła i jakie nadal rodzi. Jest to historia pełna oszustw, zbrodni, kłamstw, matactw, szantaży. „Kropka nafta jest warta kroplę krwi” — to słowa premiera Francji Georges'a Clemenceau, wypowiedziane w 1917 roku na nadal aktualne, choć ich sens można dziś różnie rozumieć. Nafta nieustannie ląca się z krwią, i dziś, mimo że czas jest już inny i świat bardzo zmienił się, nadal rejon, w którym dużo jest tego naturalnego bogactwa nie należał do najsłabszych części świata. Nadal krew leje się na Bliskim Wschodzie. Nie przypadkiem chyba właśnie tam.

Ropa naftowa znana od dawna. Persowie i Grecy używali ropy do celów wojennych. Ale jej prawdziwa historia zaczyna się dopiero pod koniec XIX wieku. Wielkie zasługi położył tu skromny aptekarz z Gorlic na Podkarpaciu — farmaceuta Łukasiewicz, którego nazwisko jest zresztą zupełnie nieznane w Ameryce. On też złożył w 1854 roku pierwszą na Podkarpaciu rafinerię ropy naftowej. Ale prawdziwa i burzliwa historia nafty zaczęła się w 1859 roku od gorączki naftowej, jaka wówczas ogarnęła Pensylanię.

W tej historii jest wielu bohaterów. Bardziej i mniej znanych. Ich losy, zmagania, tragedie i zwycięstwa opisuje w swoim „storie” Zbigniew Domarańczyk. Opisuje barwnie i sugestywnie. Książka spotkała się zresztą z dużym zainteresowaniem ze strony czytelników i wydawca, „Horyzonty” uzupełniły początkowo nakład w wielkość 60 tysięcy, doдруkiem w wielkość 30 tysięcy. I postąpiły szlachnie.

Zbigniew Domarańczyk — „Złota wanna szefka i inne naft-stories”, Wydawnictwo Harcerskie „Horyzonty”, str. 261, cena: zł 24,—

### ZŁOTO PIASKÓW

Tym złotem — nikt w to nie wątpi — jest nafta. Wydobycie ropy naftowej mogłoby się przyczynić do ich użyczenia, gdyby nie to, że zamiast nafta nie zawsze trafia tam, gdzie jest najbardziej potrzebna. Nie zawsze wraca do tych, którzy trudzą się w podwrotnikowym skwarze przy jej wydobyciu.

Kazimierz Dziewanowski spenetrował Bliski Wschód. Nie wszędzie mógł wjechać. Nie wszędzie chciał wjechać dzielnikarza z komunistycznego obozu. Nie wszędzie chciał wjechać obcych, którzy mają otwarte oczy i uszy i patrzą na świat zupełnie inaczej niż ci, którzy sprzedają naftę, wydobycia i wywożą, aby zamienić na potrzebne współczesnej cywilizacji produkty. Ale Kazimierz Dziewanowski okazał się wytrwałym i upartym reporterem. Zebrał niezwykle interesujący i bogaty materiał o naftę i krajach, które to naftę posiadają. Napisał tom reportaży o naftę i ludziach, na których życie, sposób myślenia i działania nafta ma ogromny wpływ.

Nafta spowodowała nie tylko oszalałą rozwój krajów unierusznionych, w których dokonała się rewolucja naukowo-techniczna. Nafta nie tylko miała wpływ na przebieg tej rewolucji. Wywarła ona też wpływ na kraje, które ją posiadały i które coraz silniej chcą z tego faktu czerpać korzyści. Ogromne bogactwo jakie teraz daje nafta tym, którzy chodzą po piaskach, nie którym kryje się pływne złoto, może być wykorzystywane w różny sposób. Jednym daje ono zbytki i wygodne życie. Innym zapewnia możliwość doznania przodu i rozwoju.

„Możliwe — pisze Kazimierz Dziewanowski — że nafta spełni jeszcze trzy prace herculesowe, których nikt inny poza nią, wykonąć by nie zdołał: rozszerzy światowy rynek, skłoni świat do rozumiejszego postępowania się tym, co nam dała natura, ale czego nie będzie dawać wiecznie; przyczyni się do sprawiedliwszego podziału bogactw i skierowania ich części tam, gdzie są najbardziej potrzebne”.

Być może. Między taką nadzieją. Ale też Kazimierz Dziewanowski odniósł wielki sukces. Jego książka, która przekazała takielmu, pożytecznemu wykorzystaniu ropy, pokazuje współczesny świat, w którym rola ropy jest wielką, to nie spełnia pokładów w niej nadziei. Nieustannie rodzi konflikt. Kazimierz Dziewanowski na kartach „Złota piasków” zamknął niewielki rozdział z historii ropy, a świat z historii nafty zrobił. Ta historia rozwija się nadal. Ostatnia decyzja OPEC (Organizacji Państw Eksportujących Ropę Naftową) otwiera w tej historii nowy rozdział. Ale to już jest zupełnie inny temat. Aby jednak móc na dal śledzić historię ropy i konfliktów, jakie rodzi, rozumieć coraz to nowe wydarzenia, trzeba poznać i te fakty, o których pisze Kazimierz Dziewanowski.

L.W.

Kazimierz Dziewanowski — „Złoto piasków”, Czytelnik, Warszawa 1976, str. 331, cena: zł 34,—

## ZDARZENIA I ZWIERZENIA

# STARE ŁÓDZKIE FOTOGRAFIE

Fotografia jest minionym czasem, zatrzymanym na światłoczułej kliszy. Fotografia jest pamiątką, dokumentem dziełem sztuki, wspomnieniem... Fotografie przedstawione na wystawie w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki są historią.

Jest to bodaj siódma publiczna wystawa ze zbiorów Zdzisława Konieckiego, nie licząc permanentnej wystawy w prywatnym mini-muzeum kolekcjonera. Ta ekspozycja przedstawia dawne fotografie łodzian. Większość to zdjęcia z rodzinnego albumu, ze sztabuchów krewnych, powinowatych, przyjaciół i znajomych. Ale też stary łódzki ród Konieckich spokrewniony jest z wieloma rodami łódzkimi, które w dziejach tego miasta zaznaczyły i znaczą swój ślad (m.in. z Gieglami) — a więc jest to po prostu wystawa fotografii łodzian z lat 1900—1939.

„Są tu włókniarze łódzcy, rzemieślnicy, buralści — pisze wstępnie do katalogu wystawy Włodzisław Wojski — trafiają się także przedstawiciele wolnych zawodów (...). Z za-

ciawieniem, a sądzę bez znużenia obejrzymy te 300 twarzących, jakie wybrał dla nas autor wystawy ze swojej ponad 1.000 fotografii liczącej kolekcji”.

Kiedy się ogląda te stare fotografie, to godnie wpatrzony w obiektyw rodziny zgrupowane wokół secesyjnych stolików (chłopcy w kombinezonach a i Słowaeki, dziewczęta na białe...), przypomina się pięknie spisana przez Wacława Zdzarskiego historia fotografii warszawskiej. Szkoda, że nikt — jak dotąd — nie napisał o dziejach łódzkich zakładów fotograficznych.

A przecież już dawno minęło stulecie łódzkiej fotografii! Pierwszy zakład fotograficzny w Łodzi założony w 1862 roku Józef Zajackowski (cyt. za A. Rynkowską). Przedsiębiorstwo Zajackowskiego mieściło się najpierw przy Nowym Rynku 8 (dziś plac Wolności), a potem przy Konstanyńskiej 5 (dziś Obrębów Stalingradu). Potem przyszedł Powstanie Styczniowe i Zajackowski zagrożony aresztowaniem uciekł do Krakowa, a władze zamknęły jego zakład.

W tym samym jednak czasie Zajackowskiego zastąpił Dominik Zoner. Otworzył on swój zakład w 1863 roku w domu przy Konstanyńskiej 3 czyli... tuż obok dawnego zakładu Zajackowskiego. Klientela nie musiała się więc fatygować w inny koniec miasta, wałła jak w dym na Konstanyńską.

W latach siedemdziesiątych przybyły jeszcze dwa zakłady fotograficzne — Dietricha na Dzielnej (dziś Narutowicza) i Sztumana na Piotrkowskiej. Ale na prawdziwą sławę i wzięcia pamięć łodzian zasłużył dopiero Bronisław Wilkoszewski, który działał w Łodzi pod koniec lat osiemdziesiątych. Wilkoszewski — twórca albumów z widokami Łodzi, stanowiącymi dziś cenne dokumenty przeszłości miasta — mieszkał w pasażu Mayera pod numerem 5 (dziś Moniuszki). Reklamując swój zakład w międzycy prasy pisał: „Urządzenie elegancko i według najnowszych wymagań sztuki fotograficznej. Zdjęcia wykonywane nowym sposobem momentalnym. Portrety różne naturalnej wielkości koloruje olejno”.

Dzięki tym albumom, dzięki zachowanym starym fotografiom mamy dziś wyobrażenie, jak wyglądała Łódź przed wiekiem. I nawet drewniany podest przed kawiarnią Roszkowskiego (dzisiejsza „Łodzianka”, róg Piotrkowskiej i Moniuszki) który tak dziwi łodzian w czasie krecenia scen do „Ziem obiecanej”, jest jak najbardziej autentyczny. Taki sam podest zrekonstruowany został przez filmowego scenografę właściciela podłogi starej fotografii Wilkoszewskiego.

Zdzisław Koniecki, posiadacz ogromnej kolekcji starych łódzkich fotografii, dysponuje bezcennym wprost materiałem ikonograficznym. Ludzka pamięć jest zawodna, literacki dziennikarski zapis także nie odda o b r a z u minionych lat. I tylko dzięki starym fotografiom jawią się nam owe majówki w Łagiewnikach z początku wieku, cynowe dzbanki na piwo, fryzury, kapelusze, kaszkiety i kamizelki...

Wystawa w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki niby stary film pokazuje nam autentyczne obrazy miasta i ludzi. Obrazy mówiące więcej o epoce i ludziach, niż niejedna dokument.

WIDOK

## MUZYKA

# NA SZĘŚCIU STRUNACH

„Sama dla siebie jest miniaturowa orkiestra...” — tak wyraził się gitarze Beethovena usłyszeliśmy gry Mauro Giulianiego. Komplement ów znajduje się na jednym z biegłowych kontrowersyjnych ocen, z którymi następczyni lutni spotykała się w swej historii. Nie brakło bowiem też opinii pełnych lekceważenia i nawet pogardy („instrument plebsu” itp.).

Trwający na świecie od początku bieżącego stulecia okres prosperity 6-strunowej gitary hiszpańskiej zwanej klasyczna ma swą przyczynę m.in. w działalności takich mistrzów, jak Tarrega czy Segovia. Uświadomili oni, że o przydatności tego nierzadko dyskryminowanego instrumentu do solistycznej koncertowania decyduje przede wszystkim perfekcja interpretacyjna: absolutne mistrzostwo techniki gry połączone z umiejętnością wydobycia maksimum efektów kolorystycznych i odcieni ekspresyjnych.

Tradycja gitarowa w Polsce

jest bardzo niska. Właściwie dopiero od kilkunastu lat, dzięki powołaniu do życia Ośrodka Gitarowego w Łodzi przy Ludowym Instytucie Muzycznym, a także na skutek wprowadzenia specjalistycznej edukacji w zakresie gitary w średnich a potem w wyższych szkołach muzycznych (prekursorem było tu środowisko łódzkie), — można mówić o rodzimej gitarystyce. Ważną rolę w jej rozwoju spełniają konkursy odwołujące, stawiające sobie za cel wyłonienie najlepszych muzyków dla potrzeb ruchu koncertowego, konfrontacje metod i wyników nauczania oraz popularyzowanie cennego repertuaru — m.in. kompozycji współczesnych twórców polskich.

Kolejny, III Ogólnopolski Konkurs Wykonawcy Gitary Klasycznej — tak, jak i poprzednie konkursy odbywał się w Łodzi (I—V, XII) — tym razem w interesujących wnętrzach Muzeum Historii Miasta W artystycznych zmaganiach

wzięło udział 28 instrumentalistów z różnych stron kraju. Obowiązywało ich wykonanie w ramach trzech etapów zawodnictwa utworów Aguado, Bacha, Giulianięgo, Lobosa, Mertza, Mrońskiego (ten łódzki kompozytor od szeregu już lat specjalizuje się w muzyce gitarowej), Paganiniego, Sagrerasa, Tarregi. Oceniające konkursowe produkcje — jury pod przewodnictwem prof. Józefa Powroźnika zakwalifikowało do finału 8 osób. Zgodnie z końcowym werdyktem nie przyznano I nagrody. Zdobywcami dwóch równorzędnych nagród II (8 tys. zł) zostali: Lech Kuczyński z Krakowa i Jerzy Zak — student łódzkiej PWSM. III nagroda (5 tys. zł), również ex aequo, przypadła w udziale Jerzemu Koenigowi z Katowic oraz studentowi PWSM w Łodzi — Markowi Wysockiemu. Wyróżnienia otrzymali: Jacek Łozak (Warszawa), Andrzej Modrzejewski (Kraków), Andrzej Wendland (Łódź) i Bożena Wyrwińska

(Gdańsk). Dodajmy, że nagrody ufundowało Ministerstwo Kultury i Sztuki, Wydział Kultury Urzędu Miasta Łodzi oraz LIM. Uroczyste wręczenie nagród i dyplomów połączone zostało z koncertem laureatów.

Nieźłą okazję miała publiczność, by w trakcie popisu zwycięzców konkursu, jak i na towarzyszącym imprezie recitalu Jerzego Nalepki (głównego laureata konkursu z r. 1973), rozsmakować się w subtelnych brzmieniach gitarowych, zechwyć się w poszczególnych utworach klarownością polifonii, bogactwem harmoniki, dyscypliną rytmiczną czy np. zróżnicowaniem artykulacji i dynamiki.

Gitara jest dziś popularnym instrumentem muzycznym funkcjonującym na styku kultury artystycznej i subkultury młodzieżowej. Od rozwijającej się gitarystyki profesjonalnej można oczekiwać, że instrument ten stanie się środkiem powszechnego uszlachetnienia muzycznych upodobań.

JANUSZ JANYST

## PROPOZYCJE

# A CZAS PŁYNIE NIEUSTANNIE

Być może, że w czasie, kiedy ten felieton ukazuje się drukiem rzecz cała znajduje realne rozwiązanie i zostanie sprowadzona do materialnej rzeczywistości. Jednakże w chwili, gdy piszę — wygląda nader metafizycznie. Oto „Express Wieczorny” z 17 grudnia 1976 roku — wydanie D — donosił, że „24 listopada 1976 r. wjechały wagonem ze Szczecina 4 maszyny dla Nowotarskich Zakładów Przemysłu Skórzanego „Podhale” i do dnia dzisiejszego nie można w całej Polsce znaleźć wagonu”.

„Dzień dzisiejszy” — to 17 grudnia 1976 roku, „Express Wieczorny” obliczył, że te 4 maszyny miały już stać na swoim miejscu i 15 grudnia — zgodnie z planem — rozpocząć produkcję. Do końca roku „Podhale” jak podaje „Express Wieczorny” — „miało wykonać 150 tys. par butów na zlecenie zagranicznego kontrahenta”. I nie wykona, jak z powyższych faktów wynika.

Cztery maszyny to w końcu nie igła, która wpada do stogu siana. Między nadzieją, że znajda się. Ale mnie w tej całej historii interesuje zupełnie coś innego. Otóż jak poinformował „Express Wieczorny” owe 4 maszyny przysły do Polski 11 listopada 1976 roku. Formalności z ich przyjęciem i dalszym wyeksponowaniem do adresata trwały aż 13 dni. Czy trochę nie

za długo? Czy rzeczywiście potrzebna na to aż tyle czasu?

Mój znajomy, Jurek K. donosił mi niedawno — z radością zresztą, że jego telefon domowy jest już czynny. Po siedmiu tygodniach, w czasie których był on kilkakrotnie z wizytą u pocztowych władz. Inny znajomy, Ludwik H. donosi mi nieustannie, że w jego towarzyskim telefonie nie ciągle słychać rozmowy współzadawca tego telefonu, a ma on też nadzieję, że ów współzadawca słyszy znów jego rozmowy. Sygnalizuje ten problem odpowiednim wladom pocztowym, ale te śmieją się z tego, twierdząc, że jest to niemożliwe, bowiem tajemnica rozmów telefonicznych jest zagwarantowana ustawowo.

A czas płynie nieustannie. Jeszcze inny znajomy znów mi donosił, że przy ulicy Wrocławskiej w Łodzi do 23 grudnia 1976 roku w wielu blokach nie będzie gazu, gdyż trwa jego zamiana. Z gazu koksowniczego na gaz ziemny. Tylko, że ludzie pozbawieni gazu nie mogą sobie nie przygotować na święta, że muszą korzystać z kuchencek elektrycznych, albo stotawać się na mieście i to przez blisko dwa tygodnie, i to oczywiście nikt nie wziął pod uwagę. Czy rzeczywiście tak długo musi trwać wymiana na czysty gaz? Bo czas płynie nieustannie. Z tego też powodu, w chwili gdy się ukaże ten

felieton, problem dla mieszkańców ulicy Wrocławskiej nie będzie już aktualny, bo będą mieli gaz, chyba że znów zbytby rozbawieni okresem przedświątecznym gazownicy — pardon, to nie aluzja — nie licząc się z czasem przedłużą okres wymiany.

Fakty są bardzo różne i mogłoby się wydawać, że nie je nie łączy, że nie mają żadnego wspólnego mianownika. Ale nie. Łączy je wszystkie nazbyt wielkie marnotrawienie czasu. Bo czas sobie nieustannie płynie i nikt tym się zbyt nie przejmuje. Nie cenimy czasu. Ciągłe mam wątpliwości, czy w Szczecinie potrzeba było aż 13 dni, aby wysłać 4 maszyny, które nie trafiły zresztą do adresata, narażając go na niewywiązanie się z umowy, a więc i na straty, które pokryte będą ze społecznych, a więc z naszych pieniędzy. Ciągłe mam wątpliwości, czy dla zreperowania jednego telefonu potrzeba było aż 7 tygodni? Ciągłe nie wiem, czy dla zamiany gazu koksowniczego na gaz ziemny potrzeba kilkunastu dni?

Potrąfimy oburzać się na marnotrawienie rzeczy. Ostatnio przed telewizyjną widownią odbyło się dochodzenie na temat zagubionej i nieznajdźki do konarki, która sobie kilka lat potępiła w Białej Górze koło Tomaszowa Mazowieckiego. Stwierdzenie, że nas oburza marnotrawienie rzeczy, bo jest to

marnotrawienie wymierne. Wartość rzeczy, która ktoś zgubił, zamknęła się sumą 150 tys. zł. A wartość czasu, kiedy leżała bezczynnie?

Minął rok. Ile było w tym roku zmarnowanego czasu? Któż to policzy? A policzyć byłoby warto. Trzeba uczyć się nie tylko cenić czas, ale również i czas. Zaczynamy nowy rok. Nie będzie to rok łatwy, ale może w tym nowym roku zaczęlibyśmy cenić czas, również jako wspólne dobro materialne. Tego trzeba się uczyć. Trzeba do społecznej świadomości wprowadzić pojęcie wartości czasu. To nieprawda, że czasu mamy dużo. Mamy go bardzo mało i powinniśmy ten czas wykorzystywać maksymalnie. Każda minuta, każda godzina, bo czas płynie nieustannie i nie już nie zawrót tego, co trałimy lekko-myślnie, przez złą organizację, nieumiejętność społecznego myślenia, niedbalstwo, lenistwo i gupotę. Ten sam czas, który my trwonimy, inni wykorzystują go z pożytkiem. Nie wolno nam przegrywać wysięgu w racjonalnym wykorzystywaniu czasu.

Mamy przed sobą cały nowy rok, niech więc to będzie rok dobrze wykorzystany, rok bez straty czasu. Niech w tym roku nie będzie trzeba aż 13 dni na wysłanie 4 maszyn, które później zginą. Ani 7 tygodni na zreperowanie telefonu.

MARCIN RODAK

JERZY WILMAŃSKI

## SUKCES „POLTESTU — 76”



Krystyna Prońko

Po raz trzeci odbywały się w Łodzi Polskie Targi Estradowe, ale po raz pierwszy impreza była w pewnym sensie „stereowana” przez organizatorów. Co to znaczy? Jak pamiętamy, koncepcja dwu pierwszych przeglądów sprowadzała się do wolnej, niekontrolowanej prezentacji programów estradowych zgłaszanych przez poszczególne przedsiębiorstwa estradowe. Walorem poprzednich targów było więc pokazanie w sposób zmasowany tego, co prezentuje się na estradach całego kraju. Nie był to obraz zbyt optymistyczny.

Ale w niektórych komentarzach prasowych zaobserwowałem zabieg, który można określić jako „odwracanie kota ogonem”. Otóż niektórzy publicyści zgłaszali do organizatorów pretensje, że poziom targów jest zbyt niski. A jakież miał być, skoro koncepcją targów było pokazanie stanu polskiej rozrywki?

W tym roku koncepcja została nieco zmieniona. Nie przyję-



Stanisław Wenglorz

to już wszystkich propozycji, lecz zaprezentowano pewien wybór programów. Ci którzy narzekali w latach ubiegłych, powinni się czuć usatysfakcjonowani. Były zatem recitale Ewy Demarczyk i Marianny Wróblewskiej, był dobry jazz tradycyjny, był dobry koncert Polskiego Stowarzyszenia Jazzowego z Marylą Rodowicz, Krystyną Prońko, Andrzejem Rosiewiczem i zespołem Komani Banda. Był „Tropicale Tahiti Granda Banda”, były monodramy poetyckie: znakomity spektakl „Wieczoru Trzech Króli” ze Starej Prochowni.

Ta znacząca dla Łodzi i polskiej rozrywki impreza zorganizowana została dzięki życzliwemu poparciu łódzkich władz partyjnych i administracyjnych przy dużym zainteresowaniu Ministerstwa Kultury i Sztuki. Obecność na koncertach zarówno I sekretarza KW PZPR, Bolesława Koperskiego, prezydenta m. Łodzi, Jerzego Lorensa, jak i wiceministra kultury i sztuki, Aleksandra Syczewskiego nadała szczególną rangę łódzkiemu przeglądowi i jest wyrazem troski i zainteresowania władz rozwojem kultury masowej w estradowym wydaniu.

Zaproponowano w tym roku programy znaczące i ambitne. Ale — jak ktoś a priori zakłada, że targi są złe i nieciekawo, znajdzie wystarczającą ilość kamyków, by je wrzucić do ogródka organizatorów. Tym razem sprawozdawca „Expressu Ilustrowanego” miał głównie pretensje do... godzin rozpoczęcia spektakli, do pracy... akustyków i do tego, że Anna Jantar zachorowała i nie mogła wystąpić. Tylko Elżbieta Igras otrzymała od sprawozdawcy „Expressu” wysoką notę za „wzbogacenie repertuaru o nowe, interesujące utwory”. Istotnie, Elżbieta Igras ma nowe piosenki w repertuarze, m.in. śpiewa utwory łódzkich twórców.

Ton publikacji prasowych w czasie i po tegorocznych targach odbiegał znacznie od opinii „Expressu”, który demonstrował brak zachwytu. Zresztą nie o zachwyty tu idzie, lecz o rzetelną ocenę organizacyjnego trudu ludzi i instytucji, przygotowujących tę znaczącą imprezę. Przypomnijmy więc, że ów przegląd polskiej rozrywki zorganizowały: „Estrada Łódzka” kierowana przez Andrzeja Józwiaka, notabene inicjatora i twórcę całej imprezy, Stowarzyszenie Muzyki Estradowej, Wydział Kultury Urzędu Miasta Łodzi oraz ZPW

„Opoczno”, które partycypowały w owym przedsięwzięciu.

Spośród ogromnej ekipy ludzi prowadzących tę wielką imprezę od strony programowej i organizacyjnej wymienić należy przede wszystkim Andrzeja Józwiaka, a dalej Tadeusza Sufta, Stefana Kwaśniaka, Krystynę Mudzo-Pyrzanowską, Leszka Piaseckiego, Henryka Szwabę, Lucynę Koziarową, Martę Świdarską, Karola Wagnera, Barbarę Łukawską i Donatę Maludzińskiego.

Nowością tegorocznych targów było zaproszenie w charakterze gości przedstawicieli wydziałów kultury z prawie 40 miast wojewódzkich, dyrektorów gminnych ośrodków kultury oraz przedstawicieli wojewódzkich rad związków zawodowych.

W trakcie targów zawarto umowy o wartości około 10 mln zł na ponad 1.000 imprez. I tu notujemy ciekawostkę. Otóż dużym wzięciem cieszyły się monodramy poetyckie — właśnie te, których sens wprowadzenia do programu targów kwestionowali niektórzy publicyści.

Nawiasem mówiąc, zawarto więcej umów na poszczególne koncerty niż to wynika ze statystyki targowego biura, bowiem kontrakty zawierano także poza biurem, co jest zresztą sprawą naturalną. Ważne natomiast, że to właśnie targi umożliwiły owe bezpośrednie kontakty między artystami i placówkami kulturalnymi.

Warto też odnotować znakomicie zorganizowany „Wieczór



Maryla Rodowicz

solidarności z narodem chilijskim”. Odbył się on późnym wieczorem w Domu Przyjaźni, a jego współorganizatorem był Zarząd Łódzki Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej z sekretarzem, Bolesławem Migulą. Wystąpił tu istniejący od 10 lat zespół chilijski „Tiempo Nuevo”. Akcenty przyjaźni między narodami przewijają się także w innych koncertach. Dość powiedzieć, że w koncercie galowym wystąpili artyści z Karl-Marx-Stadt, miasta które z Łodzią łączy trwale wieloletnie związki.

Na zakończenie III Polskich Targów Estradowych organizatorzy przyznali Złoty Medal Estrady dla Artysty Roku 1976. Takie wyróżnienie przyznawane będzie co roku — jako pierwsza otrzymała je Maryla Rodowicz.

Reasumując: tegoroczny przegląd dorobku polskiej estrady wypadł nad wyraz interesująco, był imprezą na wysokim poziomie — prezentujący to, co

w polskiej rozrywce znaczące i godne upowszechnienia.



Bogusław Mec



Elżbieta Dmoch

# Kalendarz przysłów

Ty sztydź z przepowiedni, bo niesie przysłówie, czezo medrzec nie zradnie to złupi przepowie.

## STYCZEN

Na nowy rok przybyło dnia na zaleczy skok

- 1 Nowy Rok pogodny zbiór będzie dorodny.
- 2 Gdy Nowy Rok mglisty, jeśli ci będą zlitny.
- 3 W święto Trzech Króli każdy się pod kożuch kuli.
- 4 Królowie pod szpony dnia na kurza stopę.
- 5 Dziś święta Prvka, to i lód prvka.
- 6 W dzień świętej Prvki mróz zaleza do miski.
- 7 Jeśli dzień chmurny w Sebastian święty, powietrzem takim będzie rok przety.
- 8 Amieszka taskawa niszcza skowronka z rekawa.
- 9 Na święta Amieszki wychodzi woda na ścieżkę.
- 10 W święty Wincenty i Pawła dzień lasny, zboża i wina czni nam znak lasny.
- 11 Gdy na święty Paweł lasno, no żniwach w stodole ciasno.
- 12 Na świętego Karola wyryw spod śniegu rola.
- 13 Na świętego Franciszka — przytulacie pliszka.

## LUTY

Kiedy luty, obuj buty.

- 2 Gdy w Gromnice z dachów ciecie, zima jeszcze się przewlecie.
- 3 O świętej Dorocie wyschna chusty na płocie.
- 4 Scholastyka — mróz utyka.
- 5 Święty Walek, narobić może kalek.
- 6 Gdy na Walka sa deszcze, będzie ostrzy mróz leszcze.
- 7 Jeżeli ciepło w dzień świętego Piotra, to zima do Wielkiej Nocy potwa.
- 8 Gdy święty Maciej lodu nie stoi, beda dluzo chuchali w zimne rece chłopi.

## MARZEC

Młoda rada, marcowa poroda, niewieścia laska — jednakowo stateczne

- 4 Na świętego Kazimierza, widać skowronek spod pierza.
- 5 Na świętego Kazimierza dzień się z nocą przymierza.
- 6 Czerdzieli Meczenników takich, czerdzieli dni no nich takich.
- 7 Na świętego Grzegorza łąka rzeki do morza.
- 8 Święty Józef — wiezie trawy wózek, ale czasem smuci — bo śniegiem przewruci.
- 9 Na świętego Marka sieł łepiel eroch do zarka.
- 10 Na Zwiastowanie, zlatują się bocianie.

## KWIECIEŃ

Na kwiecień lada z czego wianek snieciem

- 1 Prima Anrilis — nie patrz, bo sie omylisz.
- 2 Na święty Wincenty nieraz mrozek ciety.
- 3 Pamiętajac na Twmona, sprawy role pod leczmiona.
- 4 Kiedy grzmil w święto Wojciecha, rośnie rolnikom polecha.
- 5 Na świętego Jura, schowa się w życie kura.

## MAJ

- 1 Deszczki malowy i lzy panny mlodej — nie dlugo trwałe.
- 2 Na świętego Jakuba, ostatnia siewu sroba.

- 2 Choć dziś Atanazy, pal w niecu dwa razy.
- 3 Deszcz w świętego Floriana.
- 4 skrzynia groszem nanchana.

- 12 Pankracy, Serwacy Bonifacy.
- 13 Żil na ozrody chłopczy.

## CZERWIEC

Czerwiec stawy — grudzień doskonaly

- 8 Święty Medard w sobie mieści, sió lub nozód dni czterdziści.
- 9 Na święty Antoni bydlie sie zził, zoni.
- 10 Rzeź każda koniec miewa, i siowik tylko po święty Wit śpiewa.
- 11 Przed świętem Janem o deszcz trzeba prosić, no świętem Janie i sam będzie rosieć, aż go będzie doszć.
- 12 Jeżeli Piotr święty z świętem Pawłem placza, to i ludzie przez tydzień słońca nie zobacza.

## LIPIEC

Pies z kanikula lincowa sie wleka i wtedy mlczkiem znajomych wleka.

- 2 Gdy sa w Nawiedzenie deszcze, dluga słońca będzie leszcze.
- 3 Deszcz we święta Malgorzate, jest orzechom na zaratę.
- 4 Na świętego Eliasza, z nowego użatku kasza.
- 5 Po świętem Jakubie, każdy w swoim zarnku dubie.
- 6 Od świętej Anki, chłodne wieczory i ranki.
- 7 Okolo świętej Marty, dlać za żniwa, dawaj kwarty.

## SIERPIEŃ

W sierpieniu mgły na słońca pewne wody, a utry na dolinach: pewne porody.

- 2 Na święty Gustaw, kopy w polu ustaw.
- 3 Na święty Dominik, kopy z pola mix, mig.
- 4 Na Pańskie Przemienienie, lesze gospodarza mienie.
- 5 Święty Kajetan, strzeż od deszczu sprzatanie.
- 6 Na święty Wawrzyniec, zbierał od oszczoł zrzyniec.
- 7 Na Niebowzięcie nokończone żecie.
- 8 O świętem Rochu, rwil groczo no trochu.
- 9 Na święty Jacek z noweli pszenicy black.
- 10 Jak Bartłomiej nie zasieł, nie pokroni Idzi.
- 11 Na święty Tomasz, to sie żyta — malo w polu widzi.
- 12 Na świętego Augustyna, orka dobrze sie poczyna.

## WRZESIEŃ

Gdy nadejdzie wrzesień, wieśniak ma zawsze pełna stodole i kieszeń.

- 1 Na święty Idzi, w swaty do mnie przydzil.
- 2 Święta Regina — gaciele usina.
- 3 Na narodzenie Marvi pogodnie, będzie tak cztery tygodnie.
- 4 Poroda na Nikodema, cztery niedziele deszczów nie ma.
- 5 Święty Mateusz dodaje chłodu, i raz ostatni podbiera miodu.
- 6 Gdy święty w śniegu przybieżał, będzie no nas cała zima leżał.
- 7 W dzień świętej Tekli, będzie ziemniaki niekili.
- 8 Święty Michał, kopy do stodół z pola pospychał.

## PAŹDZIERNIK

Miesiac październik, marca obraz wierny

- 4 Po świętem Franciszku, nasa na żytnisku.
- 5 O świętej Brzydizie, babie lato przydzil.
- 6 Gdy Jadwige deszcz spotka, to kanusta nie siodka.
- 7 Święty Gawel, choć nie Paweł, reczy przecie za to: Jaki Gawel, taki Paweł — takie będzie lato.
- 8 „Święty Łukasz, czego no polu szukasz?” „Rzep” — „Albo! lei śien?”
- 9 Od Urszuli śnieżni czełak koszuł.
- 10 Na świętego Krvspina, szewe przy świece noczyna.
- 11 Na świętego Szymona i Judy, spodziewał sie śniegu albo zrudy.

## LISTOPAD

W listopadzie zrami — rolnik wiosne śni.

- 1 W Wszystkich Świętych ziemia skrzenia, cała zime wroży cienia: a jeśli słotno — będzie o drzewo markotno.
- 2 Na zaduszk, nie ma w ozrodzie ani pietruszki.
- 3 Święty Marcin błonem, ledzie białym koniem.
- 4 O świętej Katarzynie — nomvil o pierzynie.
- 5 Na świętego Jędrzeła, dziełkom z wroży nadzieja.
- 6 Na świętego Andrzeja — trza kożucha dobrodzia.

## GRUDZIEŃ

- 4 Święta Barbara no lodzie, Boże Narodzenie no wodzie.
- 5 Na Mikolaś(a) — zdejmil koła: takie tego przykazanie: porzuc wóz, a zaprzęz sanie.
- 6 Na święty Ambrozj, poprawia sie mrozy.
- 7 Święta Łuca dnia przewraca.
- 8 Od świętego Toma, posiedź sobie doma.
- 9 Koło świętej Ewy, noś dluzie cholewy.
- 10 Jeśli pola zielone, edy sie Chrystus rodzi, to edy smartwchwstale, śnieg z mrozem kolaczom przeszkodzi.
- 11 Na święty Szczepan — każdy parobek ban.